

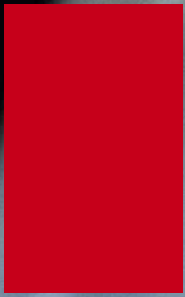
Kod dostępu
do **Wyborcza.pl**
na weekend

WOLNA
SOBOTA

• Czy Polska zatruje się smogiem? • Dobra szkoła, ale nie w Polsce • Oswajanie z molestowaniem • Wielkie plany Ukrainy • Jak Kaczyński kombinuje z ordynacją



WYSOKIE OBCASY
Monika Leder-Jankowska:
Być sexy ze stomią
Rzucili pracę,
mieszkają w aucie



GAZETA
wyborcza
WOLNOŚCI BEZ SOLIDARNOŚCI

wyborcza.pl

Generał
Piotr Pytel
**Rosja
już tu jest**

FOT. JAKUB WŁODEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

wydaje Agora SA
nr indeksu 348198



Monachium '72
Pierwszy triumf
Orłów Górskiego



Niech żyje chłop polski!
Powojenna reforma rolna
stare patologie zastąpiła
nowymi

Marcin Matczak:
Czas złożyć
Mickiewicza
w mauzoleum ► **31**

Dominika
Wantuch

PiS nas otruje, zamiast ogrzać

Nie tak chyba prezes Jarosław Kaczyński wyobrażał sobie tournée po Polsce. Zamiast zachwyty w kolejkach pod kopalniami słysząc gromkie: „Okłamaliście nas!”, a wszystko za sprawą braku naszego rodzimego czarnego złota, którego – jak zapewniał prezydent Andrzej Duda – mamy na 200 lat. Skoro tak, to po co ściągać je z najdalszych zakątków świata po kilku miesiącach kryzysu energetycznego wywołanego wojną w Ukrainie?

Na kryzys bowiem powołuje się PiS, gdy zachęca do palenia w piecach wszystkim „poza oponami”, bo Polska musi być ogrzana. A nie dość, że wydobywanie naszego złota jest drogie, bo wymaga schodzenia ponad kilometr w głąb ziemi, to jeszcze polski węgiel jest kiepskiej jakości. Z tego właśnie powodu przez ostatnie lata Polska zwiększała import węgla z Rosji, bo w przeciwieństwie do polskiego nadaje się do spalania w domowych piecach.

A skoro wstrzymano dostawy, to węgla nie ma, więc PiS zarzyna wszelkie przepisy, które miały służyć ucywilizowaniu polityki środowiskowej: zawiesza normy jakości węgla, dopuszcza spalanie w piecach miałów i wszystkiego z wyjątkiem opon.

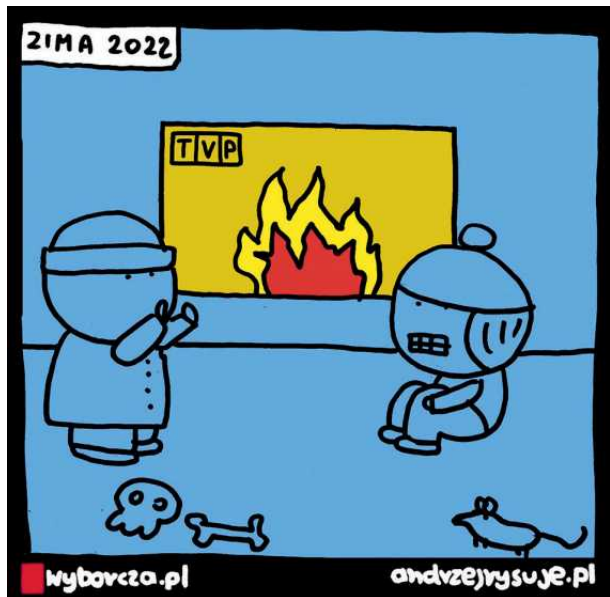
Konsekwencje będą dramatyczne dla środowiska, naszego zdrowia, portfeli i gospodarki. Po pierwsze, pogorszy się jakość powietrza, którym oddychamy, i już wkrótce zobaczymy większą liczbę pacjentów z chorobami płuc czy dzieci z astmą. Po drugie, węgiel to dziś najdroższe paliwo, ludzie, których nie będzie na nie stać, zostaną skazani na zimno w niedocieplonych domach. Zawieszenie przepisów antysmogowych to także otwarcie drzwi do konfliktu z Unią Europejską, która już w 2018 r. uznała, że Polska łamie dyrektywę dotyczące czystego powietrza i przyjdzie nam za to zapłacić. ●



*Projekty, które realizujemy,
które mamy w planach, podnoszą nas
na zupełnie nowy poziom
cywilizacyjnego rozwoju.
Ich przerwanie przez kompletną zmianę
rządu byłoby dla Polski prawdziwym
nieszczęściem*

MATEUSZ MORAWIECKI
„Sieci”

Andrzej rysuje



Salzburg Ból zawodu



FOT. FLORIAN SCHROETTER/AP

Theo Hernández z AC Milan padł na murawę podczas meczu Ligi Mistrzów z zespołem RB Salzburg w Austrii. To jednak nie faul, ale żal po nieudanej akcji.

Kod dostępu do Wyborcza.pl



Liz Truss Żelazna Dama 2.0

W 1994 r. pewna studentka uniwersytetu oksfordzkiego i szefowa studenckiego stowarzyszenia partii Liberalni Demokraci wygłosiła płomienną mowę przeciwko monarchii. „Wierzmy, że wszyscy powinni mieć równe szanse. Nie wierzymy natomiast, że są ludzie, którzy rodzą się, by rządzić”.

Ta studentka później przeszła do Partii Konserwatywnej i zmieniła zdanie w sprawie monarchii. W 2016 r., już jako parlamentarzystka i członkini rządu, przed referendum w sprawie wyjścia z Unii Europejskiej argumentowała, że brexit „będzie tragedią potrójną: więcej ograniczeń, więcej dokumentów, większe opóźnienia eksportu do Unii Europejskiej”.

Ta parlamentarzystka później zmieniła zdanie i robiła karierę w kolejnych rządach obiecujących doprowadzenie brexitu do końca.

O nominację na przewodniczącą Partii Konserwatywnej ubiegała się, obiecując otwartą wojnę z Brukselą o protokół północnoirlandzki, a w polityce gospodarczej zapowia-



FOT. KIRSTY WIGGLESWORTH/AP

dając brak „zapomóg” i w każdym zdaniu obiecując, że nie będzie nowych podatków.

Nie zdążyła wrócić ze Szkocji, gdzie królowa Elżbieta II powierzyła jej misję tworzenia rządu, a do mediów wyciekał projekt zapomóg pozwalający na zamrożenie rachunków za prąd i gaz. Kosztować to będzie 100-150 miliardów funtów, które obywatele będą musieli spłacić w ciągu następnych lat.

Liz Truss obiecuje naprawić państwo w czasie takiej geopolitycznej i gospodarczej burzy, że obywatele nie mają innego wyjścia, niż dać jej kredyt zaufania. Za dwa lata, przy urnach, rozliczą ją jednak bez litości. ●
Stanisław Skarżyński, Londyn

Czarnek bez przyjemności



Czy minister edukacji Przemysław Czarnek zakazałby ustawowo seksu dla przyjemności? Tak sugerują żartobliwie politycy PiS. Zapytaliśmy o to ministra. – Czy pani jest głupia? – odpart Justynie Dobrosz-Oracz.

• Więcej ► Wyborcza.pl

W poniedziałek w „Wyborczej”

Duży Format

Dlaczego zrywamy bliskie relacje

Przez 55 lat z nikim bardziej się nie przyjaźniłam. Jak teraz na to patrzę, widzę, że głównie ona na tej relacji korzystała. Samych naszych fajek – moich i męża – chyba milion wypaliła. Pokłóciliśmy się o drobniarz. Nie brakuje mi jej. **Reportaż Ewy Pagowskiej**



Ekonomia+

Pomoc bez pomocy

Pracownicy pomocy społecznej stali się niewolnikami roszczeniowych klientów. – Kiedy 500+ miało dzień opóźnienia, jedna z kobiet powiedziała, że jeśli pieniądze nie znajdą się dziś na koncie, to przebiję mi opony. I to zrobiła.

Top 3 wybrane z tygodnia
Najważniejsze wydarzenia

Piątek

Znowu
Konfrontacje

1 Gutek Film we współpracy z wybranymi kinami studyjnymi w całej Polsce wznawia festiwal Konfrontacje Filmowe, który powstał jeszcze w czasach PRL. Publiczność będzie miała okazję zobaczyć przez dziesięć wrześniowych dni głośne filmy, m.in. nagrodzone Złotą Palmą „W trójkącie” Rubena Östlunda i „IO” Jerzego Skolimowskiego. Festiwal trwa od 9 do 18 września w 24 kinach studyjnych w całej Polsce.



FOT. JOAN MONFORT/AP, MATERIAŁY PRASOWE (2)

Wtorek

Lewandowski
znów w Monachium

2 Z Bayernem żegnał się w kiepskim stylu, transfer wymusił opowieściami, że jego czas w drużynie mistrza Niemiec się skończył. W Barcelonie wokół niego budowana jest drużyna, która znów ma czarować. Teraz Robert Lewandowski wraca do Monachium – we wtorek Bayern w drugiej kolejce Ligi Mistrzów podejmuje Barcelonę. Na Allianz Arenie może się spodziewać lodowatego powitania.



Piątek

Warszawska
Jesień

3 Rozpoczyna się 16 września i potrwa przez tydzień. Otwarcie festiwalu w Filharmonii Narodowej zapowiada się sensacyjnie: dwie orkiestry – Sinfonia Varsovia i Orkiestra Muzyki Nowej pod dyktando Szymona Bywacza – wykonają „Przestrzenie akustyczne” Gérarda Griseya, kompozytora, który zmienił potoczne wyobrażenie o dźwięku. Odbędzie się ponad 100 wydarzeń, w tym 36 wydarzeń muzycznych.



Cytat dnia

Ocieplenie klimatu nie jest jedynie wynikiem ingerencji człowieka. Wielokrotnie mówiliśmy na antenie Radia Maryja oraz Telewizji Trwam, że zmiany klimatu są wypadkową wielu zdarzeń, również przyrody, w tym wybuchów na Słońcu. Zaprzeczanie temu jest ideologią



BEATA KEMPA

europośtanka Solidarnej Polski, za: Radio Maryja

Zmiany w TVP

Wylot z ramówki

Jacek Kurski chciał wyrzucić Morawieckiego, nawet marzył o stanowisku premiera, tak bardzo czuł się ważny

Wielowieyska



W TVP niewiele się zmieni, będzie działać siłą rozpędu jak dobrze naoliwiona maszyna propagandowa. Wszyscy działacze PiS, którzy tam pracują, wiedzą, co mają robić. Bronią posad, które tracą, jeśli zmieni się władza. Jacek Kurski, owszem, wykonywał polecenia prezesa PiS Jarosława Kaczyńskiego, ale gdy prezes zajmował się czym innym, rządził wedle uznania. Jednych wpuszczał na antenę, innych blokował. W ten sposób wychodził sobie wrogów w Zjednoczonej Prawicy. Przede wszystkim był sojusznikiem Zbigniewa Ziobry i Beaty Szydło, grał razem z nimi na osłabienie premiera Mateusza Morawieckiego oraz prezydenta Andrzeja Dudy. Chciał – tak jak Ziobro – wyrzucić Morawieckiego, a nawet marzył o stanowisku premiera, tak bardzo czuł się ważny.

Co do samej dymisji to Kurski był nią zaskoczony. O planach usunięcia go z TVP wiedziało bardzo wąskie grono osób, sprawę trzymało w tajemnicy, aby nie uruchomić mechanizmów obrony i nie przygotować konfesywy. Na Twitterze napisał: „Potwierdzam, że w wyniku decyzji mojego środowiska politycznego, w porozumieniu ze mną przestałem być Prezesem TVP. Wiem, że przede mną kolejne wyzwania”. Ale to była dobra mina do złej gry. Kurski za wszelką cenę nie chciał pokazać, że decyzja spadła na niego jak grom z jasnego nieba.

Zarówno Krzysztof Czabański, jak i Joanna Lichocka z Rady Mediów Narodowych od dawna chcieli go usunąć

także dlatego, że ich lekcewał i odwodził się jedynie do woli prezesa, a Rada mogła przeprowadzić akcję tylko wtedy, gdy otrzyma zielone światło od Kaczyńskiego. I stało się. Kurski walczył o wejście do rządu w roli wicepremier i chciał startować w wyborach parlamentarnych w 2023 r., aby zapewnić sobie immunitet, na wypadek gdyby nowa władza zaczęła się przyglądać finansom TVP, a on straciłby stanowisko prezesa TVP. Jednak zamierzał odejść tuż przed wyborami, bo uwielbiał być prezesem telewizji. Występował niemal codziennie, aby się promować, i miał wielką władzę: zarządzał głównym kanałem komunikacji polityków PiS ze swoim elektoratem. Chciał się cieszyć tymi przywilejami tak długo, jak się da. Kaczyński odwołał go jednak wcześniej, bo nachalnie promował Solidarną Polskę i wojował z premierem Mateuszem Morawieckim, a to zaczęło szkodzić PiS. Prezes nie zamierza wyrzucać Morawieckiego, więc siłą rzeczy chce, aby był w TVP promowany, a nie sekowany. Czy Kurski wcześniej otrzymywał ostrzeżenia z Nowogrodzkiej? Tak, ale uważał, że jego pozycja jest bardzo mocna i nikt mu nie zagrozi. Zgubiła go pycha, nie zachował czujności, nie zauważył, że jego wrogowie ze Zjednoczonej Prawicy wciąż knuli. Jedno z takich ostrzeżeń pojawiło się tuż po wyborach w 2019 r. Przed tymi wyborami Kurski mianował młodego działacza Solidarnej Polski Pawła Gajewskiego wiceszefem Telewizyjnej Agencji Informacyjnej i pełnomocnikiem zarządu telewizji ds. wyborów parlamentarnych. Gajewski miał ksywkę „Parasol”, bo w sieci krążyły zdjęcia, na którym trzyma go nad państwem Kurskimi. Po wyborach życzyli mu donieść Kaczyńskiemu, iż Gajewski – oprócz tego, że miał dbać o wycinanie Morawieckiego z anteny – promował intensywnie kandydatów Solidarnej Polski. W efekcie ziobryści weszli



FOT. DAWID ZŁUCHOWICZ / AGENCJA WYBORCZA.PL

Kurski za wszelką cenę nie chciał pokazać, że decyzja spadła na niego jak grom z jasnego nieba

do Sejmu mimo startu z tzw. niebiorących miejsc, a Solidarna Polska dobiła do 19 mandatów. Prezes PiS miał się zirytować, bo nie chciał zbyt silnego Ziobry w koalicji, i Jacek Kurski musiał się przed nim gęsto tłumaczyć. Ale potem nie zmienił swojej polityki, wierząc, że prezesowi przeszło. Nadal zwalczał Morawieckiego, a tymczasem rząd ma najniższe w swojej historii notowania w sondażach i Nowogrodzka obarcza za to winą Kurskiego. Oczywiście nie prowadził otwartej wojny z rządem, z maili szefa kancelarii premiera Michała Dworczyka wynika, że czasami się dogadywali. Tyle że ludzie Morawieckiego zawsze występowali w roli petentów, co musiało ich irytować.

Symptomatyczne jest to, że następnego dnia po dymisji Kurskiego stanowiska został pozbawiony właśnie Gajewski, którego były prezes telewizji mianował szefem TVP 3, kluczowej z punktu widzenia ziobrystów anteny.

To tam lokalnie można się było promować do woli, a teraz prezes odciął ich od tego źródła, które tak by się przydało w przyszłorocznej kampanii.

Poza tym wyrzucenie Kurskiego może być gestem przyjaźni wobec prezydenta Andrzeja Dudy, by Pałac chętniej akceptował różne pomysły Nowogrodzkiej, np. zmianę w ordynacji wyborczej. Duda od dawna narzekał, że TVP źle go traktuje i nie ma tam swojego człowieka, bo Kurski wyrzucił Marzenę Paczuska, która miała pilnować interesów Dudy w telewizji rządowej. Prezydent raz też podjął próbę wyrzucenia Kurskiego, ale ten wrócił do TVP niczym bumerang, a Duda został upokorzony. Poza tym prezes mówił swoim ludziom, że trzeba zarządzić zwrot ku politycznemu centrum, a z Kurskim byłoby to niemożliwe. Być może chce zmienić ordynację tak, by osłabić małe ugrupowania. Wtedy nie będzie musiał się handryczyć z Ziobrą i Konfederacją, zostaną oni spacyfikowani i nie będą mu zagrażać. I wówczas zadba o centroprawicowych wyborców, którym Morawiecki jest bliższy.

Tak więc TVP nadal będzie tubą propagandową, tyle że osłabieni zostaną ziobryści, a ludzie premiera zyskają większy wpływ na to, co się dzieje na antenie. Będą mogli z pominięciem zarządu dzwonić do szefów anten i programów, by ustalać strategię. Zadanie telewizji: szef rządu ma poprawić swoje notowania. A co z Kurskim? Może plotki o tym, że ma zostać wicepremierem, rozgłasza on sam, bo Morawiecki nie chce go wypuścić do rządu. Rzecznik PiS Radosław Fogiel pytany w RMF FM o przyszłość Kurskiego wypowiedział znamienne kwestię: „Nie mówię o ważnym stanowisku. My mówimy o zadaniach do realizowania”. A potem dodał, że teraz Jacek Kurski może odpocząć. Ta wypowiedź Kurskiemu nie mogła się spodobać. ●

Dominika Wielowieyska

NAJWIĘKSZYM SUKCESEM ROSJI W POLSCE JEST PiS

**PiS działa tak, jakby byli szkoleni przez Rosjan
albo mieli rosyjskich doradców od wojny psychologicznej**

Z GEN. **PIOTREM PYTLEM***, BYŁYM SZEFEM
SŁUŻBY KONTRWYWIADU WOJSKOWEGO,
ROZMAWIA **DONATA SUBBOTKO**

CZĘŚĆ PIERWSZA

**Rok temu rozmawialiśmy o tym, że Rosja nas
penetruje. Coś się zmieniło?**
– Rosja już tu jest.

W jakim sensie?

– Wszystko, co się stało w Polsce po 2015 r., wpisuje się w rosyjskie interesy na tym obszarze. A nasze służby pozostawiły polskie państwo w obliczu zagrożenia ze strony Rosji nagie i pozbawione ochrony. Zaczniemy od Poufnej Rozmowy – jej konstrukcja mnie przekonuje, że w PiS jest mocne zaplecze agenturalne działające dla Rosji.

Poufna Rozmowa, czyli maile Dworczyka.

– Pani mówi „maile Dworczyka”, ja mówię: „Operacja Poufna”.

To pewne, że stoją za tym Rosjanie?

– Według moich analiz prowadzi ją 72. centrum specjalnej służby GRU z pomocą służb białoruskich, bo Rosjanie nie mają do nas czuja, a Białorusini są w nas wyspecjalizowani. Obsługiwana jest przez osoby z dobrym językiem polskim. Koledzy z amerykańskich służb w październiku 2021 r. przysłali mi szczegóły potwierdzające moje oceny – w czerwcu 2021 r., kiedy to uruchomiono, mówiłem, kto za tym stoi. Info od kolegów ze Stanów dodało mi ducha, bo w Polsce odrzucano opcję rosyjską. Później wypowiedział się na ten temat Mandiant, amerykańska firma od cyberbezpieczeństwa. Parę miesięcy temu dowody, że to operacja rosyjska prowadzona z Mińska, przedstawiła inna renomowana amerykańska firma ekspercka Recorded Future.

To pierwszy tak duży rosyjski sukces wtargnięcia do naszej infosfery. My widzimy tylko mały fragment tej operacji – to, co jest w publikowanych mailach. Ale tam jest wiele celów i niewidocznych warstw oddziaływania. Poufna Rozmowa ma na celu m.in. stworzenie odpowiednich warunków do działania agentury wpływu w PiS na skutek wywieranego nacisku.

Nacisku na kogo?

– Na środowisko Mateusza Morawieckiego i KPRM – na osoby, które figurują w tych mailach bądź mogą figurować. Nie chodzi tu tylko o Morawieckiego – on sam może być nawet rosyjskim agentem. Nie wiemy, jaki jest dla Rosjan status poszczególnych osób, czyli tzw. obiektów, w planie działania tej operacji.

Uruchomiono ją przed rosyjsko-białoruskimi ćwiczeniami Zapad 2021 i testowano w czasie wydarzeń na granicy polsko-białoruskiej. Rosjanie przetrzucili wojska na Białoruś i nasycali rejony wokół Ukrainy. Poufna miała służyć jako element moderujący reakcję polskich władz wobec napaści Rosji na Ukrainę.

W jakim sensie „moderujący”?

– Wojna była przewidywana na okres tygodnia, dwóch. Celem było rozbicie głównego ośrodka dowodzenia – rządu w Kijowie, wstawienie rządu marionetkowego i swoich ludzi w obwodach, opierając to na aktywach agenturalnych. Rosjanie mieli wjechać i skasować to państwo. Ciągnęli za sobą OMON, milicję nie do walki, ale do pacyfikowania rozruchów. Jak to wyglądało z punktu widzenia Rosji? Może będzie sprzeciw Bidena – bo to było krojne pod Trumpa – ale Stany są daleko. Mamy urobionych Niemców. Dzięki agenturze wpływu trzymamy za jaja rząd polski. Francuzi właściwie dogadani. Może ruszy Wielka Brytania, ale oni już poza Europą – brexit to była operacja rosyjska. Jeśli się pospieszymy, a mamy doświadczenie z Syrii i Krymu, to Zachód nie będzie reagował – dla nich wygodniej, żebyśmy szybko zaprowadzili porządek. Jeśli byłoby żądanie ze Stanów o pomoc Polaków, to trzeba ten rząd zneutralizować, żeby grał na zwłokę.

Nie zakładali, że Biden zaryzykuje aż tak kosztowny konflikt. Bez niego Europa nie poszłaby tą drogą. Tylko dzięki jego wysiłkom i nawiązaniu rozmów z naszym prezydentem rząd zostaje zmuszony do pomocy Ukrainie. Do tego reakcja polskiego społeczeństwa jest taka, że PiS staje się zakładnikiem sytuacji.

Więc co te maile dają Rosjanom?

– To ma wisieć nad rządem jak topór. Maile nie są podawane tak, żeby się je łatwo czytało, to często piętrowe konstrukcje. Takie ograniczenie jest celowe – żeby efekt destrukcyjny wobec rządu był ograniczony. To już długo trwa, mnie się to kojarzy z ta-

kimi operacjami, gdzie albo się pozyskuje agenturę, albo się agenturą operuje. I mówię tu o agenturze funkcjonującej wewnątrz polskiego rządu czy tego środowiska wokół Morawieckiego, Dworczyka et consortes.

Patrząc od strony technicznej, skłaniam się ku temu, że to operacja Głównego Zarządu Sztabu Generalnego Sił Zbrojnych Federacji Rosyjskiej, uzgodniona z ministrem Szojgu i Kremlm. Putin jest kagiebią, musiał wiedzieć, kogo tu mają na sznurku, kto będzie na tyle mocny, żeby realizować ich politykę. I na jakim stanowisku – doradczym czy decyzyjnym. GRU nie prowadziłyby takiej operacji bez agentury wewnątrz tego środowiska. Mówię o odpowiedniej liczbie i jakości tej agentury. Samo informowanie przez jakąś asystentkę to byłoby za mało. Oni muszą mieć wejścia w kancelarii premiera.

Jak to możliwe, że Rosjanie mogli uruchomić u nas taką operację?

– Państwo demokratyczne by się przed tym broniło. Wystarczyłoby zadać kłam upowszechnianym treściom poprzez stałe informowanie społeczeństwa, jak sprawy się mają. Ale PiS chce nas przekonać, że zajmowanie się tym to działalność antypolska, bo to operacja rosyjska. Tak, to jest operacja rosyjska, ale w normalnym kraju doprowadziłaby do wymiany rządu ze względów bezpieczeństwa.

Ta operacja jest nadal w fazie uwiarygodniania się podmiotu serwującego dokumenty na stronie Poufnarozmowa.info. Maile są prawdziwe. Gdyby tam się pojawiło choćby pięć sfabrykowanych maili, PiS by to wykorzystał do sfalsyfikowania całości. Znamy ich metodologię prowadzenia własnych operacji informacyjnych. Są to bowiem operacje informacyjne, w których uczestniczą służby specjalne, prokuratura i media.

Jednak nie wychwycili żadnego fałszywego maila, którym można by podważyć wszystko.

Możliwość uruchomienia kompromitujących czy intymnych informacji z ich komputerów wytwarza obawę wśród tych, którzy nie mają nic wspólnego z ruskim dziełem w Polsce, a jest ich oczywiście ogromna większość. Agentura wpływu, opierając się na ich przerażeniu, może prowadzić działania. Ujawnianie maili mogą naprowadzać zainteresowane osoby na pewne tematy. Czyli poszczególne osoby z kręgu Morawieckiego czy Dworczyka – o ile on nie jest tam operatorem – mogą wiedzieć, że może zostać

FOT. JAKUB WŁODEK / AGENCJA WYBORCZA.PL



***Gen. Piotr Pytel**

• ur. w 1967 r., absolwent psychologii na Wydziale Filozoficznym Uniwersytetu Jagiellońskiego. W latach 1994-99 pełnił służbę w Urzędzie Ochrony Państwa. W 1998 r. ukończył z wyróżnieniem kurs oficerski UOP. W latach 1999-2003 pracował w Generalnym Inspektoracie Celnym. Od roku 2003 do 2008 służył w Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego, a potem w Służbie Kontrwywiadu Wojskowego, której w latach 2014-15 był szefem. Po przejęciu władzy przez PiS w 2015 r. odszedł ze służby. Odznaczony m.in. Brązowym Krzyżem Zasługi i brązowym medalem „Za Zasługi dla Obronności Kraju”

odkryte coś, co chcieliby ukryć. Kapitalna sytuacja podejścia do człowieka: niech się pomęczą. Taki agent może nawet mówić coś w stylu: to chyba rosyjska robota, pewnie chcą, żebyś zrobił to i to. Albo bierzemy gościa i pokazujemy materiał, który ujawnimy, jeśli nie będzie z nami. Morawiecki, jeśli sam nie jest agentem rosyjskim, też może się bać publikacji niewygodnych rzeczy.

ROSJANIE MUSZĄ MIEĆ KOGOŚ W KPRM

Teraz zaczęli wypuszczać maile Obajtka. - To dowód, że Rosjanie mogą grać na PiS-ie jak na harmonii, przyciskając dowolny klawisz. Publikacja maili Obajtka czy groźba publikacji kolejnych to na razie komunikat: „mamy cię, masz wybór”. Może świadczyć o próbie wywarcia presji na Obajtku albo na samym Kaczyńskim. To nie znaczy, że Rosjanie rzucają mocniejszy materiał - może PiS da im wcześniej to, czego chcą. Jaki może być cel tego zagrania? Wyhamowanie z pomocą Ukrainie? A może, skoro ruszają Obajtka, polityka Polski ws. surowców energetycznych? My możemy się tylko domyslać, ale kierownictwo PiS dostało czytelną wskazówkę, czego żądają Rosjanie.

Zaraz po publikacji maila Obajtka PiS wróciło do relacji z Orbánem.

- Od początku oczekiwałem, że PiS znajdzie formułę oficjalnego powrotu do polityki sprzed wojny w Ukrainie, proputinowskiej. Stąd też ich wypowiedzi, że Niemcy są groźniejsi od Rosji. Może PiS szuka sposobu ponownego otwarcia się na rosyjski gaz.

Jak pan interpretuje to, że na razie w Poulfnej nie ma nic o Ziobrze czy Kaczyńskim?

- Na tym etapie operacja jest zaprojektowana na wywarcie presji połączonej z szantażem w polu operowania, jakim jest KPRM. Chodzi też o doradców, dyspozycyjnych dziennikarzy, ludzi premiera i ludzi Dworczyka, który zbudował imperium personalne. On funkcjonuje we wszystkich zakresach działania państwa. I przekracza kompetencje, np. w kwestii ingerowania w sprawy obronności. Dlatego dla mnie Dworczyk jest osobą podejrzaną.

Gdzie przekraczał?

- Obracał informacjami niejawnymi dotyczącymi uzbrojenia, stanu zdolności obronnych Polski. Dziwna była jego korespondencja z płk. Gajem, poruszanie kwestii broni eksperymentalnej, zestrzeliwania dronów, funkcjonalności amunicji precyzyjnej itd. To dane niejawne. Były tam też informacje dezawuuujące Polskę w oczach NATO. Zaraz też ktoś się włamał na konto facebookowe żony Dworczyka i opublikował wiadomość, że „sprawcami zostały ukradzione informacje...”, czyli zastosowano składnię rosyjską. To był swego rodzaju podpis.

Michał Dworczyk jest w większości maili dotyczących MON, spraw kadrowych. Może Morawiecki chce, aby był jego oczami i uszami w tym sektorze – no ale jego aktywność jest ponadnormatywna. Nie widzę, żeby samego Morawieckiego te tematy interesowały. Powstaje hipoteza, że duża część spraw dotyczących wojskowości, obronności, wyposażenia, uzbrojenia to własna aktywność Dworczyka. Pytanie po co.

Jak pan sobie odpowiada na to pytanie?

- Nie odpowiadam. I to nie jest oskarżenie, ale w sytuacji takiego zagrożenia państwa hipotezy należy postawić. Gdybym pracował w kontrwywiadzie, Dworczyk byłby tzw. figurantem sprawy objętym badaniem. Mówimy „maile Dworczyka”, bo wypłynął jako pierwsza ofiara tego cyrku. Ale nic mu nie zaszkodziło, może poza powołaniem się na maksymę SS „Moim honorem jest wierność”. Jego pozycja nie została naruszona, ostatnio wręcz rośnie. Dostał nawet nagrodę za „walkę” z COVID-em.

Za te wszystkie nadmiarowe śmierci.

- Niesamowite, prawda? A dlaczego zaczęło się od wejścia na jego skrzynkę? Z praktyki wiem, że operacje phishingowe to często przykrycie dla dostępu do konta uzyskanego dzięki temu, że służby mają w środku kogoś, kto im daje hasło. Dworczyk ma duży wpływ na Morawieckiego – a to musi być ktoś z tego kręgu. Rosjanie muszą mieć kogoś w KPRM lub wśród tych osób, które monitorują to, co się dzieje w środku, i wywierają presję, żeby tę rosyjską politykę realizować. Czy to science fiction?

Wielu ludzi tak pomyśli.

- To nie jest science fiction. To wynika z normatywów rosyjskich. Jeśli nie ma takiej agentury, nie odpala się takiej operacji. Z moich obserwacji wynika, że nastąpił wzrost prorosyjskich zachowań PiS po uruchomieniu Poulfnej. Myślę tu o kontaktach z europejskim środowiskiem proputinowskim. Putin tego potrzebował. Bo skoro uderzam w Ukrainę, to muszę wywołać w Europie dyskusję, czy warto się angażować w tę wojnę. Rosja dobrze to przygotowała od strony swoich wpływów. A co my zrobiliśmy? Nie widać, żeby kontrwywiad czy ABW zajęły się sprawą. Dworczyk ma status pokrzywdzonego – ale jeźliby działano zgodnie z zasadami sztuki, powinien być głównym podejrzanym.

Dlaczego tak jest?

- Każdy kontrwywiad, który by działał niezależnie, sprawdziłby Poulfną Rozmowę do ostatniej śrubki. Nasze służby zachowują się pasywnie. I może to już jest poza naszym zasięgiem. Kiedy obcy wywiad wchodzi na urządzenia komunikacyjne urzędników państwowych, to zawsze się przyjmuje, że brał w tym udział ktoś z bliskiego kręgu – w przypadku zabójstwa żony czy męża pierwszym typowanym jest współmałżonek.

Druga hipoteza: Rosjanie mogli zastosować wariant, w którym jedna z osób pozostająca pod ich kontrolą pracuje na obniżenie standardów bezpieczeństwa, czyli prowokuje innych własnym przykładem do zamieszczania w mailach treści wrażli-

Polityków nagrywano w kilkunastu knajpach. Ciągłe są w Warszawie miejsca kontrolowane przez Rosjan

wych – a każdy urzędnik po przeszkoleniu wie, że dla służby przeciwnika przejęcie kontroli nad mailami to abecadło. Nie wierzę, że Dworczyk czy Morawiecki nie mieli tej świadomości. W Sejmie Morawiecki i paru innych zakrywają sobie usta w czasie rozmów przez komórkę, żeby uniemożliwić czytanie im z ruchu ust. To świadczy o przezorności i jest niespójne z tym, że zamieszczają w mailach informacje dyskredytujące nas w polityce zagranicznej i działające na niekorzyść państwa polskiego.

MACIEREWICZ POWINIEN BYĆ ZATRZYMANY

Przypomnę jedną sprawę z Antonim Macierewiczem, bo to podobny przykład, jak można działać na rzecz Rosjan. Ujawnił w Sejmie ściśle tajne informacje, wszyscy mówili, że w celu wykorzystania w polityce bieżącej. A powinien być zatrzymany od razu.

Mówi pan o czym?

- W 2016 r. po audycie w MON, Służbie Kontrwywiadu Wojskowego i Służbie Wywiadu Wojskowego Macierewicz przedstawiał jego wyniki. Skłamał, że SKW podsłuchiwała dziennikarzy, co stało się podstawą do wszczęcia sprawy, w ramach której moim zdaniem Rosjanie uzyskują informacje o aktywności polskich służb specjalnych – kiedyś wypowiedim się dobitniej, teraz jestem objęty tajemnicą śledztwa.

Po kolei: za co Macierewicz powinien być wtedy zatrzymany?

- Za to, że z trybuny sejmowej ujawnił stan naszych rezerw kierowanych pocisków rakietowych, możliwości wykrywania obiektów nisko lecących w pobliżu granicy rosyjskiej. Informacje te były chronione gryfem „ściśle tajne”, ponieważ zawierały parametry pozwalające Rosjanom skutecznie operować na pewnych wysokościach.

Opozycjoniści, którzy znali Macierewicza, chyba odrzucają zarzut jego agenturalności.

- Staram się o tym nie rozmawiać, bo za każdym razem widzę uśmiech politowania – przecież to cały Antek, zawsze rozwał coś od środka. Tak? A kiedy zaczął? Z własnych doświadczeń wiem, że jeżeli mamy funkcjonować gdzieś w sposób skuteczny, udając kogoś, kim nie jesteśmy, to musimy być w tym tacy, jacy jesteśmy, z naszą czasem pokręconą osobowością. Pytanie, czy Macierewicz nie mógł być pochwycony na odpowiednio wczesnym etapie i czy koledzy go pamiętają już z tego okresu, kiedy przestał być panem samego siebie. Nie będę na ten temat dywagował. Faktem jest jego konsekwencja w niszczeniu MON i wstrzymaniu modernizacji polskiej armii. Równie ciekawą sprawą jest sposób prowadzenia komisji smoleńskiej, od czego właściwie zaczął się ten jakże korzystny dla Rosji zwrot w Polsce i obsadzenie PiS, który wzrósł na legendzie zamachu.

Ale gdyby chciał przekazać tajne dane Rosjanom, to dałby im je w ukryciu, a nie w Sejmie.

- Minister obrony narodowej, ogłaszając informacje, których ujawnienie grozi bezpieczeństwu państwa, wysyła sygnał do naszych sojuszników – Amerykanów, Niemców, Brytyjczyków – że każda informacja niejawna może być przez nas ujawniona. Czyli odcina Polskę od informacji od nich. Czyżby nieświadomie?

Gdyby Macierewicz donosił Rosjanom po cichu, to Polska nie byłaby odcięta od informacji od sojuszników z NATO, a wtedy dzięki np. agenturze w KPRM Rosjanie mogliby takie informacje przechwytywać. Czy to nie dogodniejsze dla Rosjan?

- Skąd wiadomo, co dostają po cichu?

Najbardziej krytycznym momentem dla każdego oficera werbującego źródło w siłach zbrojnych jest moment, gdy ma przekonać taką osobę do ujawnienia informacji chronionych – u werbowanego zapala się czerwona lampka, że może zgnić w więzieniu. To, co wykonał Macierewicz, ułatwia przejście tego progu. Oficer rosyjskiego wywiadu bądź jego agent działający pod przykryciem może prosić o rozwinięcie tematu, przecież to żadna tajemnica, wasz minister mówił o tym publicznie – i gościu się rozwija. Jeżeli ma do tego zachętę w postaci pieniędzy i jest zmiekczony alkoholem, to może powiedzieć za dużo. Rosjanie ro-

bią różne rzeczy, żeby ten próg oporu obniżyć. Kontrwywiad wojskowy powinien był od razu zareagować, zwłaszcza że informacje niejawne padły z trybuny sejmowej. Nie zrobiono nic.

A co służby powinny zrobić z mailami Dworczyka?

- Eksperci, kontrwywiad, ośrodki analityczne określają wektory oddziaływania przeciwnika, cele, możliwe konsekwencje i tworzą plan przeciwdziałania. Najważniejsze jest uruchomienie kontrnarracji, czyli rząd tłumaczy obywatelom: staliśmy się ofiarą ataku, to jest prawda, to nieprawda, robimy to i to. U nas nie ma szans na coś takiego. Na tym też polega geniusz Poulfnej (bo z punktu widzenia Rosjan to dobrze prowadzona operacja), że PiS nic nie może zrobić. Bo co powiedzą? Kurczę, wiecie, tak nam się wymknęło, byliśmy nieuczciwi dwa, pięć, 80 razy? Sprawa jest też dobrze przygotowana technologicznie – nie udaje się jej zgasić na poziomie internetu. Nie widzimy, co jest głównym celem tej operacji.

Rosjanie mogą przejść do fazy ostrej, czyli albo ten rząd wywalić, albo – odwrotnie – odpalić maile opozycji, choćby sfałszowane. Po to, żeby zwiększyć szanse PiS w wyborach. Jaki to byłby zwrot! To by rozgrzeszyło PiS, a nasza prasa uwielbia walić w opozycję. Niech mi pani powie, dlaczego dziennikarze bardziej się interesują przewinami opozycji niż przestępstwami PiS?

Panie generale, to środowisko jak każde inne, niektórzy mają problem z odróżnianiem prawa od bezprawia, prawdy od kłamstwa. Część się boi, część jest sceptyczna.

- Dla mnie to nieprawdopodobne. Najprostsze wytłumaczenie jest takie, że muszą być jakoś głaskani albo nagradzani, ale takie rzeczy realizuje się konspiracyjnie. Dziennikarze współpracujący z PiS w wielu mediach działają na pierwszej linii, więc działalność usługowa dla PiS może mieć szerszy charakter. Jak PiS robi coś złego, to mówią, że Platforma robiła to samo. A jeśli PiS przekracza wszelkie granice, to nie komentują albo tłumaczą, że można na to różnie spojrzeć. Typowe postawy wynikające z poczucia zagrożenia i chęci zyskania na sytuacji. Jednak jesteśmy postkomunistycznym społeczeństwem z genem niewolnika.

Z Polakami dzieje się coś niedobrego. Niektórzy są zaccadeni albo mają z nimi układy – ale dlaczego my nie potrafimy zrozumieć sytuacji? Trwa zaawansowana realizacja procesu katastrofy, a my mamy problemy z priorytetami. Dzisiaj istotne jest to, czy PiS będzie dalej rozkradał państwo i rujnował jego strukturę, a po wyborach zrobi tu jakiś rodzaj czystego autorytaryzmu z pełnymi represjami. Albo ludzie się przebudzą.

Raz gościu z dużego portalu pisał o wejściu Misiewicza do Centrum Ekspertckiego Kontrwywiadu NATO i naszych pierepalkach z Macierewiczem po 2015 r. Przyczepił się, dlaczego miałem tam prywatne bety. Mówię, że przeniosłem je za zgodą szefa CEK z mieszkania służbowego, które zwolniłem, a ten do mnie, że coś tu nie tak. Ludzie Macierewicza wchodzą w nocy bezprawnie do instytucji NATO, a dziennikarz ocenia, że i oni są winni, i my. Za jakiś czas gościu zaczął być zapraszany przez MON na różne imprezy. Kurde, czy waszego środowiska nie stać na piętnowanie czegoś takiego? Mnie się wydawało, że służby, w których byłem, to swego rodzaju zaraza i sporo tam kanałii, aczkolwiek honor się liczył. Ale dziennikarze?

PRZYGOTOWANIE TOWARU DLA PUTINA

Pan i Krzysztof Dusza, szef CEK NATO, po pięciu latach walki wygraliście z Macierewiczem proces, bo oskarżył was o trzymanie tam dokumentów niejawnych.

– Tak, ale spodziewamy się odwołania i potem pewnie wniesienia kasacji nadzwyczajnej przez Ziobrę. Macierewicz powiedział publicznie, że znaleziono tam dokumenty dotyczące naszej współpracy z FSB i dokumenty dotyczące katastrofy smoleńskiej. Kłamał. Potem mówił, że są tam inne dokumenty niejawne, i to się stało podstawą aktu oskarżenia. Zastanawiałem się, o które dokumenty mogło mu chodzić, co chciał zabezpieczyć. Opowiadałem pani, że PiS wysłał do mnie posła komisji służb specjalnych Marka Opiołę, żebyśmy nie kopali pod Macierewiczem. Ale dzisiaj mogę powiedzieć, że była jeszcze jedna sprawa, która dla Macierewicza mogła być istotna.

Tak?

– W 2015 r. ujawniliśmy jako Służba Kontrwywiadu Wojskowego podsłuch i ukryty podgląd w restauracji warszawskiej w czasie spotkania ministra obrony Tomasza Siemoniaka z odpowiedniczką z Holandii. Pojawiła się o tym informacja w prasie.

I jaki to problem?

– Ktoś może chciał wiedzieć: jak oni to wykryli? Czy tylko ta restauracja została rozpracowana? Co jeszcze SKW wie o aferze podsłuchowej, która wywaliła rząd PO? Nie mogę wszystkiego powiedzieć, ale mogli być ciekawi, czy odkryliśmy też inne restauracje, gdzie były studia nagraniowo-podsłuchowe.

Chodzi o inne restauracje niż Sowa & Przyjaciele i Amber Room, w których podsłuchiowano polityków PO?

– To nie były tylko te dwie knajpy – była cała sieć knajp, kilkanaście. Dużo większe przedsięwzięcie rosyjskie, niż się uważa. Ciągłe funkcjonują w Warszawie miejsca kontrolowane przez Rosjan. Rosjanie nadal mogą przez pośredników zbierać informacje na temat biznesmenów i polityków w celu rozeznania w środowisku czy szantażu. Ktoś, kto zdecydował o wejściu do CEK, chciał zobaczyć dokumenty – w jakim zakresie myśmy to rozpracowali. Może ten ktoś podejrzewał, że zabraliśmy polisę ubezpieczeniową na przyszłość. Zamykamy sprawę podsłuchów – ale zostają informacje, dokumenty, stenogramy, filmy.

Są takie?

– Na pewno nagrywano też polityków PiS. Co było na opozycję, to wypstrykano, ale nieujawnionych nagrań jest dużo. Macierewicz chciał zobaczyć, co my mamy na niego – ale chodziło też o te podsłuchy w knajpach. To nie tylko hipoteza, to jest oparte na analizach ludzi bezpośrednio zaangażowanych. A pierwsze do takich wniosków doszły służby amerykańskie. Nie powiem o szczegółach. Sam się dziwię, dlaczego Amerykanie na to wpadli, a my nie. Przecież nie wiedzieli tego, co myśmy wiedzieli.

Jeżeli przyjąć – co Grzegorz Rzeczkowski ładnie opisał – że dzięki tym podsłuchom Rosjanie wydzignęli PiS do władzy rękoma, jak to mają w zwyczaju, podstawionych ludzi, bo Rosja Polakom śmierdzi, to nie zrobili jej takiego prezentu tylko dlatego, że to partia populistyczna i będą się z nią dobrze dogadywać. Jeżeli instalujemy jakiś rząd albo sprzyjamy jakiejś partii, to musimy mieć możliwość – wedle doktryny rosyjskich służb specjalnych – kontrolowania tej formacji po objęciu przez nią władzy. Mówiąc wprost: żeby PiS mógł być tym pieścidelkiem rosyjskim i dostać władzę, Rosjanie musieli już wtedy mieć swoich ludzi w PiS albo Solidarnej Polsce Ziobry.

Gdyby teraz był pan szefem kontrwywiadu, gdzie by pan szukał?

– W najważniejszych ośrodkach władzy, także wśród uczestników narad u Jarosława Kaczyńskiego. Struktura PiS jest nietransparentna, wiele funkcji nie odpowiada rzeczywistym kompetencjom. Wiemy, że rządzi Kaczyński, ale nie wiemy, kto ma wpływ na jego decyzje. Kaczyński, zaślepiony potrzebą posiadania władzy bezwzględnej, może być obiektem manipula-

cji jako człowiek podejrzliwy. Takich łatwo rozgrywać. On jest lękowy i nie myśli strategicznie, lecz raczej cieszy się projektami podrzucanymi przez innych. Kto mu np. podsunął Morawieckiego?

Były te spotkania PiS z proputinistami. W listopadzie 2021 r. polskie władze dowiedziały się od Amerykanów, że Rosja najedzie Ukrainę, a w grudniu pisowski europoseł Tomasz Poręba zorganizował w Warszawie szczyt populistów, na który zaproszono m.in. Le Pen. Kaczyński wziął w tym udział. Chodziło o pokazanie światu, że przyjaciele Putina tworzą alternatywę dla Unii Europejskiej, co obniży prawdopodobieństwo tego, że Europa uzna go za banitę. Czytelne, prawda? A jak było spotkanie Orbána, Salviniego, Morawieckiego, to pomyślałem,



FOT. MACIEK JAZWIECKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

Dworczyk ma status pokrzywdzonego, a powinien być głównym podejrzanym

że tylko zapomnieli wnieść na scenę flagę rosyjską. Czy nie widzi tego Kaczyński, trudno uwierzyć, bo widzimy to wszyscy.

Kiedy już wiedział, że wybuchnie wojna, chciał budować mur na granicy z Ukrainą.

– To daje do myślenia, jak przerażająca jest siła wpływów rosyjskich.

A wyjazd Kaczyńskiego i Morawieckiego do Kijowa i propozycja wprowadzenia sił stabilizacyjnych? To uruchomiło Ławrowa: Polska czyha na swoje dawne terytoria w Ukrainie. Czy Kaczyński ma taki budyń w mózgu, że bąknie coś takiego bez konsultacji? Nie wierzę. To propozycja dużego kalibru, musiała być przygotowana, i dałbym spore pieniądze, żeby się dowiedzieć, kto za tym pomysłem stał. Bo to była idea kogoś, kto robi dla Rosjan.

Nie widzę Kaczyńskiego jako człowieka, który by parł do obecności Polski na dawnych terenach Rzeczypospolitej. Jego interesuje to, co tutaj. Ale każdemu można sprzedać shit, jak jest ładnie opakowany. I to było coś takiego. Odrzucił to sam Zełenski, a Kaczyński nie konsultował tego z NATO. Co gorsza, już po rozmowie z Zełenskim Kaczyński powiedział, że i tak proponuje wejście wojsk do Ukrainy. Ktoś, kto go do tego przekonał, musiał to zrobić w sposób artystyczny. Morawiecki? Ktoś z delegacji? Albo Orbán. Moim zdaniem Kaczyński został zmanipulowany. No ale intelektualnie on nie funkcjonuje najgorzej. Jest świadom rosyjskich wpływów w jego partii, być może sam uczestniczy w jakimś dealu z Rosją.

Co pan ma na myśli?

– Moim zdaniem Kaczyński wie, że w PiS czy SP są osoby, które reprezentują interesy rosyjskie i mają wpływ na politykę polską. Jemu nie przeszkadza, że Rosja tu operuje. Perspektywa jego życia jest na tyle krótka, że może się nie przejmuje, co po-

nim. Według mnie on żyje tylko własną osobą, kochał brata, matkę, ale nie jest to ojciec narodu. Nie czuje się u niego wyższego poziomu funkcjonowania duchowego. Jakby udowadniał sobie, że chociaż nie jest szanowany, to będzie na górze – i teraz ma to apogeum.

Można przypisywać jego charakterowi, że mści się na elitach i dzieli społeczeństwo, a podzielonymi łatwiej rządzić. Ale co z destabilizacją państwa? To powoduje wybicie dużych grup z neutralnego stanu i podwyższa ryzyko niepokojów społecznych. Autorytarny władca woli, jak jest spokojnie, ale PiS robi rzeczy w przeciwnym kierunku.

Bo co się z Polską dzieje? Główny cel oddziaływania rosyjskiego to podział spo-

jako państwo planujemy – mamy sieczkę. Rząd coś serwuje jednego dnia, a drugiego to zmienia. Jest chaos poznawczy przy jednoczesnym zachowaniu treści, które sprzyjają podziałowi narodu.

Jeśli ludzie nie mają perspektyw, to jest jak w Rosji: najbardziej nas interesuje, czy zarobimy dodatkowe pieniądze, czy kupimy telewizor – u nas może samochód. A na układ nie ma rady. Ludzkie w sumie. Może inflacja napędzi sprzeciw, ale i to może Polacy zaakceptują. Żle jest patrzeć na wielkość. Ja raczej szedłem tam, gdzie inni nie chcieli – to dobry sposób na życie. Wymaga trochę odwagi, a że czulem się tchórzem, to chciałem sobie udowodnić, że tchórzem nie jestem. A jeśli nie ma się nic do udowodnienia, tylko się żyje od grilla do grilla, to generalnie jest dupa. Z takimi ludźmi zrobią, co chcą. To jednostki zawsze stanowiły źródło oporu i natchnienia dla innych.

Upodobniamy się do społeczeństwa rosyjskiego przekonanego, że nie można nic zrobić, że trzeba się zachowywać poprawnie. Ludzie przestali sami siebie widzieć podmiotowo. Jakby przygotowanie towaru dla Putina. W sumie to samobójcza działalność formacji rządzącej – ale jeśli przyjąć matrycę rosyjską, to wszystko się zgadza. Maksymalnie duża liczba obywateli staje się podmiotem pozbawionym prawa do decydowania o sobie i sprawach publicznych w swoim państwie, ci ludzie są odrzucani przez rząd.

OPERACJA BREJZA

Ci ludzie, czyli my.

– Nawet my ulegamy czasami narracji pi-sowskiej, np. kiedy serwują jakieś kłamstwo, a my nie mamy danych, żeby to zwerifikować. Początkowo taka informacja może na nas wpływać. Te zewnętrzne metody rosyjskie PiS stosuje wobec dużej części własnego narodu. Przykładem sprawa Krzysztofa Brejzy, którą zbadałem i nazwałem „Operacja Brejza”. Jej początki sięgają stycznia 2016, od zakupu Pegasusa. To w swojej formie operacja czysto rosyjska, użyto służb specjalnych, prokuratury i mediów pisowskich – zrobili na temat Brejzy aż 600 audycji.

Dlaczego czysto rosyjska?

– Takie operacje robią Rosjanie. Nie robi tego Białoruś. Nie robią tego kraje, gdzie opozycję się likwiduje, jak Arabia Saudyjska. Nie robi się takich rzeczy w Stanach ani w żadnym kraju europejskim – nie da się. To operacja charakterystyczna dla krajów autorytarnych, gdzie możliwe jest skoordynowanie działań służb, prokuratury i mediów. W „Operacji Brejza” mózgiem wykonawczo-operacyjnym było CBA, gdzie prawdopodobnie doszło też do fałszowania dowodów dla prokuratury. Prokurator generalny musiał wydać zgodę na kontrolę operacyjną, czyli podsłuch w przypadku Brejzy, i na działanie poza tą procedurą w przypadku jego ojca, którego telefon też został zaatakowany Pegasusem. Potem uruchomiono media.

Nie jest możliwe skoordynowanie działań przestępczych tylu instytucji w kraju demokratycznym. Mówimy o rozbudowanej operacji w celu ukształtowania opinii publicznej zgodnie z interesem partyjnym, zastraszania, zbierania kompromatów, zdobywania informacji kluczowych z punktu widzenia bieżących interesów tej partii. W 2019 r. Krzysztof Brejza był szefem sztabu wyborczego Koalicji Obywatelskiej. Wszyscy, którzy mieli z nim do czynienia, byli także bezprawnie podsłuchiwani i oglądani. Bandyterka.

Sprawa się wydała, bo PiS wpadł na tym, że Pegasusa sfinansowali z Funduszu Sprawiedliwości Zbigniewa Ziobry – ale sam Fundusz by nie wystarczył, musiała być składka z różnych funduszy i operacji służb. Pegasus szalał po różnych telefonach i o wielu nigdy się nie dowiemy. Ale aktywność podsłuchowa służb CBA i SKW świadczy o tym, że oni wciąż mają niejed-

kombajn do robienia takich rzeczy. Nie tylko Pegasusa, ale też inne bliźniacze narzędzia inwigilujące.

Co konkretnie na to wskazuje?

– Nienormalnie wysoka liczba podsłuchów wykonywanych nie tylko przez Centralne Biuro Antykorupcyjne, ale i przez Służbę Kontrwywiadu Wojskowego – dzisiaj to najbardziej zaufane dla PiS służby. W 2018 r. SKW przeprowadziło 60 podsłuchów, a CBA – 374. W 2019 – to rok wyborów parlamentarnych – SKW podsłuchiwało już 196 osób, CBA – 375, i jeszcze ABW złożyło 205 wniosków o podsłuch. W 2020 – czas wyborów prezydenckich – SKW złożyło 133 wnioski o podsłuch, CBA – 298, ABW – 214. Liczby z kosmosu! Dla porównania dane z moich czasów, przepisowskich: w 2015 r. SKW przeprowadziło tylko 20 kontroli operacyjnych, a CBA – 205.

W 2019 r. liczba wniosków SKW o zastosowanie podsłuchów przekroczyła 300 proc. w stosunku do roku 2018 – a Wojсковy Sąd Okręgowy w Warszawie niemal wszystko zatwierdzał. Totalne przegięcie pały.

Czyli nie tylko CBA, jak do tej pory sądzono, ale i inne służby specjalne dysponują urządzeniami typu Pegasus, które pozwalają na szybkie uruchomienie podsłuchu, kamery, oglądanie na komputerze, co dana osoba ma w telefonie – i dowolne zmienianie tej zawartości, jak to zrobiono w przypadku senatora Brejzy.

PiS w 2016 r. zmienił prawo dotyczące kontroli operacyjnej, umożliwiając pobieranie z telefonu wszelkich materiałów. Kontrola operacyjna jest zarządzana na trzy miesiące. Wcześniej można było – w tym ściśle wyznaczonym czasie – podsłuchiwać gości, przechwytywać jego korespondencję i stosować środki techniczne umożliwiające utrwalanie dowodów. Teraz służby mogą sięgać po wszystko, co jest w telefonie – nawet sprzed lat, jak w przypadku Brejzy. To jak tajne przeszukiwanie. Zmienili ten przepis ewidentnie pod Pegasusa.

Służby mogą u kogoś w telefonie znaleźć stare treści intymne i dowolnie je wykorzystać, np. jako kompromat do szantażu. Mogą też zrobić dużo więcej w telefonie niż sam użytkownik. Podsłuchiwać, nagrywać, filmować – nawet jak ma pani czarny ekran. Mogą pani wrzucić pliki z pedofilią albo wstawić esemesy, w których umawia się pa-

ujawnić dowolne informacje mediom nawet na etapie toczącego się postępowania przygotowawczego. Niesłychane!

Rosjanie robią to samo. Ingerują w komputery np. niepokornych dziennikarzy, wgrywają im różne rzeczy, po czym dokonują przeszukania. Następnie uruchamiają przekaz medialny. U nas w przypadku Brejzy podawano, że jest zaangażowany w przestępstwa. Aż 600 audycji! Rażące pole ostrzału. To dociera nawet do osób, które cenią senatora. Zastanawiają się, że coś może być na rzeczy. Bo PiS skutecznie rozbił też w naszym społeczeństwie model autorytetu. Nikomu nie można wierzyć. Straciliśmy kotwicę. Trochę jest prawdy tu, trochę tu. Zrównanie prawdy i kłamstwa jest charakterystyczne dla państw totalitarnych. Nie znam bliżej senatora Brejzy – ale człowiek został opluty.

Wiemy, że PiS nas podsłuchiwał Pegasusem, a oni nadal to robią?

– Jasne. Dzisiaj w ramach kontroli operacyjnej wystarczy mieć przesłanki do jej zastosowania – a mają swoich prokuratorów. Każdego można do czegoś przypiąć. Pewnie pani też przechodziła kiedyś koło jednostki wojskowej?

Casus Brejzy świadczy o tym, że podsłuchują także poza kontrolą operacyjną, bez umocowania w prawie. Brejza miał dwa okresy stosowania kontroli, każdy po trzy miesiące. W pewnym momencie służby dołączyły jego ojca, wysłały mu phishingowego esemesa, który, podobnie jak mail, instaluje Pegasusa na telefonie. Mogą też zainstalować nam Pegasusa zero-click, bez żadnej interakcji, z tym że taki atak jest droższy.



FOT. TWITTER / @PISORGL

W listopadzie 2021 r. polskie władze dowiedziały się, że Rosja najedzie Ukrainę, a w grudniu Kaczyński wziął udział w szczycie proputinowców. Chodziło o pokazanie, że przyjaciele Putina tworzą alternatywę dla UE, żeby Europa nie uznała go potem za banitę

ni na odbiór marihuany w danym miejscu, bo wiedzą, że pani tam będzie. Ten esemes nie idzie do odbiorcy, ale jest w pani telefonie. To im wystarczy, by podjąć akcję.

Tak to każdego można załatwić.

– W przypadku Brejzy spreparowali maile na temat handlu telefonami i dali to Samuelowi Pereirze z TVP – to kryminał. Pereira, żeby zaświadczyć ich autentyczność, powiedział, że pochodzi z prokuratury w Gdańsku. To możliwe, bo PiS w 2016 r. wprowadził też nowe przepisy w ustawie o prokuraturze. Art. 12 mówi, że każdy prokurator upoważniony przez Ziobrę może

Jeśli zobaczymy trąbę słonia wystającą z dżungli, to myślimy, że to wąż – a tam jest jeszcze schowana gigantyczna dupa, korpus i uszy. Budujemy obraz rzeczywistości na podstawie fragmentów. Biorąc pod uwagę to, że PiS wprowadził te zmiany w przepisach, Pegasusa kupiono do walki politycznej z opozycją. Jestem przekonany, że Pegasus był także stosowany w kampanii prezydenckiej Rafała Trzaskowskiego w 2020 r., tu casus Sławomira Nowaka, który był w jego sztabie wyborczym. Tam, gdzie był telefon Nowaka, było podsłuchiwanie wszystkich ze sztabu – co na gruncie prawa polskiego jest nielegalne.

PiS może mieć informacje intymne o wielu innych ludziach opozycji, politykach, dziennikarzach. Teoretycznie po zakończeniu kontroli operacyjnej wszystko powinno zostać komisyjnie zniszczone, ale jestem przekonany, że to, co już nagrane, jest skopiowane i gdzieś zdeponowane. Kto może trzymać coś takiego? Dadzą Kamińskiemu? A jak się zbiesi? Może jakiś doradca Kaczyńskiego? Akta z IPN się zestarzały, więc sobie robią nowe.

FURA KASY DO ZROBIENIA W ROSJI

Czyli czekają nas niespodzianki, np. przed wyborami?

– Może będą na tyle silni, aby po to nie sięgać. Może to jest zostawione na ciężkie czasy, gdyby przegrali. PiS jest atrakcyjną formacją dla Rosjan także w życiu pozagrobowym. Jeśli polski naród wywali PiS w wyborach, to oni z pomocą Rosjan zgotują Polakom piekło. Patrząc na te gigantyczne liczby podsłuchów dokonywanych przez małe polskie służby, można się spodziewać, że zebrano nieprawdopodobną liczbę informacji o oponentach politycznych.

Zielone światło na stosowanie Pegasusa – nie wobec terrorystów, do czego jest przeznaczony – ale wobec ludzi opozycji musiał dać Kaczyński. Tu była potrzebna krysha państwowa, decyzja polityczna z samej góry. Przecież wszyscy, popełniając to przestępstwo, ślizgali się po ostrzu brzytwy – CBA, prokuratura i Pereira, czyli TVP i Jacek Kurski. Tak jak w Rosji jest Kreml, który zarządza np. zamordowanie Skripała al-

ski nie może pozwolić, żeby służby przejęły kontrolę nad partią i państwem. Podobnie to funkcjonuje w systemie rosyjskim.

Prześiąkamy Rosją. A na tezę, że tutaj działa rosyjska agentura, zazwyczaj kontrargument jest taki, że PiS z głupoty robi takie rzeczy, które systematycznie się wpisują w rosyjskie interesy.

Szukające, i to mądrzy ludzie tak mówią.

– Mnie to nie szokuje. Wszystko, co mówię, jest oparte na faktach i moich ocenach. Nie ma w tym chęci dopieprzenia za wszelką cenę – bo wtedy spada jakość uderzeń. Jestem otwarty na argumenty, dlatego spotykamy się z Salviniem, Le Pen, współpracujemy z Orbánem itd. – i proszę mi nie mówić, że to się zakończyło. To zostało tylko wyciszone ze względu na aktualną sytuację w Ukrainie. Jednak pomoc Ukraińcom nie jest zmianą orientacji. Jesteśmy krajem o położeniu kluczowym dla wsparcia wysiłku wojennego Ukraińców i znajdujemy się teraz na szczęście pod dużym oddziaływaniem Stanów Zjednoczonych.

Podwójna gra?

– Rosjanie to rozumieją, oni też posługują się retoryką osłonową. Że prawica to największe zło, że nie ma z nimi relacji – doskonale przykrycie.

Nie ma chyba nic gorszego niż chora podejrzliwość, ale czy my, tłumacząc głupotą ruchy polityczne PiS, nie ogłupiamy samych siebie? Przez ostatnie sześć-siedem lat tłumaczmy sobie, że za ich działaniami stoją intencje lepsze, niż się wydaje. Zakładamy sobie opaskę na oczy. Ja przynajmniej czuję się uprawniony do formułowania takich hipotez, bo żyjemy w kraju pozbawionym realnie działającego kontrwywiadu.

Ludziom, którzy nie wierzą, że Rosja tu jest, pomogę to zrozumieć. Z agenturą jest jak z powietrzem – jej nie widać, inaczej nie miałyby sensu. Ale trwa proces rozbudowywania u nas rosyjskiego raka, czyli przetwarzania komórek na to, czym Rosjanie są w stanie operować.

Ile to razy ludzie mi mówią, że to nie tak, jak opowiadam – i lecą mi tym pisowsko-rosyjskim oglądem spraw. To nie zła wola, ale widać, ilu z nich padło ofiarą działania informacyjnego. Są przekonani, że to ich własne poglądy – właśnie o to chodzi, żeby tak myśleli. Tradycja rosyjskiego oddziaływania psychologicznego, to, co nazywamy operacjami wpływu – a to narzędzia groźne jak karabiny – wywodzi się ze struktur przy Głównym Zarządzie Politycznym Armii Związku Radzieckiego. Rosjanie mają doświadczenia w porządkowaniu umysłów, żeby nie było buntów.

Stoimy po kolana w powodzi kłamstw. Stajemy się gorszymi ludźmi, nienawidzimy innych, stosujemy podwójne standardy w ocenie ludzi: nasz-swoj. Widzę tu oddziaływanie według rosyjskich gier o społecznej świadomości. To, co powinno być oczywiste, rozmywa rządowa propaganda...

Jak obraz katastrofy w Odrze.

– Nowa era postprawdy wymaga adaptacji społeczeństw. Ale już są instytucje, które prowadzą robotę uświadamiającą, np. Stratcom na Łotwie pod auspicjami NATO, żeby docierać do ludzi z prawdą. Masz NGO-sów zajmuje się prostowaniem kłamstw. Cywilizacja zachodnia przygotowuje się do nawałnicy informacyjnej. Nie można żyć w kłamstwie w nieskończoność, ponieważ brak orientacji każdego organizmu w otoczeniu doprowadza go do śmierci. W końcu nauczymy się identyfikować informacje na metapoziomie, pod kątem tego, kto jest nadawcą i jakie ma motywacje.

Rosjanie mają z pięć, 10 lat przewagi, w tym czasie takie społeczeństwa jak polskie będą jak stado baranów. Rosja dąży do destrukcji naszego społeczeństwa wewnątrz, nasilenia w nim konfliktów. I do alienacji naszego kraju. Już jesteśmy odseparowywani od Unii i NATO – to też dzieło PiS. W ogóle największym sukcesem Rosji w Polsce jest PiS.

Zgoda Kaczyńskiego na działania pro-rosyjskie jest tak duża, że nasuwa pytanie, czy to nie jest jego świadoma polityka. Przypomina mi się debata Komorowskiego z Kaczyńskim z kampanii prezydenckiej w 2010 r. Kaczyński powiedział, że kwestie polityki wobec Białorusi należy uzgadniać z Rosją. Bronisław Komorowski odparł, że to niesłychane: „Pan chce rozmawiać o suwerennym kraju z Rosją!”. Ano to jest właśnie spojrzenie Kaczyńskiego na rzeczywistość, w której Polska jest zanurzona. Tę optykę należy brać pod uwagę, myśląc np. o aferze podsłuchowej, która wywalila rząd PO: Rosja ma tutaj tak duże możliwości wpływu, że może ingerować w sprawy wewnętrzne Polski, z Rosją należy się dogadać albo tak ustawić, żeby Kreml widział pozytywy funkcjonowania u sterów nasze-go państwa takiej formacji jak PiS.

Kaczyński od 2015 r. nie wykazał żadnej aktywności, żeby Polskę zabezpieczyć przed wpływami i potencjalnym zagrożeniem militarnym ze strony Rosji.

Przeciwnie, zaczęło się rozwalanie armii, służb.

– No i PiS odwrócił się plecami do Stanów Zjednoczonych tylko dlatego, że Trumpa nie ma. Dlaczego im nie odpowiada Biden? Bo chce przywrócenia praworządności w Polsce. Trump proponował inne rozwiązania dla naszego regionu, miały polegać na zbliżeniu z Rosją.

Biden postawił PiS w sytuacji bez wyjścia. Teraz Polska oddaje Ukrainie czołgi, sprzęt wojskowy. Błaszczak – dopiero po siedmiu latach! – robi zakupy. Zapowiedział, że się zabierze za obronę przeciwrakietową – a przecież oni to zaorali, mieliśmy tylko to, co zdążył zrobić Sieroniak. PiS okradł nas z czasu. Bez radarów dookólnych, które wychwytują, co się dzieje na Białorusi i w Królewcu, możemy być rozpieprzeni. Już pomijam śmigłowce i Macierewicza. Chcą kupować mobilną broń pancerną, czołgi. OK – ale dlaczego dopiero teraz? Skąd idą na to pieniądze? Czy nie jest tak, że finansują nas Stany Zjednoczone, i to cała zagadka? PiS się kocha ze Stanami Bidena tak, wie pani, przez prezerwatywę.

Gdy Biden wygrał, okazało się, że PiS bez Trumpa waży 5 dkg. Teraz dzięki wojnie w Ukrainie zyskują, są Amerykanom potrzebni. Ale wojna może przygasać i wrócimy do podstawowych rozstrzygnięć – gdzie ta Polska ma być, na Wschodzie czy Zachodzie. Oni to antycypują. To dlatego Krasnodebski kreuje optykę, że Putina nie trzeba się bać, że zagrożenie i zło to Zachód. On tego nie wydalil sam z siebie. PiS patrzy już do przodu – wypowiedź Krasnodebskiego to jaskółka powrotu do marszu na Wschód.

Pewnie ambicją Kaczyńskiego jest bycie nie łącznikiem, ale podmiotem, pośrednikiem w relacjach między Zachodem, Rosją a trumpowskimi Stanami – część środowiska republikańskiego pracuje nad powrotem Trumpa do władzy lub kogoś, kto będzie realizował jego politykę. To koresponduje z interesami tych wszystkich w PiS, którzy tak lubią pieniądze. Dlatego ja patrzę na sprzedaż Lotosu podmiotom kontrolowanym przez Rosję czy powiązanym z Rosją – to dotyczy i węgierskiego MOL-a, i saudyjskiego Aramco – jako na wiano początkowe. To znaczy: my się już angażujemy po tej rosyjskiej stronie na przyszłość.

Lotos to wiano dla Rosjan?

– Nie widzę innego wytłumaczenia – to wali po oczach. Nie siedzę w sprawach energetycznych, ale dla Putina to zawsze była broń, nie tylko interes. A MOL jest specyficzną firmą z kontrwywiadowczego punktu widzenia, o strukturze i infrastrukturze postrzeganej i wykorzystywanej przez rosyjskie służby specjalne jako wehikuł – i to jest clou. Mógł to zahamować Kaczyński, ale podwładni musieli go przekonać do tej transakcji. Obajtek jest tu za krótki. Może nie trzeba się tu doszukiwać ekwilibrystyki, tylko po prostu dużych pieniędzy dla

partii gdzieś na boku. Chodzi o wspólne ro-bienie w przyszłości interesów z Rosją, tak- że prywatnych.

Morawiecki jest stosunkowo młody. On i wielu innych liczą, moim zdaniem, że nie uda się Rosji odizolować od Zachodu. Europa dogada się z Putinem lub jego następcą. Żyjemy w strefie, gdzie surowce i ich transfer to broń strategiczna. Rosja dalej będzie miała surowce, będzie nimi uzależniała inne kraje. O zmianach, które mogłyby wtedy nastąpić, myślą jako o dobrym dla nich rozwiązaniu.

Na ogół staramy się doszukać w działaniach PiS jakiejś linii politycznego postępowania. A te działania są tak nieudolne, że postrzegamy ich jak bandę idiotów. Nieprawda. Mamy do czynienia z typową złodziejską formacją. Ich celem jest zgromadzenie jak największego kapitału. To łącznik tej formacji z Orbánem i z Rosją. Chciwość jest zasadą funkcjonowania PiS.

I dlatego ciągną nas na Wschód?

– Nie znajduję innych przekonujących przesłanek, dla których rozbijają państwo polskie, poza tą furą kasy, która jest do zrobienia w Rosji. Często najprostsze rozwiązania tłumaczą zjawiska od siebie odległe. Rosja jest jednym z największych na świecie posiadaczy bogactw naturalnych: ropy, gazu, węgla, metali, minerałów, diamentów itd. Rządy Trumpa to był okres ożywionych kontaktów z Rosją, lotów amerykańskich tajkunów do Rosji, a on sam wspominał o planach inwestycyjnych na jej terenie. Może przed wojną w Ukrainie Morawieckiemu i Orbánowi marzyło się spieć wydobycia ropy naftowej w Stanach ze złożami rosyjskimi i jakiś rodzaj pośrednictwa.

Generalnie wszystkim chodzi o kasę. Chociaż na Trumpa Rosjanie mają pewnie kompromaty – brytyjski agent Christopher Steele pisał o prztytutkach, sikaniu na łóżko itd. Ja w to wierzę, bo to kolega i współpracownik innego agenta, mistrza w swoim fachu, dzięki któremu miałem okazję spotkać się i rozmawiać ze Skripalem. Takie materiały w purytańskiej Ameryce Trumpa by rozwalily.

Do tej chciwości dochodzi, uważam, oddziaływanie rosyjskiej agentury w polskiej prawicy. Dlatego PiS tak konsekwentnie działał na rzecz Rosji, uczestniczył w kampanii prezydenckiej Le Pen, rozwała Unię, konfliktuje się z Niemcami. Nie da się tego wytłumaczyć interesem politycznym.

Oni chcą tu niby tworzyć jakieś Trójmorze. Dla mnie to zasłona dymna, projekt prorosyjski wspierany przez niektóre kręgi w Stanach. Na Wschodzie mamy duży euroazjatycki twór i nie wiadomo, co będzie z naszą granicą. To nie jest czas eksperymentów. Mądre rządy zwracają się ku silnym, istniejącym strukturom. A szukanie w Unii sojuszy z populistami nie buduje niczego. Mówią, że musimy wrócić do naszych polskich wartości – jakie to wartości? Polacy są społeczeństwem wielowymiarowym. Mówią, że świat się zmienia i Unia się rozleci, więc trzeba to przyspieszyć – ale naprawdę chodzi o pieniądze, które są w Rosji.

MOGLIBY POCZOBUTOWI POMÓC, ALE...

Ale jeśli PiS przegra, to nie będą uciekać na Wschód, raczej na Węgry czy gdzieś, gdzie nie dosięgnie ich prawo.

– No to się nie zrozumieliśmy. PiS jest mocno zapięty z trumpistami. Weźmy kontakty Macierewicza z proputinowskim kongresmenem Daną Rohrabacherem, kontakty naszej prawicy z Institute of World Politics w Waszyngtonie i ludźmi z tym instytutem związanymi, identyfikowanymi jako pracujący na rzecz Rosji, jak zatrzymany agent rosyjski Peter Debbsins, amerykański żołnierz sił specjalnych pochodzenia rosyjskiego, który przedzierzgnął się w intelektualistę, wykładowcę i autora analiz na temat Rosji. Mamy podobny przypadek w Polsce: Xavier Messing, autor książki „46 sekund”. Nie wiem, kim jest ten współ-

właściciel spółek na ulubionym przez Rosjan Cyprze. Niektórzy uważają, że to Marcin Kossek, były ochroniarz Gudzowatego.

Książki nie czytałam.

– Messing uważa, że za ruchami LGBT na Zachodzie stoją Rosjanie, żeby doprowadzić do moralnego upadku Zachodu. To androny. Chyba się zgodzimy, że ruchy LGBT są zjawiskiem naturalnym dla cywilizującego się społeczeństwa, akceptacja mniejszości jest próbą większej integracji społecznej, lepszego zrozumienia się ludzi, to coś optymistycznego. Rosyjscy bohaterowie Messinga wskazują, że LGBT

Kaczyński jest świadom rosyjskich wpływów w jego partii, może sam uczestniczy w jakimś dealu z Rosją

to zło, coś agresywnego, destrukcja społeczeństwa, rozbicie tradycyjnej moralności. W promocji jego książki uczestniczyli eksperci od spraw bezpieczeństwa, m.in. były szef AW płk Grzegorz Małecki. Trochę mnie to dziwi, bo przecież teorie Messinga odnoszące się do aktywności wrogich Polsce wywiadów to groźny belkot i fałszowanie rzeczywistości.

Messing stawia tezę, że Polska jest bezbronna wobec nowoczesnej dywersji, że to nie Rosja, ale Niemcy i Zachód nas rozgrywają. Narracja zbieżna z potrzebami Rosjan. Zachód, Amerykanie nie oddziałują na nas operacjami informacyjno-psychologicznymi, może coca-cola, filmami, kulturą. Ale głównym aktorem, który stara się rozbicie polskie społeczeństwo, podważać zaufanie do stabilności systemu, są Rosjanie.

Wracamy na kurs i na ścieżkę: obrotny, rubaszny Orbán, emisariusz Putina, mógł zarazić Kaczyńskiego i Morawieckiego ideą rozbienia w przyszłości interesów z Rosją i prorosyjskim środowiskiem amerykańskim. Chodzi o rozwiązanie nie dla paru ludzi, ale dla całej partii. Moim zdaniem to przyczyna prorosyjskich ruchów PiS nawet po agresji na Ukrainę, ataki na Macrona, Scholza, Norwegię itd. Kurs jest utrzymywany.

Żyjemy w przekonaniu, że PiS i Morawiecki znaleźli się w dupie, bo posypał im się ten cały misterny plan biznesu z Kremlu. Nie wierzę, że się posypał w ich głowach. Oni tu muszą przyjmować Ukraińców, zachowywać się koniunkturalnie wobec polskiego społeczeństwa, ale patrzeć na to w perspektywie odwracalności.

Kaczyński też kieruje się kasą?

– Kaczyński stosuje rozwiązania orbanowskie. Oderwanie od Unii, brak ograniczeń i interesy z Rosją dalyby mu sterowność nad armią pisowską, która chce pieniędzy. Teraz sposób ich zaspokajania jest nierównomierny. Widzimy w mailach Dworczyka, że PiS wypycha swoich na stanowiska i dostają po 40 tys., inni zarabiają miliony w spółkach skarbu państwa. Reszta zasuwła dla partii, ale tyle nie ma. Jeżeli Kaczyń-

ski nie zaspokoi finansowo ogromnej liczby osób, nie zrobi z nich elity finansowej, to prędzej czy później to pieprznie. Podobno najbogatszy polski parlamentarzysta Gut-Mostowy ma 60 mln zł. Rosyjski oligarcha takie 60 mln może wydać w ciągu jednego dnia. Interesy z Rosją to koryto mogące być spoiwem nowej autokracji. W PiS nie ma żadnej ideologii, uczciwości, prawości. Jest sen o dużym interesie.

Moim zdaniem to także sen Morawieckiego. Rzetelność informacji o jego majątku bywała podważana wielokrotnie, ale to samo dotyczy wielu polityków z górnej półki PiS, no i Dworczyka. A w moich czasach

nawet niezłożenie na czas oświadczenia, a już na pewno złożenie oświadczenia błędnego, wiązało się z widmem utraty stanowiska. Dzisiaj panowie z PiS piszą sobie, co chcą, w tych oświadczeniach, a my nie jesteśmy w stanie tego zweryfikować, bo CBA to klepie. Taki system ukrywania majątku przez polityków jest charakterystyczny dla państw autorytarnych, takich jak Rosja.

Morawieckiego porównuję do Salomona z książki „Bóg wie” Josepha Hellera, która jest, powiedzmy, takim apokryfem Piśma Świętego i opisuje losy króla Dawida, którego syn Salomon ubiega się o tron – wycofany, nie lubiący ludzi, z psychiką tak zdominowaną przez chciwość, że skupuje figurki bogów, bo one droższą i opłaca się je sprzedać. Morawiecki nie jest porywający, nie ma naturalnych gestów, to, co mówi, nie płynie z serca. Kiedyś myślałem, że to człowiek bez sumienia, osoba psychopata, która nie odróżnia dobra od zła, liczy się tylko efektywność w osiągnięciu celów. Większość ludzi ma odruch zakłopotania, gdy kłamiemy w ważnych sprawach. A ten facet po prostu to robi, jak wtedy, gdy kłamał babciom, że wirusa już nie ma.

Czytając Poufną, widzimy, że jego wypowiedzi są przygotowane, tam ktoś dobrze zna zasady oddziaływania kłamstwem. Zwykle ludzie nie weryfikują informacji. Rosjanie i Białorusini wiedzą, że opłaca się kłamać. Opozycja przegrywa dlatego, że tam są ludzie, którzy mają blokadę przed takim kłamaniem – wolę, żeby przegrywała, niż kłamała. Kaczyński przyzwala na kłamstwo w PiS. Nie liczą się kategorie moralne. Jeśli coś jest skuteczne, to jest dobre.

Na nagraniach w Sowa & Przyjaciele Morawiecki mówił, że najlepszym sposobem, żeby ludzie się przyzwyczaili do gorszej sytuacji, zawsze była wojna.

– Niesamowite. Czy Morawiecki nie był świadomym elementem scenariusza rosyjskiego już wtedy? (...) ●

DRUGA CZĘŚĆ ROZMOWY ZA TYDZIEŃ, CAŁOŚĆ JUŻ TERAZ NA WYBORCZA.PL

wyborcza | magazyn wyborczej WOLNA SOBOTA

REDAKCJA: ul. Czerna 8/10, 00-732 Warszawa
Telefon: 22 555 66 00; E-mail: redakcja@wyborcza.pl
Listy do redakcji: listy@wyborcza.pl
Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo ich redagowania i skracania. Wnioski i pytania w sprawie ochrony danych osobowych: iod@agora.pl
REDAKTOR NACZELNY: Adam Michnik;
PIERWSZY ZASTĘPCA:
REDAKTOR NACZELNY WYBORCZA.PL: Jarosław Kurski;
ZASTĘPCY: Piotr Stasiński, Mikołaj Chrzan, Roman Imielski, Aleksandra Sobczak, Bartosz T. Wieliński
WOLNA SOBOTA: Mirosław Maciorowski (szef), Marek Markowski (zastępca), Ewa Wieczorek, Marcin Kącki, Jan Cywiński
GRAFICY: Dariusz Filipek, Tomasz Lebioda, Krzysztof Pietrasik

WYDAWCA: Agora SA, ul. Czerna 8/10, 00-732 Warszawa;
NIP: 526-030-56-44
Biuro reklam i ogłoszeń: reklama@agora.pl; 22 555 55 55,
faks: 22 555 54 44
DYREKTOR WYDAWNICZY:
Wojciech Bartkowiak
DRUK: Agora SA

Rozpowszechnianie redakcyjnych materiałów publicystycznych bez zgody wydawcy jest zabronione.



W popularnych wykładniach za każdym konfliktem, kryzysem, za niemal każdą krzywdą narodową bądź indywidualną stali jaćcy Żydzi.

Marek Beylin

Francja musi być wielka i wielka powinna być Polska. Wielkość należy się też Węgrom, Niemcom, Serbii, Hiszpanii, Włochom... Niemal w każdym europejskim kraju rodzimi nacjonaliści, już rządzący bądź ubiegający się o władzę, obiecują swym krajanom wielką ojczyznę. „Wstaniemy z kolan” – krzyczą popołudniu od Madrytu, przez Paryż, po Warszawę, niepomni tego, że ta ich wielkość najczęściej zaryje się w błocie i mało komu przyniesie coś dobrego.

Bo chodzi im nie o wielkość mierzoną społecznym dobrobytem czy rozwojem kultury, lecz o taką, która pozwoli dominować nad światem zewnętrznym i we własnych zbiorowościach. Pragną wielkości instrumentów przemocy nad ludźmi, a nie dobrego życia wszystkich.

Wszystkie te siły są spadkobiercami, często nieświadomymi, „sprawy Dreyfusa”. To historia francuskiego oficera, kapitana Alfreda Dreyfusa, którego pod koniec XIX wieku sąd wojskowy skazał za szpiegostwo, choć był niewinny, ale miał żydowskie pochodzenie. To rozerwało Francję i nieodwołalnie zmieniło Europę, bo wytworzyła się nowa prawica, lewica i w konsekwencji nowoczesne, trwające w dużej mierze do dziś podziały ideowe. Ustanowiła też ta sprawa wzór hejterskich nagoniek, wtedy antysemitkiej, nacjonalistycznej oraz prokatołickiej, podtrzymywany w różnych modyfikacjach przez kolejne pokolenia skrajnej prawicy. Także w Polsce. Echa „sprawy Dreyfusa” brzmią zarówno w zabójstwie prezydenta Narutowicza w 1922 r., dokonanego przez endeckiego fanatyka, jak i w obecnych nagonkach PiS na osoby LGBT+ czy nacjonalistyczno-katołickim projekcie edukacji ministra Czarnka.

A o tym, że tamta niby dawna afera wciąż trwa, błyskotliwie opowiada Jolanta Kurska w książce „Wieczny powrót Dreyfusa”.

Gdy w 1894 r. aresztowano Dreyfusa za szpiegostwo na rzecz Niemiec, a następnie skazano na dożywocie, jedynie garstka bliskich upierała się przy jego niewinności. Nie mieli jednak szans w konfrontacji z armią, Kościołem, formacjami konserwatywnymi i zwłaszcza z antysemityzmem. To też nawet gdy po ponad roku zaczęły wypływać dowody na niewinność Dreyfusa i na to, że armia sfałszowała proces, gdy w efekcie wiele demokratycznych środowisk, w tym intelektualistów, stanęło z rozmachem po stronie niewinnego, i tak większość Francji wolała wierzyć wojskowym, biskupom i rodzimym konserwatystom.

Kurska trafnie zauważa, że choć ten skandal podzielił i rozgorączkował Francję, to „dreyfusardzi”, obrońcy Dreyfusa, nigdy nie tworzyli większości. Ba, drugą najgłośniejszą ofiarą tej afery był pisarz Émile Zola. Po publikacji słynnego manifestu „J'accuse” (Oskarżam), w którym oskarżał wojskowych o sfałszowanie procesu, uporczywie kłamstwa i szkodenie republiki, piętnował antysemityzm, ukazywał hipokryzję Kościoła oraz wyznawców winy kapitana, został skazany na rok więzienia za obrazę armii. „Wyprujcie mu flaki” – pisało w prasie.

Owszem, Dreyfus doczekał się w końcu ulaskawienia i rehabilitacji, wrócił do armii, nawet awansował. Ale narodowa gorączka pozostała. Bo „sprawa Dreyfusa” szybko, gdy tylko wybuchła, stała się „sprawą Republiki”, wielkim sporem o to, czy powinna trwać, a jeśli tak, to w jakiej formie.

FOT. DOMENA PUBLICZNA



WSTRET, ŻYDZI I WIELKOŚĆ NARODU

ŻYD ZAWSZE WINNY

Po jednej stronie stanęli zwolennicy republikańskich wartości: praw człowieka, sprawiedliwości dla każdego niezależnie od wyznania czy pochodzenia, prawdy jako ostoju. Po przeciwnej były armia, Kościół, rozmaite formacje konserwatywne. Głosiły one odmienną wizję Francji, opartą na tradycyjnym porządku, zasadzie niekwestionowanego autorytetu władzy, nacjonalizmie, w tym antysemityzmie, oraz trwałej hierarchii społecznej, najpełniej gwarantowanej przez wojsko i instytucje kościelne. W tym obozie spotykali się monarchiści z konserwatywnymi republikanami, katolicy i niewierzący, lewicowcy i ultrareakcyjniści, lud i elity. Łączyła ich negacja, jak określali Francję, „żydowskiej republiki”, Francji rzuconej na kolana przez Niem-

cy i gniecionej przez Żydów oraz wszelkich obcych. Francji nierządnej i skazanej na „dekadencję” za sprawą demokracji i praw obywatelskich. Francji negującej dotychczasowe hierarchie, więc także władzę tradycyjnych elit, gwarantujących jedyną drogę do siły państwa i narodu. A głównym spoiwem tych zróżnicowanych szeregów stały się antysemityzm i ksenofobia. Toteż zdarzało się, że tłum wybijał Żydom szyby w oknach, śpiewając „Marsyliankę”, hymn republiki powstały podczas rewolucji francuskiej.

Z tak wszechwładnym przeciwnikiem Dreyfus nie miał szans. Jako Żyd musiał być winny, także wbrew prawdzie, ponieważ antysemita wiara była zbyt święta, by narażać ją na uszczerbek. Co zresztą czołowy nacjonalista i antysemita Charles Maurras przyznawał bez ogródek. Wi-

na Dreyfusa została bezpowrotnie przesądzona, gdy w 1895 r., podczas publicznej degradacji skazanego, tłumnie zebrani ludzie skandowali: „Śmierć Judaszowi!”, „Śmierć Żydom!”.

Tylko pozornym paradoksem jest to, że sam Dreyfus, wierny człowiek armii, nie różnił się mentalnie od tych, którzy go skazali. Najpewniej gdyby taka sprawa przydarzyła się komuś innemu, broniłby honoru armii i autorytetu hierarchii jak absolutna większość jego kolegów. Tyle że taki Dreyfus, nieodróżnialny od innych oficerów, asymilowany francuski republikański nacjonalista, był według antysemitów szczególnie groźny dla Francji. Infekował ją skrycie i podstępnie. Czyli winny tak czy owak. Podobnie zresztą widzieli zasymilowanych Żydów nacjonałści antysemitów we wszystkich krajach, w tym polscy endecy. Hasło

„Żyd zawsze obcy” brzmiało w całej Europie.

Bo antysemityzm nie był tylko francuską specjalnością. Ani jedynie wyposażeniem nacjonalistycznych elit. W ostatnich dekadach XIX wieku stał się najpowszechniejszym wyznaniem w Europie. Był fobią międzynarodową, transklasową, transpartyjną, transideową i transreligijną. Przenikał wszystkie sfery życia: od polityki i wielkiego biznesu po kulturę i aktywność fizyczną – zdrowe nieżydowskie ciało miało kontrastować ze zdegenerowanym żydowskim.

W „Uliessesie” Jamesa Joyce’a, opublikowanym w 1922 r., a dotyczącym się jednego czerwcowego dnia 1904 r., pewien dyrektor szkoły opowiada dowcip: „Powiadają, że Irlandia ma honor być jedynym krajem, który nigdy nie prześladował Żydów. (...) A wie pan dlaczego? (...) Dlatego że ich nigdy nie wpuściła” (przeł. Maciej Świerkocki). Ta powieść wydobywa też charakterystyczny dla antysemityzmu ton: o wpływach Anglii, kolonizatora Irlandii, mówi się, że są to wpływy żydowskie. Podobnie myślaneo wszędzie. W popularnych wykładaniach za każdym konfliktem, kryzysem, za niemal każdą krzywdą narodową bądź indywidualną stali jacyś Żydzi.

Antysemityzm stał się więc w Europie tyleż naturalnym i masowym, co szacownym składnikiem rozmaitych światopoglądów, od lewicy do prawicy. Toteż zgodnie z duchem epoki łatwo było popaść w antyżydowskie uprzedzenia; ich odrzucanie czy wyzwalanie się z nich wymagało znacznego wysiłku. Zwłaszcza we Francji. Francuzi dorobili się bowiem wielkiej biblii antysemityzmu. Wydana w 1886 r. „La France juive” (Żydowska Francja) mało znanego wcześniej dziennikarza Éduarda Drumonta, dwutomowa cegła licząca 1200 stron, jak i jej krótsza wersja doczekały się do 1914 roku dwustu wydań. Ten narodowy bestseller przydał antysemityzmowi popularności oraz rangi poważnego światopoglądu. Drumont zespolił różne nurty tej fobii w jeden amalgamat. Połączył zwłaszcza tradycyjny antysemityzm chrześcijański i ludowy antykapitalizm z nowoczesnym antysemityzmem klasowym, czyli demaskacją kapitalizmu wraz z jego wyzyskiem i nadużyciami. A wszystko to opakował w modne teorie rasistowskie, czyniąc z Żyda monstrum obcości. W tej wersji władza pieniądza, spekulacje i wszelkie niesprawiedliwości wiązały się z przede wszystkim władzą żydowską.

Symbolem tego zła, sztandarem „żydobanksterstwa”, stało się nazwisko Rothschild. Siłę oddziaływania tego antysemickiego stereotypu pokazuje to, że sto kilkadziesiąt lat później, gdy Emmanuel Macron ubiegał się o prezydenturę Francji, jego adwersarze z lewicy i prawicy, wypominając mu, że pracował na wysokim stanowisku w banku, stale podkreślali, że był to bank Rothschilda. Nadzwyczaj nośna okazała się również formuła „żydowskiej republiki” przeciwstawiona ludowi, wierze katolickiej oraz proletariatowi. Pojęcie „żydowskiej republiki” wędrowało po ideowych polach lewicy i prawicy. Spora część lewicy dała się uwieść antykapitalistycznemu antysemityzmowi, większość nie przystąpiła do aktywnego antysemityzmu, ale pozostawała nań obojętna, nie widząc w nim nic szkodliwego. W efekcie korzystała z podręcznego antysemickiego języka: w ówczesnej prasie socjalistycznej łatwo znaleźć epitety: „parch” czy „żydziaś”, choć występowały rzadziej niż

w publikacjach prawicy czy wydawnictwach katolickich.

Ba, z Drumontem kolegowal się Jean Jaurès, jedna z najszlachetniejszych postaci francuskiej lewicy i pewno w ogóle Francji kilku dekad końca XIX i początku XX wieku. I właśnie Jaurès, przywódca socjalistów, wyprowadził podczas „sprawy Dreyfusa” większość swej formacji z objęć antysemityzmu i skierował ją do socjalizmu demokratycznego, wyzbytego uprzedzeń pochodzeniowych i stawiającego na równość praw dla wszystkich (mężczyzn, rzecz jasna, prawa kobiet leżały odłogiem wtedy i jeszcze długo potem). Z pełną mocą antysemityzm na lewicy odrodził się dopiero w powojennym komunizmie, także w niektórych zachodnich partiach komunistycznych, choćby francuskiej.

FABRYKI KŁAMSTWA

Bo „sprawa Dreyfusa” zmieniła polityczną geografię antysemityzmu. W dużej mierze wyprowadziła go z lewicy i formacji centrowo-demokratycznych. Umocniła także podobny trend w innych krajach europejskich. Oczywiście antyżydowskie fobie nadal tam trwały, ale głównie jako wstydlivy margines ruchów.

Konflikt wokół Dreyfusa unowocześnił też nacjonalistyczno-antysemicką prawicę. Odtąd tak we Francji, jak w Europie takie formacje umiejętniej odwoływały się do ludu, przejmując choćby od przeciwnego obozu wątki społecznej sprawiedliwości. Potrafiły też sprawniej przyciągać elity intelektualne. No i, co wnikliwie pokazuje Kurska, nauczyły się, jak słowem i obrazem, czyli karykaturami zamieszczanymi w masowej prasie, przekonująco fabrykować fałszywe informacje i mówę nienawiści.

Gdy dziś oburzamy się na zalew kłamstw i agresji płynących z PiS-owskich mediów, pamiętajmy, że korzenie tych manipulacji tkwią w „sprawie Dreyfusa”. Zmieniły się techniki nagonek na „zdrajców” i „obcych”, lecz sam mechanizm pozostaje ten sam. Takich łączników ze współczesnością jest więcej, co książka Kurskiej wyraziście uprzytomnia.

Przed wszystkim przeciwstawienie wielkości narodu i strasznej dekadencji niszczącej narodowe moce. Dekadencji na ogół „żydowskiej”, ale też nierzadko płynącej w ogóle od „obcych”, a wyrażającej się w emancypacjach społecznych, demokratycznym rozluźnianiu hierarchii, nowych prądach w kulturze. W tej kwestii prezes Kaczyński czy minister Czarnek niczego nie wymyślili. Strasząc dekadencją lub „rewolucją genderową”, które, jak twierdzą, zagrażają wielkości i spójności narodu, wykorzystują tylko wzory powstałe podczas antysemickiego wzmożenia w tamtym czasie.

Dokonało się również wtedy masowe upolitycznienie pojęcia „wstrętu” i związanie go z Żydami. Dostrzegł to Zola, którego tekst zamieściła Kurska w swej książce. „Ludzie mówią – także moi przyjaciele – że ich po prostu nie cierpią, że sam dotyk ich dłoni budzi u nich dreszcz wstrętu. To fizyczna odraza, wstręt jednej rasy do drugiej (...) Fizyczna odraza jest dla nich dobrym lub wręcz jedynym powodem nienawiści” – pisał Zola w 1896 r. Potem przez dekady „wstręt” stanowił podstawowe wyposażenie antysemityzmu i jego propagandy. A gdy wskutek Zagłady stracił on rangę światopoglądu szacownego czy neutralnego, „polityka wstrętu” pozostała na służbie innych fobii. Trwała w uprzedzeniach rasowych, klaso-

wych i antyfeministycznych. W Polsce zaś objawiła swą moc także w pogromowych nagonkach PiS-u przeciw osobom LGBT+. Podobieństwo tych dwóch fabryk nienawiści, antysemickiej i przeciw LGBT+, rzuca się w oczy nie bez przyczyny, ponieważ ta obecna wyrosła z tamtej dawnej.

Także podczas „sprawy Dreyfusa” rozkwitł w masowej skali w kręgach nacjonalistyczno-antysemickich oraz kościelnych mechanizm przedstawiający słabszych jako wielką złowrogą siłę. Wtedy odnosił się głównie do Żydów i rozmaitych „obcych”, cudzoziemców i protestantów. Dziś też cieszy się wielkim powodzeniem w formacjach nacjonalistyczno-populistycznych czy „faszoidalnych”. A do ohydnej perfekcji doprowadzili go PiS i wódz Węgier Orbán. Widzimy to choćby w uderzeniach w uchodźców o odmiennych kolorach skóry. Zwłaszcza Kaczyński sprawnie złączył „politykę wstrętu” z perswadowaniem, że ci przybysze, w tym dzieci, kobiety, ludzie wykształceni, zniszczą Polskę i jej tożsamość. Choć w rzeczywistości takiego podboju miałyby dokonać garstka, kilka-kilkanaście tysięcy osób.

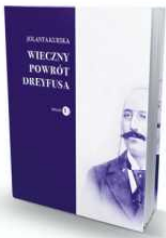
Na co dzień słyszymy też w Polsce i na Węgrzech o wielkiej inwazji środowisk LGBT+. Według propagandy PiS (podobnej do orbánowskiej) te osoby chcą wyzuć Polki i Polaków z tożsamości i dokonać – wspólnie z Niemcami i Brukselą – nowego rozbioru ojczyzny. Tak kontynuowana jest dawna antysemicka propaganda, zgodnie z którą Żydzi pragnęli rzucić Francję na kolana i uczynić ją podległą obcym mocarstwom.

Także wtedy, gdy postaciował się nowoczesny nacjonalizm, formował się zarazem specyficzny sojusz tego światopoglądu z Kościołem. Kurska wnikliwie pokazuje pewną jego odmianę, która dziś w Polsce stała się nader częsta. Dla sztandarowych francuskich nacjonalistów intelektualistów z tamtej epoki Maurice’a Barrèsa i Maurrasa „nie wiara katolicka była najważniejsza, lecz Kościół katolicki jako instytucja zhierarchizowana, stojąca na straży uświęconego porządku, tradycji i obyczajów (...) Ówczesni zwolennicy sojuszu ołtarza z tronem byli to często niewierzący pisarze, publicyści i artyści”. Maurras uważał zresztą samą religię chrześcijańską za niedorzeczny żydowski wymysł.

Ta ich postawa nie stanowiła wyjątku. Podobnie postrzegał Kościół choćby Roman Dmowski i spora część endecji. Ale gdy dziś patrzę na zachowania wielu biskupów i księży w Polsce, na ich mówę nienawiści i „politykę wstrętu”, myślę sobie, że rządzą tym Kościołem głównie „dmowszczyzna”/„maurrasizm”. Kościół skupia się bowiem na walce o zachowanie władzy instytucjonalnej. Toteż Chrystus musi przegrać z Dmowskim.

„Sprawa Dreyfusa” trwa więc wciąż, także w Polsce, w różnych postaciach. I nic nie wskazuje na to, by zniknęła w przyszłości. Tym bardziej więc powinniśmy rozpoznawać, co nas z nią łączy. A książka Jolanty Kurskiej nam to ułatwia. ●

Jolanta Kurska,
„Wieczny powrót Dreyfusa”,
Dialog, 2022



W PONIEDZIAŁEK W „WYBORCZEJ”



1 DLACZEGO ZRYWAMY KONTAKTY.

Czy potem mamy
pokusę odnowić
relację?

2 WYSYCHAMY.

Odcinają wieś
od wodociągu,
by ratować
pozostałe

3 NADCHODZĄ ZŁOTÓWKO- WICZE.

Czy kredyty
w złotówkach
mają
niedozwolone
klauzule?

IDZIE ZIMA BARDZO ZŁA

Średnia długość życia mieszkańca Polski jest z powodu smogu o dziesięć miesięcy krótsza. A za chwilę będzie gorzej

Z **PIOTREM SIERGIEJEM*** Z POLSKIEGO ALARMU SMOGOWEGO ROZMAWIA **TOMASZ KWAŚNIEWSKI**

Obawia się pan zimy?
– Bardzo.

Głównie dlatego, że rząd w lipcu i sierpniu zawiesił normy jakości węgla. Oznacza to, że można było sprzedawać każdy nadający się do spalenia surowiec wydobyty spod ziemi, w tym flotokoncentraty i muły.

Gdy normy jakości obowiązywały, czyli od 2018 roku, kopalnie musiały utylizować rocznie około miliona ton tych odpadów.

Ministerstwo klimatu zapewnia, że nie można sprzedawać flotokoncentratów i mulów, skoro jednak kopalnie je sprzedawały przed obowiązywaniem norm, logika i prawa rynku podpowiadają, że tego lata mogły zachować się podobnie, sprzedając je choćby jako domieszkę do węgla.

A dlaczego one są w sumie takie złe?

– To jest materiał, który powstaje z wypłukiwania węgla albo – jak mówią fachowcy – „wzbogacania”. W rezultacie mamy wzbogacony węgiel – ten lepszy – i to, co pozostało, czyli właśnie odpady: najdrobniejsze frakcje, które są splukiwane do odstojników. Badania pokazują, że we flotokoncentratkach i mulach zawartość rtęci jest blisko dziesięciokrotnie wyższa niż w węglu, który trafia do pieców. To jest po prostu bar-

dzo toksyczny materiał. Dodatkowo on jest bardzo wilgotny. Jak się wrzuci flot, to on dymi niemiłosiernie...

Czyli cały ten trujący konglomerat leci do góry...

– A potem rozprasa się w powietrzu.

To się pali w takich normalnych piecach?

– Nie, to się wrzuca do tak zwanych kopciuchów. W nowoczesnym piecu węglowym, ekoprojektowym, tego się spalić nie da.

Czyli to jest dla wszystkich tych, którzy nie wymienili sobie tych najgorszych pieców?

– Tak, a dodatkowo dostali 3 tys. zł dopłaty do węgla.

Druga moja obawa dotycząca tej zimy związana jest z paleniem drewnem. Mamy panikę na rynku paliw, trwa więc wycinanie prywatnych lasów, sadów itd. Ale jeśli ktoś tego lata zetnie drzewo, wrzuci je do pieca w listopadzie, to drewno będzie wilgotne. A palenie wilgotnym drewnem – każdy, kto próbował, wie – daje mnóstwo dymu i mało ciepła. Drewno musi, i przepisy też o tym mówią, mieć mniej niż 20 proc. wilgotności. Czyli leżeć rok, dwa, żeby przeschło.

I na to też są dziś zawieszone normy?

– Nie, spalania zbyt wilgotnego drewna zakazują uchwały antysmogowe, które obowiązują w czternastu województwach. Jeżeli odwiedzi nas straż miejska, wbije wilgotnościomierz w klocek i okaże się, że on ma więcej niż 20 proc. wilgotności, to będzie mogła wystawić mandat.

Ile?

– Najwyższy to 500 zł, ale straż miejska w przypadkach uporczywych może wysłać sprawę do sądu i wtedy grzywna wynosi do 5 tys. zł.

A w których województwach wolno palić mokrym drewnem?

– Uchwał antysmogowych nie mają jeszcze województwa podlaskie i warmińsko-mazurskie.

A dlaczego również w tych województwach, w których nie można palić mokrym drewnem, ludzie wycinają dziś lasy, sady, skoro i tak nie będą mogli nim się ogrzewać?

– Głównie dlatego, że obawiają się nadchodzącej zimy. Ale również dlatego, że straż miejska jest tylko w co piątej gminie. W związku z czym kontrola praktycznie nie istnieje, jest poczucie bezkarności.

Rodzi się też pewnie myśl, że w związku z sytuacją, w szczególności wojną w Ukrainie, tej zimy będzie to jakoś łagodniej traktowane?

– I tak zapewne w dużej mierze będzie. My rozmawiamy ze strażnikami i wiemy, że nie są to ludzie bezlitośni. Jeżeli widzą osobę, która naprawdę ledwie wiąże koniec z końcem, to podchodzą do niej inaczej niż do zamożnej, która pali odpadami.

Czegoś jeszcze się pan boi, jeśli chodzi o najbliższą zimą?

– Śmieci, bo to też będzie palone.

Poprzedniej zimy to mnie nie martwiło, bo nauczyliśmy się je segregować, wywozić, informację, że śmieci wystawione na krawężnik gdzieś znikają, przestały się pojawiać...

Ale?

– To zjawisko niestety wróciło.

Warszawa, dzielnica Wawer, jakiś czas temu mieliśmy zbiór dużych śmieci: opony, meble wystawione na granice posesji. I na dwa dni przed przyjazdem śmieciarki u mnie na osiedlu zniknęły meble drewniane i z października. A parę domów

dalej – kilka stert opon. Tego na pewno nie zrobili kolekcjonerzy starych mebli i ogumienia, tylko ludzie, którzy już przygotowują się na zimę i zbierają cokolwiek, co ma jakąkolwiek wartość opałową. I to ma miejsce w stolicy. Co się dzieje w małych miastach, wsiach, mogą tylko przypuszczać, ale myślę, że nie jest lepiej.

Tak więc ten koktajl, który zimą będzie unosił się w powietrzu: wilgotne drewno, węgiel bez norm, w ogóle węgiel, do tego śmieci, odpady, to może być rzecz bez precedensu w historii polskiego smogu.

Jedyna nadzieja w tym, że najbliższa zima będzie ciepła, a przede wszystkim wietrzna.

Europejskie Centrum Czystego Powietrza postanowiło zbadać, czemu zawdzięczamy poprawę jakości powietrza w Polsce, bo ono w ciągu ostatnich lat jednak trochę się poprawiło. Przeprowadzili skomplikowaną analizę: prędkości wiatru, ciśnienia, liczby „kopciuchów” itd. Okazało się, że przeważający wpływ na poprawę jakości powietrza w Polsce mają zmiany klimatyczne.

Im cieplejsza zima, tym mniej palimy?

– Tak, przy czym ciepło ma tu drugorzędne znaczenie, bo czy to będzie plus pięć stopni, czy minus, to z punktu widzenia smogu nie ma zasadniczego znaczenia, bo i tak trzeba napalić, żeby była ciepła woda wieczorem. Najważniejszą zmienną jest wiatr.

Pan mieszka w Wawrze, to jest willowa część Warszawy. Jak dwa lata temu się spotkaliśmy, mówił pan, że kopca tu strasznie...

– Tak, jesienią, zimą powietrze jest kiepskiej jakości. I to oczywiście nie jest winą wszystkich mieszkańców dzielnicy. Specyfika zanieczyszczenia powietrza jest taka, że jeżeli na sto domów w dziesięciu spala



się węgiel, wilgotne drewno, odpady, to wystarczy, żeby zatruć wszystkich dookoła.

A co w tym dymie jest w sumie takiego złego?

– Przede wszystkim tak zwane pyły zawieszone. O różnej wielkości. Poza tym to mogą być cząstki sadzy. Metale ciężkie. Cały zestaw węglowodorów aromatycznych, w tym benzoalfapiren, który jest mutageny i rakotwórczy.

Kiedy tłumaczę ludziom, jak ważny jest każdy komin, pokazuję zdjęcie z pewnej kotliny na Dolnym Śląsku. Widać na nim dom, w którym ktoś pali drewnem, bo dym z komina jest dosyć jasny. I nad całą tą doliną, o powierzchni kilku kilometrów kwadratowych, unosi się do wysokości komina, zresztą dość malowniczy, kożuch dymu.

Zimą 2017 roku mieliśmy taką sytuację nie nad jedną doliną, ale w całej Polsce. Przez pięć tygodni było bezwietrznie, słonecznie i lekki mróz. I wtedy ten dywan dymu nie miał już dziesięciu metrów wysokości, tylko osiemdziesiąt, i prawie przykrywał, co widać na zdjęciach, kminy warszawskiej elektrociepłowni Siekierki.

Rozumiem, że to było produkowane przez te dziesiątki tysięcy kominów w okolicach Warszawy...

– W ogóle całego kraju. A ponieważ wystąpiły specyficzne „smogowe” warunki pogodowe: było zimno, słonecznie, była inwersja, więc dym tak sobie leżał, stacje pomiarowe z dnia na dzień pokazywały rosnące stężenia zanieczyszczeń. Bo każdego dnia wytwarzaliśmy wciąż te same ilości dymu, a ponieważ nie było rozpraszania, smog gęstniał. Wszyscy czekaliśmy na wiatr.

I jak w tym jesteście, to co się z nami dzieje?

– Wpływ krótkoterminowy jest taki, że osoby z ryzykiem zawału czy udaru w dniach silnego smogu mogą po prostu umrzeć. I na to są dowody, na przykład Centrum Chorób Serca z Zabrza pokazuje poprzez statystyki, jak rośnie śmiertelność w dniach smogu i następujących po smogu. W zależności od schorzenia to może być nawet o 12 proc. więcej.

A długoterminowo ekspozycja na rozległy, wielomiesięczny, potężny smog ozna-

cza powolne pogarszanie się stanu zdrowia. Stajemy się bardziej podatni przede wszystkim na udary, zawały, ale też nowotwór płuc, astmę czy choroby neurodegeneracyjne.

Szacunki, jeśli chodzi o Polskę, są takie, że każdego roku przedwcześnie na skutek zanieczyszczenia powietrza umiera ok. 45 tys. osób. A średnia długość życia statystycznego mieszkańca Polski jest z tego powodu o 10 miesięcy krótsza. Statystycznie, czyli łączymy leśnika, który mieszka w Borach Tucholskich i mieszkańca Nowego Targu.

A dlaczego akurat Nowego Targu?

– Nowy Targ, Nowa Ruda, Pszczyna to miasta, o których się często mówi w kontekście zanieczyszczenia powietrza. Nie dlatego, że ono jest tam wyjątkowo duże, ale dlatego, że mamy tam stacje pomiarowe.

Kiedy mówimy, że jakieś miasto jest smogowym rekordzistą – w ostatnim rankingu był nim właśnie Nowy Targ – wtedy słyszymy od mieszkańców: „No tak, ale u nas jest stacja. A w pobliskich Szaflarach nie ma. Czy to znaczy, że tam jest super?”. Nie, podejrzewam, że w Szaflarach prawdopodobnie nie jest super, ale tam tego nie zmierzono.

Po prostu w związku z tym, że staramy się mówić na podstawie danych, wymieniamy te miejsca, w których jest stacja pomiarowa.

I w zeszłym roku w Nowym Targu...

– Naukowcy umówili się, że będziemy mierzyć jeden z węglowodorów aromatycznych jako przedstawiciela całej klasy tych rakotwórczych substancji – jeśli zmierzymy benzoalfapiren, wiemy, jak jest z całą resztą. W Nowym Targu średniorocznie stężenie BAP wyniosło 1800 proc. dopuszczalnej normy. Czyli w powietrzu było osiemnaście razy więcej rakotwórczej substancji niż dopuszcza norma. Jakby ktoś nam teraz powiedział, że w wodzie, którą pijemy, jest 18 razy przekroczony poziom toksycznej substancji, to natychmiast byłyby beczkowitzy, stan klęski, byłby totalny alarm...

Odra!

– Dokładnie. A tu mamy Nowy Targ, który jest jedną z setek, jeśli nie tysięcy miej-

scowości z podobnym stanem powietrza, i w zasadzie nie ma sprawy. To jest niepojęte.

Myślałem, że jest lepiej...

– I my też przez chwilę mieliśmy wrażenie, że to poczucie, nie tylko społeczne, ale też po stronie rządzących, wagi czystego powietrza gdzieś tam zaskoczyło...

Pojawił się nawet program „Czyste powietrze”.

– Tak, ogłoszono program rządowych dopłat do wymiany „kopciuchów” i pojawiło się tych 13 uchwał antysmogowych, co akurat jest zasługą samorządów. W 2018 roku rząd wprowadził normy jakości węgla – ten rząd. W 2019 roku wprowadził zakaz sprzedaży „kopciuchów”. Fajna rzecz, bo rocznie sprzedawano ich około 150 tys. No, ale wciąż mieliśmy ich 3 mln...

I to właśnie one miały być wyeliminowane w rezultacie programu „Czyste powietrze”.

– Tak, premier zadeklarował, że na ten program zostanie przeznaczone 103 mld zł. Wielka suma, 10 mld zł rocznie – brzmi nieźle. Minęły cztery lata, powinno być wydane ponad 40 mld zł, wydano 3 mld zł z kawałkiem. I teraz rząd lekką ręką wydaje 11,5 mld zł na dopłaty do węgla. Czyli trzy razy więcej dzięki jednej decyzji niż przez cztery lata na wymianę „kopciuchów”. Trochę dziwne. Trochę niezrozumiałe. Ale chyba pokazuje intencje rządzących, którzy w tej chwili zdecydowali się wspierać jednak węgiel, a nie czyste powietrze.

Skoro mamy
węgla
na 200 lat,
to dlaczego
go brakuje na
200 dni?

Jak się spotkaliśmy dwa lata temu, mówił pan, że ma nadzieję na poprawę powietrza w Warszawie...

– Tak, bo już od października przyszłego roku w Warszawie wejdzie w życie całkowity zakaz palenia węglem. Stąd ta nadzieja.

W Rybniku, który zawsze był w czołówce zakopconych miast, w styczniu tego roku weszła w życie uchwała antysmogowa, która mówi, że nie można palić już w „kopciuchach”...

– Tak, one od ośmiu miesięcy są tam nielegalne, zresztą w całym województwie śląskim.

I jak to w praktyce działa?

– Wiem, że strażnicy miejscy chodzą po Rybniku, wydają ostrzeżenie, wypisują mandaty. Z tym że akurat Rybnik jest miastem modelowym, jeżeli chodzi o walkę z „kopciuchami”, prezydent Kuczera po prostu wydał im wojnę, a i mieszkańcy rozumieją wagę problemu. W walce ze smogiem bardzo dużo zależy od świadomości władz lokalnych oraz od samych mieszkańców. Są miejscowości, które świetnie sobie radzą, i takie, w których jest słabo. Na przykład Krakowowi udało się zlikwidować blisko 40 tys. „kopciuchów” w ciągu kilku lat. Do likwidacji pozostało tylko kilkaset kotłów. To potężny sukces.

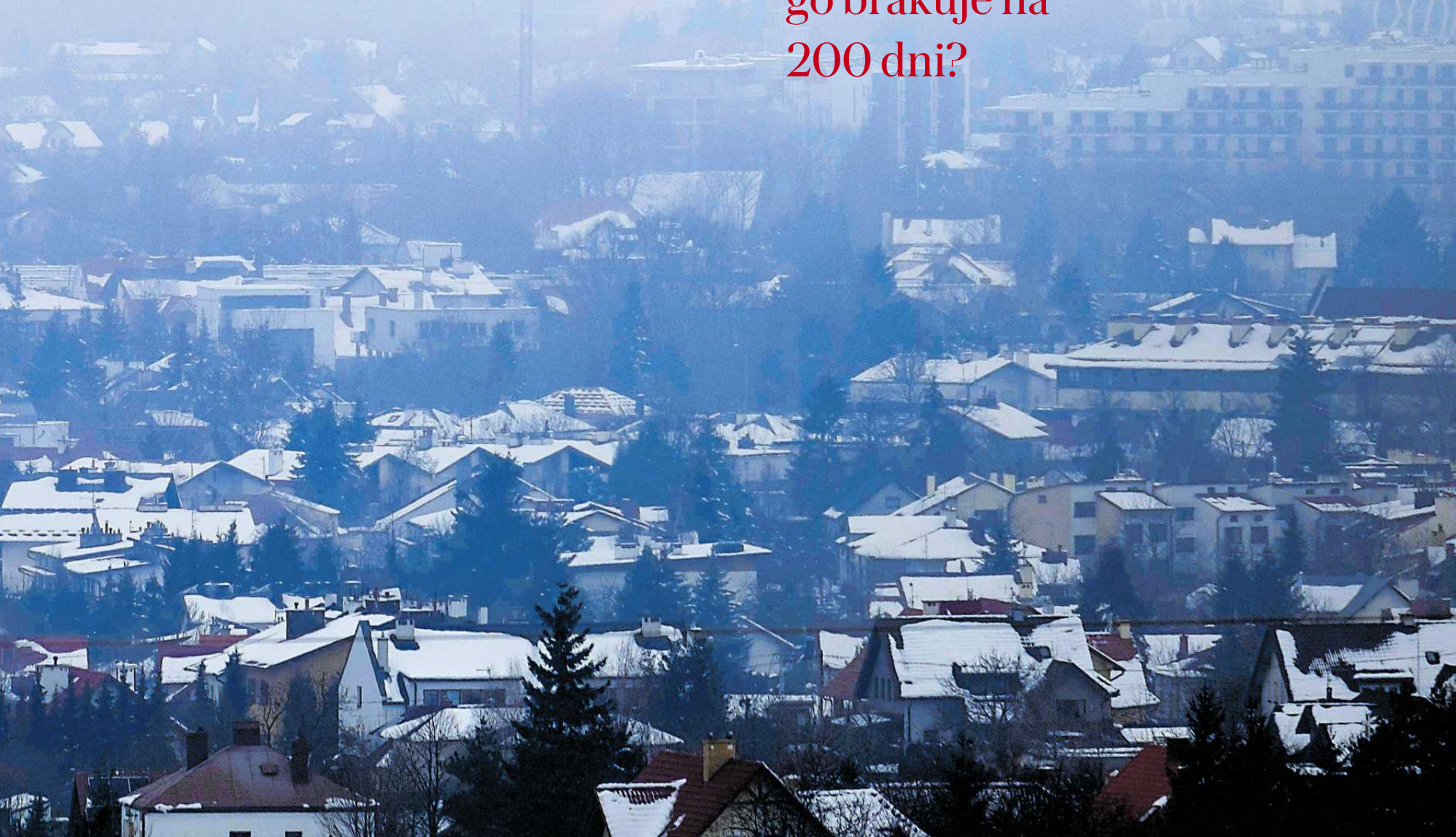
A ile w ogóle mamy dziś tych „kopciuchów”?

– Ok. 2,8 mln.

I teraz, jak zniknęły te normy węgla, jest wojna w Ukrainie, rosną ceny paliw, jest inflacja, zaczęła się panika, że przyjdzie zima i nie będzie czym palić, a jednocześnie jest te 2,8 mln „kopciuchów”, których już w sumie nie powinno być...

– Dla ścisłości, nie powinno ich być już w województwie śląskim i podkarpackim. W małopolskim i mazowieckim zakaz ich używania wejdzie w styczniu 2023 roku. A w pozostałych dziewięciu województwach, w których są uchwały antysmogowe, jeszcze później.

No to weźmy Mazowsze: skoro sytuacja jest taka, jak ją namalowałem, jak pan



myśli, co ludzie będą w związku z tym robić?

– Mogę powiedzieć, co robią. Otóż część z nich wycofuje się z dopłat do wymiany „kopciucha”.

Czyli byli już w procesie wymiany...

– Już mają nawet przyznaną dotację. Leży na stole 16 tys. zł. A oni mówią: „Ja tych pieniędzy nie chcę”.

Jest kryzys, w związku z czym ludzie zachowują się w klasyczny sposób, czyli pozostają przy tym, co znają. Jednocześnie wpadają na pułapkę polegającą na tym, że do „kopciucha” muszą kupić albo drewno kawałkowe – ostatnio sąsiad kupował, płacąc ponad 500 zł za metr przestrzenny, co jest ceną niebywałą – albo węgiel, a on teraz kosztuje tu, w Warszawie, co najmniej 3 tys. zł za tonę.

Może właśnie najgorsza jest ta niepewność. Że ludzie nie wiedzą, ile będzie kosztował w grudniu gaz, prąd...

Z drugiej strony właśnie w związku z tym, co się dzieje, ludzie – odwrotnie niż rząd – uciekają dziś od węgla. I najczęściej przechodzą na pompy ciepła. To też jest niebywały zwrot, który się wydarzył w ostatnich kilku miesiącach.

Czyli proces idzie w sumie w dobrą stronę?

– Tak, tylko że rząd tym, którzy albo mają „kopciucha”, albo mają kocioł na węgiel, daje dziś pieniądze. Czyli sypie piasek w tryby tej zmiany, która zachodzi w dużej mierze samoistnie.

Fotowoltaika jest dziś bardzo popularna, widzimy rosnącą popularność pomp ciepła, a rząd z uporem dorzuca potężne pieniądze do węgla. Gdyby dorzucił tych kilka naście miliardów złotych czy kilkadziesiąt, jak obiecywał w 2018 roku, do ocieplenia naszych domów, tobyśmy w te cztery lata ocieplili bardzo dużo budynków i nie byłoby dziś zapotrzebowania na 11 mln ton węgla w Polsce.

Wróćmy do Warszawy. Jeżeli od stycznia warszawiacy mają przestać używać „kopciuchów”, a sytuacja jest, jaka jest, w szczególności są dopłaty do węgla, to szansa, że faktycznie nastąpi koniec ich używania, jest marna. Nie mówiąc już o końcu palenia węglem.

– Akurat co do Warszawy mam dużą nadzieję. Po pierwsze dlatego, że jest stosun-

kie: „Zgaś pan ten kocioł”. Bo on po prostu postuka się w głowę. Nawet jak przyjdzie straż miejska, to tego nie zlikwiduje.

Dawniej to nosiliśmy ulotki po domach, wkładaliśmy do skrzynek, za furtkę...

„Nie pal śmieci, nie truj dzieci”?

– Raczej naklanialiśmy, żeby ludzie brali dotacje z urzędu miasta. Bo to jest najważniejsze.

Jak się połączy te 16 tys. zł dotacji z miasta Warszawa z programem „Czyste powietrze”, który jest z Narodowego Funduszu Ochrony Środowiska, bo te dwa źródła finansowania można sobie zsumować, to jest naprawdę sporo pieniędzy.

Ile?

– To zależy, co robimy. Czy tylko wymieniamy „kopciucha”, czy do tego dorzucamy na przykład grzejniki. Nie jest to oczywiście całość inwestycji, ale jak patrzę na posesję, które – sądząc po budynku, samochodach stojących na podjeździe – nie należą do ludzi niezamożnych, to myślę, że te dwadzieścia parę tysięcy złotych wsparcia to jest sporo.

Powiedział pan, że w Warszawie jest nadzieja, bo ludzie są zamożniejsi...

– Też jest tu duże wsparcie ze strony miasta.

Ale jednak trochę osób wciąż będzie palić węglem, i to w „kopciuchach”. Co wtedy będzie z tymi osobami, będą dostawały mandaty?

– Jeżeli straż miejska będzie tak zdeterminowana jak w Rybniku, to zapewne na początku będą ostrzeżenia, ale potem już mandaty. I co ważne, straż miejska będzie mogła je wystawiać przy każdej wizycie. Czyli wyobraźmy sobie, że po 1 stycznia sąsiad będzie dzwonił na sąsiada, że mu zadymia. Przyjedzie straż miejska, zobaczy „kopciucha”, może da mandat, może ostrzeżenie. Ale w końcu pewnie jednak mandat. A następnego dnia ta osoba znów wykona telefon...

I ludzie tak robią, że dzwonią po straż miejską?

– Tak.

My też namawiamy, żeby tam, gdzie jest straż miejska, zimą przekierować trochę więcej osób do spraw smogowych, bo zgłoszeń o dymie bywa tak dużo, że straż przyjeżdża dopiero po kilkunastu godzinach. Co już się mija z celem.

Nie ma uchwał antysmogowych w województwach podlaskim, warmińsko-mazurskim, a opolskie ma pełną dziur

kowo zamożna. Po drugie, ostatnie szacunki mówią, że w Warszawie jest jakieś 6-7 tys. „kopciuchów”. Tych nowoczesnych kotłów na węgiel jest kilkaset. Po trzecie, zadziała nowe prawo: od 1 października 2023 roku wchodzi zakaz palenia węglem. I wreszcie – Warszawa ma straż miejską, która będzie mogła wejść do kotłowni i wlepić mandat.

Czyli jeśli chodzi o tę zimę...

– Nie, no o tę, to nie, bo jednak wciąż tych kilka tysięcy kotłów na węgiel czy na drewno w mojej dzielnicy, w Rembertowie czy w Ursusie będzie mocno zanieczyszczać powietrze.

I co pan wtedy robi? Puka, mówi: „Sąsiedzie, nie zadymiaj”?

– Jak jest luty, sąsiad ma dzieci, chce je wykapać, to nie mogę do niego pójść i powie-

nie można tego spalić. I to jest moim zdaniem koktajl prawny, który jest demoralizujący dla obywateli. Bo jeśli przyjdzie straż miejska i powie: „Pan dostaje mandat, bo pan ma paliwo niezgodne z uchwałą antysmogową”, to wtedy prawdopodobnie ten człowiek powie: „Ale przecież kupiłem to legalnie, mam tu fakturę. Co więcej, dostałem 3 tys. zł dopłaty”. Nie na to paliwo, bo już rząd powiedział, że to nie jest na paliwo, tylko to jest taka ogólna dopłata. Pomocowa...

Możesz sobie za to kupić, co chcesz.

– Tak. W związku z czym najprawdopodobniej te pieniądze pójdą na różne wydatki, bo ludzie mają wiele różnych wydatków, a palić będą czym się da.

I jeszcze jest tak, że ci, którzy czekali, zwlekali z wymianą „kopciuchów”, trując przy tym sąsiadów, mówią teraz tym, co wymianę zrobili: „A widzisz, opłaciło się”.

– My nawet takie maile mamy. Pisze do mnie ekodoradca, że przychodzi do niego człowiek, który wymienił „kopciucha” na kocioł na pelet, z pretensjami, że on go tu namawiał na wymianę, a teraz sąsiad dostaje 3 tys. zł, a on nie. A pelet, jak węgiel, również bardzo drożał.

„A to przecież ja jestem ten dobry”, mówi mu ten człowiek.

To jest po prostu deprawujące. Przecież rząd w ten sposób pokazuje całemu społeczeństwu, wszystkim Polakom, że cwaniakowanie popłaca. I to dosłownie: „Nie chciałeś czegoś zrobić dla dobra wspólnego, miałeś w nosie prawo, dobra, nie ma sprawy, my cię teraz za to nagrodzimy, dostaniesz 3 tys. zł”.

Ale w większości województw, co swoją drogą też jest straszne, te osoby jeszcze nie łamią prawa, bo „kopciuchy” nie stały się tam nielegalne.

– Ale w śląskim i podkarpackim już tak, i ci ludzie też dostali po 3 tys. zł.

Ale jak rozumiem, jeśli zaczną w nich palić, dostaną mandaty.

– Może więc będą mieli na mandaty.

Proszę też pamiętać, że tylko jedna piąta gmin w Polsce ma straż miejską. Tak więc raczej nie dostaną mandatu, a dostaną te 3 tys. zł.

Z drugiej strony, jak rozumiem, żeby dostać te 3 tys. zł, ludzie muszą teraz zgłosić, jaki mają piec, że palą w nim węglem...

– Tak, uzyskanie dopłaty do węgla jest warunkowane wpisem do ewidencji...

Czyli dzięki tej dopłacie mamy teraz to, czego wcześniej nie mieliśmy, a mianowicie wiedzę, kto w czym co pali?

– Nie, nie dzięki tej dopłacie. Bo nim ona się pojawiła, zewidencjonowało się już ponad 80 proc. gospodarstw domowych. Już wcześniej mieliśmy taki obowiązek...

Masz zgłosić, jaki masz piec?

– Tak, a jak nie zgłosisz, to grozi ci 500 zł mandatu. To prawo weszło jakieś półtora roku temu, bo wtedy powstała Centralna Ewidencja Emisyjności Budynków, którą zajmuje się Główny Urząd Nadzoru Budowlanego.

Ale znając ludzi, to teraz po te 3 tys. zł dopłaty zgłaszają się też ci, którzy wcześniej nie wypełnili tego obowiązku?

– To prawda.

Czyli dobrą stroną tego jest to...

– ...że jeszcze lepiej znamy skalę problemu „kopciuchowego”. I nam też bardzo na takiej ewidencji zależało, bo to jest świetne narzędzie dla samorządów.

Kiedy opowiadam o walce ze smogiem, która jest bardzo skomplikowana, porównuję ją do układania puzzli. Dlatego że tych elementów prawnych, które muszą się tu położyć, po pierwsze, jest bardzo dużo, a po drugie, one wszystkie muszą być na swoim miejscu. Zbudowanie tej misternej układan-

ki trwało kilka lat. A teraz rząd zaczyna z niej wyrwać poszczególne elementy.

Wyrwał już normy węgla. Co oznacza, że ta układanka zaczyna się nam rozsypywać. Bo jak powiedziałem: można kupić, nie można palić. Nie ma to żadnego sensu.

Coś jeszcze wyrwał?

– Zaczynają się próby rozmontowywania uchwał antysmogowych.

W niektórych województwach lokalne władze, niestety głównie z obozu rządzącej partii, zaczynają mówić: „Nie bądzmy tacy bezwzględni, nie nakazujemy ludziom teraz wymieniać tych »kopciuchów«, przecież to niehumanitarne”.

Województwo małopolskie jest tego niechlubnym przykładem.

Przesuńmy datę, kiedy „kopciuchy” staną się nielegalne?

– Tak. A my mówimy: „Przecież było sześć lat na wymianę kotła, uchwała obowiązuje od 2017 roku”. I teraz ci, którzy to mieli w nosie, cały czas trując innych, odpowiadają: „Nie zdążyliśmy. Ale sytuacja jest ciężka, więc wykażcie trochę zrozumienia”. I radni małopolscy, chcąc wykaazać to zrozumienie, zamierzają odsunąć zakaz „kopciuchów” w przyszłość.

A kiedy to ma wejść w Małopolsce?

– W styczniu, tak samo jak na Mazowszu i w Łódzkiem.

A o ile chcą przesunąć?

– Na razie o rok.

Gdzieś jeszcze chcą przesunąć?

– W Łódzkiem zapowiedziano, że sejmik po wakacjach się tym zajmie. A jeśli chodzi o inne województwa... No, z układanką jest tak, że jak się wyjmie dwa elementy, to inne zaczynają też odpadać.

Najbardziej w tej chwili martwi nas to, że rząd oraz władze samorządowe z partii rządzącej zaczynają rozmontowywać politykę antysmogową, którą sami skonstruowali.

To oni przecież stworzyli te wszystkie zakazy, normy, i teraz wyciągają kolejne elementy.

Co jeszcze wyciągają?

– No właśnie te normy jakości węgla, które na 60 dni zawieszono. Na początku września wróciły, ale nie na długo. Już zapowiedziano, że niedługo zostaną przyjęte nowe, i tu, uwaga, zmiana ma iść w stronę poluzowania jakości węgla.

A dlaczego oni akurat na 60 dni je zawiesili?

– Jest prawo, które zezwala w szczególnej sytuacji zawiesić na 60 dni pewne regulacje. Uznano, że to jest właśnie taka sytuacja.

Ale po co coś takiego robić akurat wtedy, kiedy jest ciepło, przecież to wydaje się zupełnie bez sensu.

– To było otwarcie okna sprzedaży dla kopalń. Myślę, że te 60 dni to był dla nich bardzo intensywny okres. A teraz nadchodzi czas spalania – cały sezon grzewczy.

Ale żeby to miało sens, musi też zostać otwarte, żeby można to było spalać. Czyli muszą zostać zdemontowane te uchwały antysmogowe...

– No to tutaj utożsamia pan prawo z tym, co będzie robione. Tak nie jest.

Ale przecież mówił pan, że mogę dziś kupić coś, czego nie mogę spalać...

– Na poziomie krajowym rząd mówi: „To paliwo jest dozwolone do sprzedaży”. I wtedy samorządy: „Ale nie można tego spalać”. I wtedy rząd: „My nie mówimy, że można to spalać. My mówimy, że można to sprzedać i kupić. A poza tym od kontroli są samorządy, to w końcu ich uchwała”.

Ale żeby to miało sens, samorządy muszą się zgodzić, żeby to można było spalać.

– Samorządy pewnie się nie zgodzą. W każdym razie dotąd nie słyszałem o takich pro-

ponowanych zmianach w uchwałach antysmogowych, żeby ktoś mówił: „Skoro już pozwolono to kupować, to też zezwólmy ludziom to palić”. Jedyne naciski ze strony samorządowców są takie, żeby zakazy „kopciuchów” odłożyć w czasie.

Ale to wszystko razem jest jakieś dziwne, prawda?

– Po prostu ktoś milcząco zakłada, że oj tam, oj tam, jakoś to będzie. Nie martwmy się na zapas. Mamy rząd, który tworzy ogólnokrajowe regulacje, mamy 16 województw, w których są różne konstelacje partyjne, i one będą podejmowały decyzje w zależności od tego, jaki będzie klimat polityczny.

A pan, jak rozumiem, obawia się tego, że to po prostu będzie palone?

– Oczywiście, że będzie, bo po to jest kupowane. Przecież nie po to, żeby to kolekcjonować. I dlatego właśnie mówię: wyjęcie jednego elementu układanki, która się do tej pory dość dobrze składała, sprawia, że pojawia się chaos. Problemy. Konflikty. To jest błąd na fundamentalnym poziomie spójności prawa. Zaufania do władzy.

Rozumiem, że w tych dwóch województwach, w których nie ma uchwał antysmogowych, można nie tylko używać „kopciucha”, ale też palić czymkolwiek? – Tak.

A dlaczego w nich nie ma uchwał antysmogowych?

– Wydaje mi się, że ludzie tam żyją w błogim przeświadczeniu, że mają czyste powietrze. Bo to Mazury. Bo to Białowieża...
Ja pochodzę z Elku, jest tam stacja pomiarowa...

A Elk to...

– Warmińsko-mazurskie. I ta stacja, mimo że stoi między blokami, pokazuje przekroczenia. Nie tak ekstremalne jak na południu Polski, ale jednak. Czyli na tych obrzeżnych osiedlach tam też nieźle dymi. A pomiary, które wykonujemy każdej zimy, albo dane z Głównego Inspektoratu Ochrony Środowiska pokazują, że w małych miejscowościach, czy to będzie wioska pod Gdańskiem, czy pod Raciborzem, to nie ma znaczenia, powietrze z reguły odbiega znacząco od normy.

Wszędzie występuje lokalny smog, jedyna różnica polega na tym, że na Mazurach czy na Podlasiu, z racji małej gęstości zaludnienia, łatwiej się z niego wydostać.

Czyli ludzie na Podlasiu, w warmińsko-mazurskim powinni jak najmniej czasu spędzać w miejscu zamieszkania?

– Tak, zimą na rower czy na łyżwy, wychodzisz kilometr poza miejscowość i jesteś otoczony czystym powietrzem. To duży plus, bo ekspozycja na smog jest dużo niższa.

Rząd miał wydać 40 mld zł na walkę ze smogiem, a wydał 3 mld zł i teraz dopłaca do węgla

A jak mieszczuchy mówią: „Jedziemy na wieś, bo tam jest czyste powietrze”...

– Proszę wybaczyć, że się śmieję, ale zdarzyło mi się już nieraz, że pisze lub dzwoni do mnie taki mieszczuch, mówi: „Proszę pana, wyprowadziłem się z miasta na wieś, myślałem, że będę miał wreszcie czyste powietrze, a wie pan, co tu się dzieje w listopadzie?”. Oczywiście, że wiem. Jeszcze niedawno w pierwszej dekadzie najmocniej zanieczyszczonych miejscowości w Unii Europejskiej była polska wioska Godów. Nie Barcelona, Rzym czy Paryż, ale właśnie Godów z populacją liczącą 1800 osób.

Czyli gdzie tej zimy mamy jechać, żeby się przewietrzyć?

– Na Islandię.
Naprawdę, w Polsce to jest ogromny problem.

Kiedyś do mnie dzwoni pewien pan, mówi: „Właśnie przeszedłem na emeryturę, tak z żoną słuchamy, co mówicie, pomyśleliśmy sobie, że się wyprowadzimy z tego Poznania, niech pan mi doradzi dokąd, kupimy tam dom”. Na co ja: „Jakbym miał tak uczciwie doradzić, to przede wszystkim daleko od ludzi. A po drugie, w górach, ale wysoko. Czyli jak na przykład w dole jest Rabka, buduje pan dom 600 metrów nad doliną i wtedy jest duża szansa, że będzie pan miał dobrej jakości powietrze”.

No, ale proszę zobaczyć, rozmawiamy o prawie 40-milionowym kraju i ja, próbując wyszukać miejsce do życia, jeżeli chodzi o takie ogólnie pojęte zdrowie, to jestem w kropce.

Ale przecież pan powiedział, że w Warszawie będzie dobrze od października 2023 roku?

– No tak, w Warszawie będzie dobrze, a obwarzanek: Marki, Celestynów, Otwock, Karzew, mógłbym wymieniać tak długo.

Pocieszające jest to, że w obwarzanku zakaz palenia węglem wchodzi w 2028 roku.

Przecież to sześć lat.

– Taka była decyzja radnych sejmiku mazowieckiego. A w świetle tego, co planuje sejmik małopolski, można powiedzieć, że Mazowsze zachowuje się wyjątkowo progresywnie.

Powiedział pan na początku, że w ciągu ostatnich lat powietrze w Polsce jednak się poprawiło...

– Jak patrzymy na zbiorcze, wieloletnie statystyki, to rzeczywiście roczne stężenia, liczba dni w roku ze smogiem, to nam wszystko powoli spada. W ciągu ostatnich siedmiu lat powietrze poprawiło się w Polsce o kilkanaście procent. Z tym że to jest marna pociecha, bo co, mamy czekać jeszcze kilkadziesiąt lat, żeby było czyste?

Tu trzeba też dodać, że ostatnio Światowa Organizacja Zdrowia dokonała oceny norm jakości powietrza i stwierdziła, że są one zbyt liberalne. Nowe rekomendacje ogłoszono rok temu. Wiemy, że Unia Europejska przygląda się tym rekomendacjom i zamierza przeprowadzić ewaluację norm jakości powietrza dla krajów wspólnoty, w tym dla nas. Nowe normy na pewno będą zaostrzone. Co oznacza, że cel, do którego zmierzamy, jeszcze się oddala.

Poprawa jakości powietrza powinna zachodzić znacznie szybciej.

W Polsce walka z zanieczyszczeniem powietrza zaczęła się w 2017 roku. Wtedy nastąpiło to nagle społeczne przebudzenie. Wydawało nam się, że raz rozpoczętego procesu nic nie może zatrzymać. I w sensie społecznym widzę, że wszyscy już zrozumieli wagę życia w czystym powietrzu. Już nikt nie stuka się w głowę, kiedy mówimy o smogu. Ale ze strony rządu, regulacji prawnych przez niego forsowanych, widać polityczny oportunizm. Tu damy, tu zabierzemy...

Czyli ta najbliższa zima to będzie ten moment cofnięcia się, regresu?

– Zatrzymania się.

Dla mnie jest to moment, z punktu widzenia myślenia o jakości powietrza, kluczowy. Bo jest ewidentny kryzys, to widać. A będzie jeszcze gorzej, wszyscy to zapowiadają. Będzie drogo, będzie zimno, bo będą drogie paliwa itd. I teraz kluczowe jest to, co zrobi rząd, bo ludzie mają na to niewielki wpływ. Czy więc rząd, widząc kryzys, zoba-

czy w tym szansę, czy też wycofa się do stanu sprzed 2017 roku – opieramy się na węglu, a smog jakoś przelkniemy.

A szansa jak miałyby wyglądać?

– Pompy ciepła. Ocieplenie domów. Jednym słowem – niezależność energetyczna. To jest strona, w którą należy uciekać. I w tę właśnie stronę zmierza Europa. A prezydent Duda powiada: „Mamy węgla na 200 lat”. Jak mamy go na 200 lat, to czemu nam brakuje na 200 dni? ●

P.S. Kilka dni temu Sejm przyjął ustawę „O szczególnych rozwiązaniach w zakresie niektórych źródeł ciepła w związku z sytuacją na rynku paliw”, w której poza tym, że przyznaje się jednorazowe wsparcie dla wszystkich, którzy ogrzewają swoje domy i mieszkania gazem, peletem drzewnym, drewnem kawałkowym, czy olejem opałowym, przemycono też poprawkę o zawieszeniu norm węgla na kolejne dwa lata. Ustawa trafiła do Senatu.



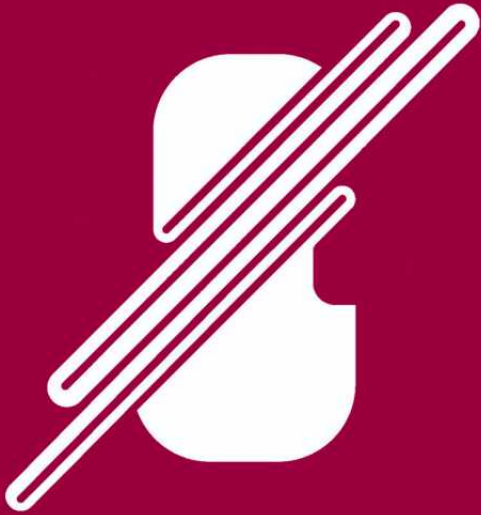
FOT. ADAM STĘPIEŃ / AGENCJA WYBORCZA.PL

***Piotr Siergiej**

• ur. w 1965 r., z wykształcenia inżynier budownictwa, pracował jako grafik komputerowy, dziennikarz i redaktor związany z ekologią, od 2015 roku jest rzecznikiem Polskiego Alarmu Smogowego. Zapalony kajakarz: przepłynął Wisłą z Krakowa do Bałtyku

CO TO JEST POLSKI ALARM SMOGOWY?

Najpierw wobec bierności władz w związku z problemem zanieczyszczenia powietrza skrzyknęli się mieszkańcy Krakowa i powstał Krakowski Alarm Smogowy. Potem Dolnośląski i Podhalański. Dziś jest już koalicją ponad pięćdziesięciu lokalnych alarmów smogowych, działających od stolicy, przez Rybnik, po Sztutowo, niewielką wieś w województwie pomorskim.
To m.in. dzięki inspiracji, działaniom i uporowi ludzi działających pod szyldem Polskiego Alarmu Smogowego udało się doprowadzić do przyjęcia uchwał antysmogowych, norm węgla oraz wprowadzić zakaz sprzedaży „kopciuchów”.



16. Międzynarodowy Konkurs Skrzypcowy im. Henryka Wieniawskiego

POZNAŃ | 7-21.10.2022

www.konkurs.wieniawski.pl
WIENIAWSKI SOCIETY

TO JEST TANIEC NA GROBACH OFIAR

FOT. ALIK KEPLICZ/AP



Komuś po prostu zamarzyło się, by machnąć ręką na cały porządek prawny, zignorować sytuację międzynarodową i wbrew temu wszystkiemu, nie patrząc na konsekwencje, zażądać pieniędzy, bo Polsce się one należą.

Z PROF. KRZYSZTOFEM RUCHNIEWICZEM* ROZMAWIA
BARTOSZ T. WIELIŃSKI

Na Zamku Królewskim w Warszawie politycy PiS z pompą zaprezentowali „Raport o stratach poniesionych przez Polskę w wyniku agresji i okupacji niemieckiej w czasie II wojny światowej 1939–1945”. Autorzy oszacowali je na 6,2 biliona złotych, rząd PiS zapowiada, że takiej kwoty reparacji zażąda od Niemiec. Dostaniemy te pieniądze?

– Nie, bo nie ma podstawy prawnej. Polska zrezygnowała z reparacji od Niemiec w 1953 r. Obecny rząd RFN uważa sprawę

za zamkniętą. Szukałem w tym raporcie jakichkolwiek informacji, co z tymi bilionowymi ustaleniami należy zrobić, jak Polska może – albo nie może – dochodzić tych pieniędzy. Nic nie znalazłem. Wśród recenzentów tego opracowania nie ma żadnego prawnika, który mógłby ocenić je pod względem prawa międzynarodowego. Tego nie napisano wprost, ale mam wrażenie, że komuś po prostu zamarzyło się, by machnąć ręką na cały porządek prawny, zignorować sytuację międzynarodową i wbrew temu wszystkiemu, nie patrząc na konsekwencje, zażądać pieniędzy, bo Polsce się one należą. To jednak kompletnie życzeniowe myślenie.

Tu chodzi o bardzo złożoną i bardzo delikatną materię. O trudne do wyobrażenia dziś straty materialne i równie niewyobrażalną liczbę ofiar wojny. Nie tylko o samych zabitych, ale także o tragedie tych, którzy przeżyli, o cierpienie ich rodzin. Przeszłość dalej budzi emocje, ludzie noszą dalej poczucie krzywdy. Dlatego oczekiwałbym od autorów, że podejść do kwestii strat wojennych z ostrożnością, że zaprezentują różne punkty widzenia, dylematy. Ale tego w tym opracowaniu nie ma.

Jarosław Kaczyński w słowie wstępnym pisze, że raport to pionierskie dzieło.

Faktycznie nigdy wcześniej Polska nie liczyła swoich strat i nie zamierzała domagać się zadośćuczynienia?

– To nieprawda. Prezes PiS napisał wprawdzie, że „Raport stanowi pierwszy, niezbędny krok na drodze do uzyskania przez państwo polskie stosownego zadośćuczynienia i odszkodowania za doznane w trakcie II wojny światowej krzywdy i cierpienia”. Tymczasem to opracowanie nie jest pierwsze, co zresztą autorzy raportu dalej przyznają. Przywołują wcześniejsze próby szacowania strat wojennych, ale zupełnie przemilczają historyczny i polityczny kontekst, w jakim je podejmowano.

Pierwsze było sprawozdanie Biura Odszkodowań Wojennych z 1947 r. To dokument, który powstał w ramach przygotowań z myślą o konferencji ministrów spraw zagranicznych w Londynie, na której debatowano o przyszłości Niemiec. Wykorzystują też materiały Komisji Opracowania Problemu Odszkodowań Niemieckich z 1973 r., które powstały już po nawiązaniu stosunków dyplomatycznych z RFN. Natomiast zupełnie pominięto dwutomowe opracowanie z 2004 r. pt. „Problem reparacji, odszkodowań i świadczeń w stosunkach polsko-niemieckich 1944–2004”.

Ta publikacja powstała w kontekście roszczeń niemieckich wypędzonych. Ów-

czesny minister spraw zagranicznych Włodzisław Cimoszewicz powierzył naukowcom opracowanie różnych materiałów, które pokazywałyby stan zabiegów Polaków o odszkodowania i reparacje. W opublikowanym obecnie raporcie tej publikacji po prostu nie ma. Czyżby nie pasowała do narracji, że po 1989 r. dopiero politycy PiS zajęli się tą sprawą? Wszak Kaczyński podkreśla, że raportu by nie było, „gdyby nie wieloletnie wysiłki i starania szeroko pojętego obozu patriotycznego”. Gdy pisze, że straty Warszawy zbadano dopiero na zlecenie jego brata, prezydenta Warszawy Lecha Kaczyńskiego, to znowu się myli. W latach 70. takie opracowania powstały pod redakcją prof. Czesława Pilichowskiego. Zawierały różnego rodzaju ekspertyzy, m.in. publikacje dotyczące strat wojennych stolicy. Po co więc nieustannie wbrew prawdzie podkreślać, że raport jest pierwszy, wyjątkowy, skoro tak łatwo ten argument zbić? To nie jest niestety jedyna rażąca rzecz...

Mianowicie...

– Na samym początku, w tekście od redakcji, który poprzedza słowo wstępne Kaczyńskiego, czytam, że autorów opracowania „połączyła propanistowska idea rozliczenia kosztów okupacji niemieckiej, w ce-

lu odzyskania zrabowanego Polsce majątku”. To zdanie w zasadzie wystarczy, by uznać, że „Raport” nie jest monografią naukową, czyli taką, która ma pokazać prawdę, tylko publikacją powstałą na polityczne zamówienie.

Z tych słów wynika, że aby zostać jej autorem, nie wystarczyło być ekspertem w swojej dziedzinie, niezależnym badaczem, odpornym na wszelkie naciski. Trzeba było mieć propaństwowe nastawienie. Propaństwowe? Raczej partyjne, bo „Raport” ma służyć przeciw celom rządzącej partii. Udział w takim przedsięwzięciu to zaprzeczenie pracy historyka.

I kolejna kwestia. Kaczyński dalej pisze, że „Polska powinna otrzymać reparacje, w imię elementarnego poczucia sprawiedliwości, w imię prawdy historycznej oraz w imię rzeczywistego pojednania polsko-niemieckiego”. Jako historyk pytam więc, czy wcześniej nie szukano tej prawdy? Nie dążono do tego pojednania? Przypomnijmy list biskupów polskich do biskupów niemieckich z 1965 r., w którym padają słowa „przebaczamy i prosimy o przebaczenie”. Czytam dziś bardzo zawołowane wypowiedzi arcybiskupa Stanisława Gądeckiego w sprawie żądań reparacji. Mam wrażenie, że obecni polscy biskupi nie akceptują poglądu ich poprzedników na pojednanie.

Kaczyński dalej: „Jest zatem rzeczą nie do przyjęcia z moralnego i godnościowego punktu widzenia, że Niemcy wypłaciły jakąś formę rekompensaty 70 państwom, a Rzeczpospolita Polska została w tym procesie pominięta”. Chciałbym, by wyliczył te 70 krajów. Lista państw, którym Niemcy wypłaciły odszkodowania, jest o wiele krótsza.

Może ma pan zbyt wygórowane oczekiwania? Rozpoczęła się kampania wyborcza, prawdopodobnie najbrutalniejsza w polskiej historii. Raport jest jej ważnym elementem.

– Jeśli tak, to jest to taniec na grobach ofiar. Autorzy wcześniejszych opracowań właśnie ofiary, a nie polityczne zyski, stawiali w centrum. A gdy formułowano jakieś oczekiwania, to kryterium była ich realność. Nikt nie domagał się kwestii niemożliwych, pozbawionych podstaw. We wstępie do opracowania z 2004 r. minister Cimoszewicz i poprzedni szefowie dyplomacji Skubiszewski, Olechowski, Bartoszewski, Rosati, Geremek podkreślają znaczenie relacji polsko-niemieckich, podkreślają, że potrzebne jest „nowe otwarcie w stosunkach między Polską i Niemcami, bez wzajemnych uprzedzeń i roszczeń z my-

ślą o wspólnej europejskiej przyszłości”. To pokazuje, że wówczas autorom chodziło o nakreślenie szerszej perspektywy, że woła Polski nie jest zaostrzanie sporów o przeszłość, tylko dialog. Dziś chodzi jedynie o efekt propagandowy, obliczony na wybory. Zresztą po lekturze „Raportu” ja dalej nie wiem, o co PiS-owi chodzi. O odszkodowania od Niemców czy o reparacje? Bo tych pojęć używa się zamiennie.

Na czym polega różnica?

– Reparacje to – w skrócie – zobowiązania między państwami. Państwo, które przegrało wojnę ponosi konkretne zobowiązania, by naprawić wyrządzone szko-

czyli na terenach, które Niemcy straciły po wojnie na rzecz Polski, Czechosłowacji czy ZSRR. Odszkodowania od Niemców dostawali też obcokrajowcy, ale do nawiązania stosunków dyplomatycznych z RFN w 1970 r. ustawodawstwo niemieckie wykluczało z nich obywateli polskich. Wyjątek zrobiono jedynie dla ofiar zbrodniczych eksperymentów medycznych. Gdy już zaczęto wypłacać pieniądze, Niemcy unikali terminu odszkodowanie. Mówili o świadczeniach humanitarnych albo o świadczeniach o charakterze odszkodowawczym.

Kilka lat temu wyliczył pan, że kwota tych odszkodowań to 1,6 miliarda euro.

W raporcie czytam, że „kwota końcowa wartości reparacji, które faktycznie otrzymała Polska [od ZSRR], rażąco odbiega od ustaleń aliantów”. Zgadzam się. Więc trzeba by zastanawiać się, czy nie mamy otwartego rachunku w relacjach z Rosją. Tego wątku w raporcie się nie porusza

dy. Mogą być one wyliczone w walucie, ale też w świadczeniach materialnych. Na poczet reparacji w przeszłości demontowano fabryki czy konfiskowano bieżącą produkcję przemysłową. Reparacje można też wypłacić w pracy ludzi. Po zakończeniu drugiej wojny światowej kwestie reparacji ustalono na konferencji Wielkiej Trójki w Poczdamie. Zdecydowano, nie czekając na szczegółowe wyliczenia. Na ich mocy ZSRR miał przekazać Polsce 15 proc. reparacji uzyskanych z radzieckiej strefy okupacyjnej. W raporcie czytam, że „kwota końcowa wartości reparacji, które faktycznie otrzymała Polska [od ZSRR], rażąco odbiega od początkowych ustaleń aliantów”. Zgadzam się. Ale co z tym mają do czynienia Niemcy? Reparacji nie wypłacił Polsce Związek Radziecki, więc trzeba by zastanawiać się, czy nie mamy otwartego rachunku w relacjach z Rosją. Tego wątku w raporcie się nie porusza.

Natomiast odszkodowania to zobowiązania na linii państwo – obywatel. Dotyczą też obywateli państwa, którzy ponieśli szkody w wyniku wojny. Ostatnio pro rządowe media obwieścili, że to obywatele niemieccy dostali największe odszkodowania. Ale jak mieli ich nie dostać, skoro RFN od początku lat 50. wypłacało odszkodowania za majątek utracony na wschodzie,

– Owszem. To zadaje kłam twierdzeniu, że Polacy nie dostali niczego. Ale w raporcie tę kwestię zupełnie pominięto. I nie chodzi tylko o wypłacone przez Niemcy odszkodowania, ale także rozliczenia z tytułu na przykład potrącanych Polakom podczas okupacji składek ubezpieczeniowych. Autorzy wbrew faktom sugerują, że w tej sprawie nic się nie działo, że rząd PRL nie zabiegał o odszkodowania, że Niemcy byli nieugięci mimo presji i że sprawa ciągle jest otwarta. Tymczasem w tej sprawie Polska zawsze była aktywna.

Na jakiej podstawie w raporcie wyliczono kwotę 6,2 biliona złotych?

– Dobre pytanie. W 1970 r. rząd PRL powołał Komisję ds. Opracowania Problemu Odszkodowań Niemieckich. Po kilku latach pracy komisja stwierdziła „że precyzyjne ustalenie ogólnej wysokości polskich szkód wojennych jest w zasadzie niewykonalne”. Powód? Przeszkody natury metodologicznej, brak wielu ważnych dokumentów, w wielu instytucjach nie przeprowadzono po wojnie stosownej inwentaryzacji. Bardzo chciałbym się dowiedzieć, jak ponad 40 lat później badacze uporali się z tymi problemami, że byli w stanie podać tak dokładne kwoty. Zaglądam więc do wstępu do „Raportu”.

Zwykle wstęp do tego rodzaju opracowania, w którym opisuje się zagadnienia badawcze i zastosowany aparat naukowy, wychodzi spod pióra redaktora naukowego. W tym przypadku ta postać jest schowana, wstęp napisał poseł Arkadiusz Mularczyk. Jakie ma kwalifikacje, by miarodajnie wypowiadać się w sprawie reparacji czy odszkodowań, w sprawie historii wojny? Prowadził sam badania? Z jego wstępu nie dowiadujemy się, jaki był klucz doboru materiałów, których użyto w raporcie, nie znamy metodologii. Nawet nie dowiadujemy się, jakie w ogóle w świecie powstały metody oszacowania tego rodzaju strat, zarówno materialnych, jak i ludzkich. A to wiedza, którą czytelnik powinien dostać na samym początku. Nie przedstawiono stanu badań. Mularczyk wymienia instytucje zajmujące się liczeniem strat, ale nie opisuje ani nie ocenia efektów ich pracy.

Mam wrażenie, że podstawowym źródłem są dane zebrane przez Biuro Odszkodowań Wojennych w 1947 r. Nie dotyczą one jednak Kresów Wschodnich, a dane dotyczące ziem na Zachodzie w raporcie pomięto. To kuriozum, które nie wprowadza niczego nowego poza wątpliwą kwotą 6,2 biliona zł. Dlaczego nie opracowano strat wojennych dla całej Polski w granicach z 1939 r.? Zresztą w raporcie znalazłem kuriozalne opisy, że wartość utraconych ziem na wschodzie była wyższa niż ziem na zachodzie, które Polsce przyznano po wojnie. Że przejmowaliśmy opuszczone, zniszczone tereny, ze zniszczonymi liniami logistycznymi. Coś takiego mógł napisać ktoś, kto nigdy nie był na Dolnym Śląsku.

Ale spójrzmy na recenzentów tego opracowania. Nie ma prawnika, jest trzech ekonomistów i dwóch historyków. Jeden to prof. Wojciech Falkowski, dyrektor Zamku Królewskiego w Warszawie, wcześniej podsekretarz stanu w MON. Jego specjalnością jest średniowiecze, nie zajmował się tematyką reparacji i odszkodowań. Drugi historyk to prof. Wojciech Roszkowski, który nie opublikował żadnego osobnego studium dotyczącego tych kwestii. Ostatnio o reparacjach od Niemiec pisał w podręczniku do HiT. ●

***Prof. Krzysztof Ruchniewicz**, historyk, dyrektor Centrum im. Willy’ego Brandta we Wrocławiu

JOHNNY

HISTORIA NIEZWYKŁEJ PRZYJAŹNI

FILM W KINACH OD 23 WRZEŚNIA KSIĄŻKA JUŻ W SPRZEDAŻY

MACIEJ KRASZEWSKI

JOHNNY

POWIEŚĆ O KSIĘDZU JANIE KACZKOWSKIM

Wzruszająca i porywająca opowieść o spotkaniu dwóch facetów z zupełnie różnych światów, które jednemu z nich ocaliło życie. Historia przyjaźni księdza Jana Kaczkowskiego, łamiącego stereotypy charyzmatycznego duchownego i Patryka Galewskiego, recydywisty – a dziś szefa kuchni – to inspirująca opowieść o miłości do świata i o tym, że każdy zasługuje na kolejną szansę. Gdy Patryk dostaje ją od Jana nie podejrzewa nawet, jak to odmieni jego życie.

To my jesteśmy spadkobiercami ZSRR

Plan Ołeksija Arestowycza, kandydata na następcę Zełenskiego: rosyjski drugim językiem imperium, Kijów stolicą wielkiej Rusi

Szczerzek

Ołeksij Arestowycz to najbardziej hot nazwisko ukraińskiej polityki ostatnich tygodni. Uważa się go za „psychoterapeutę Ukrainy”, specjalistę od strategii wojennej i geopolityki, ale jest kimś jeszcze. Wizjonerem i ideologiem, którego można by uznać za odwrotność Aleksandra Dugina (zresztą dobrego znajomego z dawnych, mistyczno-eurazjatyckich czasów).

Czy raczej, jeśli się zastanowić, jego wariant.

Bez dwóch zdań, Arestowycz to ciekawa postać. Urodzony w Gruzji syn Rosjanki i białoruskiego Polaka (podobno herbowego szlachcica), wychowujący się w radzieckim Kijowie i – jak sam twierdzi – służący w wywiadzie młodego ukraińskiego państwa. Absolwent szkoły wojskowej i żołnierz. Aktor występujący w teatrze i dorabiający na dalekim planie w filmowych czy telewizyjnych produkcjach. Psychoterapeuta o spojrzeniu i głosie tak magnetycznych, że zyskał przydomek „ukraińskiego Kaszpirowskiego”. Doradca prezydenta Zełenskiego (którego dawniej krytykował, nazywając „marionetką oligarchów” i zarzucając nacjonalizm z powodu wprowadzania praw rugujących język rosyjski z przestrzeni publicznej). Blogger i analityk wojskowy, którego kojące i pozytywne analizy w pierwszych tygodniach wojny uspokajały wściekłych, spanikowanych

krzepieniu serc, ale prawdziwe wiadomości. Innymi słowy – nie chce już być propagandystą (choć w Ukrainie nigdy w aż tak prosty sposób nikomu się nie kojarzył).

No i Arestowycz to człowiek o wielkich ambicjach; dopiero co ogłosił, że jeśli Zełenski nie będzie startował o następną kadencję, to wystartuje on sam.

Za tą fasadą kryje się jednak postać o wiele ciekawsza. Poglądy geopolityczne Arestowycza mogą się wydawać dość zaskakujące. I zaskakująco kojarzą się z poglądami jego arcyrywała, rosyjskiego ideologa, który z geopolityki montuje metafizyczno-przerażającą sagę – Aleksandra Dugina. Tego samego, którego córka, Daria, zginęła niedawno w zamachu, którego celem był najprawdopodobniej sam Dugin.

Co nie oznacza, że poglądy Arestowycza są bliskie Duginowi. Oznacza raczej, że mają podobny rozmach i podobny wielkoruski twist. Dugin jest piewcą rosyjskiego imperializmu, przeciwstawia rosyjską, eurazjatycką „cywilizację ładu”, z jej masowością i konserwatyzmem, euroatlantycznej „cywilizacji morza”, charakteryzującej się „zgniłym indywidualizmem” i liberalizmem prowadzącym do „wynaturzeń” i „akceptacji dewiacji”. Jego książki są lekturami w rosyjskich szkołach wojskowych, a ich autor był dość bliskim doradcą Putina w czasach, gdy ów szukał konkretnych podstaw pod „rosyjską

maga się od Ukraińców aspirowania do – uwaga – spuścizny po ZSRR.

– ZSRR budowali Ukraińcy – mówił w youtube’owej rozmowie ze znany rosyjskim pisarzem Dmitrijem Bykowem. – Co drugi radziecki oficer był Ukraińcem.

– Na tym terytorium nie wymyślono jeszcze niczego lepszego niż ZSRR – twierdził, powołując się na szeroki rozwój nauk technicznych i humanistycznych oraz sztuki w czasach radzieckiej władzy.

Arestowycz ma bowiem szeroko zakrojony plan wobec rozwoju ukraińskiej tożsamości, który nie przypomina za bardzo dominującej obecnie w zachodniej Ukrainie narracji, brzmiącej mniej więcej w ten sposób: „nasza chałta z kraja, a w dodatku dążąca do członkostwa w NATO i w Unii Europejskiej, a od rosyjskiego Mordoru warto by się odгородzić Wielkim Murem, jak Westeros od dzikich ludów północy w »Grze o tron«...”

Arestowycz uważa, że Ukraina powinna grać nie tylko o rosyjsko-radziecką spuściznę (bo i Imperium Rosyjskie, według niego, budowali Ukraińcy), ale i o samą nazwę „Rosja”. Dlatego postuluje powrót do nazwy „Ruś” dla Ukrainy, a język rosyjski chciałby uczynić drugim językiem ukraińskim. Nie obcy – tylko ukraińskim właśnie.

W wizji Arestowycza Ukraina nie jest odrębna od Rosji – i tutaj zgadza się nie tylko z Duginem, ale i z Putinem,

zacji, w której jedną z głównych ról odgrywał właśnie Dugin, z którym zna się – jak twierdzi – dobrze. Dziś Arestowycz bynajmniej nie odżegnuje się od tych kontaktów, twierdzi jednak, że Braterstwa nie traktował poważnie, lecz jedynie rozpracowywał je jako oficer ukraińskich służb. W co, dodajmy, mało kto w Ukrainie aktualnie wierzy.

Dla Arestowycza więc Ukraina to „lepsz” Rosja. Bardziej „kozacka”, bardziej demokratyczna niż samodzielnawna, ale nadal niespecjalnie żyjąca europejskimi wartościami. Arestowycz uważa np. osoby homoseksualne za „dewiantów” i choć nie wzywa do ich prześladowania, to ukraińskie organizacje LGBT tak czy owak domagają się jego odwołania z pozycji doradcy prezydenta Ukrainy.

Wścieka się na prześladowanie rosyjskojęzycznych Ukraińców. A nawet niechętnych Ukrainie Rosjan, których związki z Ukrainą są mocne. Kimś takim był, na przykład, Michaił Bulhakow: kijowianin, który uważał się za Rosjanina, a Ukrainy i języka ukraińskiego nie cierpiał. Bulhakow w obecnej Ukrainie znajduje się na czarnej liście, co Arestowycz potępia, mówiąc, że rugowanie takich ludzi z ukraińskiej zbiorowej świadomości to rzecz przeciwskuteczna. Trzeba ich właśnie do niej inkorporować. Tak by Rosjanom pozostało jedynie odwoływanie się do „tradycji ulusu Złotej Ordy”. Uważa, że antyrosyjskość zabiera Ukrainie potencjał zagospodarowania tych Rosjan, którzy występują przeciwko Putinowi. W takim ujęciu Ukraina byłaby czymś w rodzaju „głębi strategicznej” dla rosyjskiej antyputinowskiej opozycji. Terytorium i tradycją, z której może wyjść antysamodzierzawne uderzenie.

1 września Arestowycz na Facebooku zamieścił odezwę, w której chwalił ukraiński „szary, ale mądry naród” za to, że „patriotyczne siły” (czyli partie utożsamiane ze skrajnymi nacjonalistami i szowinistami) nie zdobyły w wyborach nigdy większego poparcia niż 1,5 procent.

To właśnie w nich Arestowycz upatruje jednak wiecznego ukraińskiego problemu: zamykania się w swojej bańce wyobrażeń o świecie.

„Nie potrzebujemy tutaj antyputinowskich opozycjonistów – szydził, naśladując narrację „patriotów”, których nazywa „pojebami”. – Niech spieprzają do Federacji Rosyjskiej, a my tu się zamknijemy w naszej Ojczyźnie, będziemy się kochać i będziemy dumni”.

„Potrzebuję Ukrainy, która gra na całej szachownicy – pisze. – Która wpływa na Moskwę, Władywostok, Pekin, Waszyngton i marsjańskie kolonie Muska. I tylko w taki sposób podniesie się ukraińska kultura. I tylko w taki sposób ukraiński język stanie się modny, a ludzie będą się go uczyć”.

„Sparta – ciągnie Arestowycz – była jedynym greckim miastem nieposiadającym murów. Spartanie mieli tak małe środki, które mogli mobilizować, że ich jedynym strategicznym wyjściem było stwarzać problemy pod murami swoich konkurentów, a nie czekać pod własnymi”.

Faktycznie: taka strategia to wypisz wymaluj strategia kraju, do którego spuścizny Arestowycz aspiruje. ●

Potrzebuję Ukrainy, która gra na całej szachownicy. Która wpływa na Moskwę, Władywostok, Pekin, Waszyngton i marsjańskie kolonie Muska

który – przecież – jest aktualnie dla Kijowa wrogiem numer jeden. Nie jest odrębna, ale to Kijów powinien – według Arestowycza – rządzić Moskwą, a nie odwrotnie.

Ukraińska geopolityka zawsze miała szerokie horyzonty. W 1935 roku poeta i działacz polityczny (m.in. szef Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów) Ołeh Olżycz pisał o „żelaznym państwie”, które „jaśnieje” nad przestrzenią pomiędzy Karpatami a Pamirem, Bohdan Kordiuk, naukowiec i również działacz OUN, uważał plany budowy Ukrainy „od Sanu do Kaukazu” za zbyt mało ambitne i postulował nie tylko wyzolenie „małych narodów Azji” spod władzy „Wielkiego Stepu”, którego dziedzictwo widział w Rosji, ale i trójjprzymierze Wielkich Niemiec, Wielkich Włoch i Wielkiej Ukrainy rządzącej całą Eurazją. Pojawiały się w ukraińskich piśmach geopolitycznych plany zawładnięcia całą rosyjską przestrzenią aż po Władywostok i „Zielony Klin” – daleko-wschodnia emanacja Ukrainy, czyli teryreny na wschód od Syberii, zamieszkałe w dużym stopniu przez ukraińskich kolonistów. Rozmach Arestowycza nie jest więc wcale wzięty znikąd.

Żeby było ciekawiej, Arestowycz przez jakiś czas aktywnie działał w wielkoruskim Braterstwie, organi-

FOT. PRESIDENT.GOV.UA NA LICENCJI CREATIVE COMMONS 4.0



i zdezorientowanych rodaków. Jedne spełniły się bardziej (front się ustabilizuje, bo Rosjanie nie będą mieli siły ani środków do kontynuowania natarcia, bowiem samo założenie, że Ukraina podda się tak szybko jak Krym, było niewłaściwe), inne mniej (do tego ustabilizowania miało dojść w dwa-trzy tygodnie).

Do tych mniej udanych Arestowycz ma zdystansowany stosunek: „nie zakładał, że po drugiej stronie jest aż tak wielu idiotów”. I, co rzadkie u propagandystów, potrafi przyznać, że publicznie kłamał. Jak w wywiadzie dla Marka Fejgina, niezależnego rosyjskiego prawnika, polityka i youtubera, oświadczając, że od połowy kwietnia do początku czerwca, kiedy to „wojenne szczęście odwróciło się w stronę przeciwnika”, „uśmiechał się na antenie i mówił, że wszystko jest w porządku”. Teraz, jak twierdzi, nie zamierza już dostarczać ludziom treści ku po-

ideę”, która miałaby przewodzić Moskwie w jej relacjach ze światem. Tezy Dugina są efektywne i – szczególnie w czasie wojennej gorączki – mogą pokrywać się z narracją kremlofskiej propagandy, lecz wbrew poglądom Dugin nie jest już tak blisko ucha władzy. Nie zmienia to faktu, że jest czymś w rodzaju rosyjskiej mistycznej legendy, nowego Rasputina masowej wyobraźni (szczególnie po śmierci córki), który saczy Rosjanom do głów ekstremistyczną ideologię.

Arestowycz natomiast robi wszystko, by stać się ukraińską odpowiedzią na Dugina. Oczywiście już sama pozycja Ukrainy – kraju wielkiego jak na Europę, ale jednak niemogącego aspiracjami mierzyć się z państwem obejmującym całą północną część Eurazji – sprawia, że taka odpowiedź musi być skazana na niepowodzenie. Dlatego Arestowycz wcale nie zamierza się na taką pozycję godzić. I, na przykład, do-

Uwaga, chwale Gądeckiego

W sprawie reparacji arcybiskup wytacza najcięższe działo naszego Kościoła, czyli Jana Pawła II.

Magdalena Czyż

Nie wiem, co takiego jest w przewodniczącym Konferencji Episkopatu Polski, że jak tylko przyjdzie mi do głowy myśl, żeby go za coś pochwalić, to natychmiast zaczynam się bać, że będę żałować. A jeśli nie żałować, to się wstydić.

Tego boję się i teraz, gdy przeczytałam jego oświadczenie w sprawie „Raportu o stratach poniesionych przez Polskę w wyniku agresji i okupacji niemieckiej w latach 1939–1945”, czyli tematu, który PiS wymyśliło, żeby nie musieć tłumaczyć się suwerenowi z drożyzny i braku opału na zimę.

Arcybiskup Stanisław Gądecki stanął na wysokości zadania. To nieczęste wśród hierarchów naszego Kościoła, więc uważam, że warto przynajmniej odnotowania. Głównie dlatego, że nie wiem do końca, co o tym myśleć.

Arcybiskup zaczyna: „W kontekście opublikowanego – dnia 1 września 2022 roku – »Raportu o stratach poniesionych przez Polskę w wyniku agresji i okupacji niemieckiej w latach 1939–1945« chciałbym zwrócić uwagę, że poruszane w tym raporcie kwestie należy rozpatrywać w kontekście wieloletniego procesu polsko-niemieckiego pojednania. Jego początkiem był list polskich biskupów do biskupów niemieckich z roku 1965”.

I dalej o tymże liście i pojednaniu: „Tamtego roku biskupi polscy pisali: »W tym

jak najbardziej chrześcijańskim, ale i bardzo ludzkim duchu, wyciągamy do Was nasze ręce oraz udzielamy wybaczenia i prosimy o nie«. List ten szybko uznano za jeden z najważniejszych dokumentów pokojowych tamtych czasów.

Po latach możemy stwierdzić, że dokument okazał się proroczy. Rozpoczął proces pojednania między Polakami i Niemcami, bez lekceważenia dokonanych zbrodni, bez zapominania o ofiarach i bez zamykania się w poczuciu doznanych krzywd”.

Ale to nie wszystko, bo dalej arcybiskup wytacza najcięższe działo naszego Kościoła, czyli Jana Pawła II: „Trwający wiele deściocieleci polsko-niemiecki dialog pojednania prowadzony był w duchu, który św. Jan Paweł II przedstawił w następujący sposób: »Przebaczenie nie sprzeciwia się bynajmniej poszukiwaniu prawdy, ale wręcz domaga się prawdy. Dokonane zło musi zostać rozpoznane i w miarę możliwości naprawione«. I kończy tak: „Zadaniem Kościoła jest przypomnienie o wartości nawrócenia, przebaczenia i pojednania. Do decydowania o praktycznych formach przywrócenia sprawiedliwości powołane są instytucje państwowe. Niech więc naszym wspólnym pragnieniem będzie, aby dwa pojednane ze sobą narody, polski i niemiecki, kierowały swój wzrok ku lepszej przyszłości”.

No i ja na to: dziękuję, nie mam pytań. Z wyjątkiem jednego, malutkiego: czy to koniunkturalizm, z którego słynie arcybiskup (jego zdjęcie powinno figurować pod tym hasłem w encyklopedii), bo poczuł, że polityczny wiatr w Polsce zmienia kierunek? Czy jednak zdrowy rozsądek i autentyczna troska o relacje z ważnym sojusznikiem, gdy jedyny faktyczny wróg morduje Ukraińców za wschodnią granicą?

Nie potrafię odpowiedzieć sobie na to pytanie, ale gdybym się mogła rozmarzyć, to w przypadku arcybiskupa twierdząca odpowiedź na jedną i drugą możliwość byłaby jakos krzepiąca. ●

Wielka Sobota z małym Rudnickim

Flipper

Janusz Rudnicki

Z poczty:

Wahalem się jak moje ciśnienie, napisać do pana czy nie. Dobrze umięśnione te pana teksty, i jednocześnie, to dobrze, życie jest za krótkie na wieloznaczność.

Pisze pan na swojej stronie, że z pomysłów się pan wystrzelał. I pusty magazynek ma. Dobra, flippera pan zna, jeden otwór na narodziny, drugi na śmierć, więc posyłam taki oto nabój.

Wpada pan na świat jak z procy wystrzelił, z ruchomej wrzutki wylatuje jako kulka i już, już jesteśmy na polu gry. Lecimy trochę małą prostą, to dzieciństwo, i zaczyna się. Krążenie wokół punktowanych elementów, czyli zderzaków. Chodzi o to, żeby jak najdłużej utrzymać się na stole, czyli przy życiu, prawda? Trafiając w nie, w te tarcze, rampy, tunele. Dotknijemy jednego, rozlega się dźwięk, i już punkty na wyświetlaczu. One są jak

stacje żywota naszego, te pierwsze to nauka, potem praca, żona, dzieci no i to, czego sami dokonamy.

Sami, bo tak jest, że raz kulka się jest, raz graczem. Można przecież, mając talent, dobrą intuicję, zatrzymać kulkę, wycelować i trafić w obrany cel, można, ale przeważnie rządzi jego wysokość przypadek. A ich ciąg, ich splót w los się układa. Którego to ludzie Bogiem nazywają, a przecież mówić powinni „Los ci to wynagrodzi”. A ci z różnicami wiedzieć powinni, że każdy paciorek to przypadek, a cały różaniec to los właśnie.

Krażymy dalej, jeśli kulka błądzi bez celu jak włóczykij, to równią pochyłą w kierunku drzwi czek polecą. Do czarnej dziury, bo życie to przecież równia pochyła. Nie znaczy to jednak, że to już koniec, że od razu pan w nią wpadniesz, po to się ma przecież dwie ręce, dwie ruchome łapki, żeby

się uratować. Jeden odpowiedni szybki ruch i kulka znowu pędzi do góry, wracamy do gry. Krążenie i dźwięk, znowu punkty, lub znowu do dziury, znowu szybki ruch palcami i powrót. Lub nie, jeśli refleks za słaby, lub pęd do życia, ten élan vital, wtedy przynajmniej wiadomo, że z własnej człowiek przepadł winy. Gorzej, beznadziejnie, fatalnie, kiedy kulka leci w kierunku przepaści samym środkiem, to koniec. Palce jej nie przechwycą, środek to droga prosto w przepaść. Bezpowrotna.

Dla nas, nie dla kulki, bo ona, proszę pana, zmartwychwstanie. Przeleci tunelem do miejsca startu i poczeka na swój moment do ponownego startu. I tym różni się taka kulka od człowieka, nie ma dla nas zmiłuj. ●

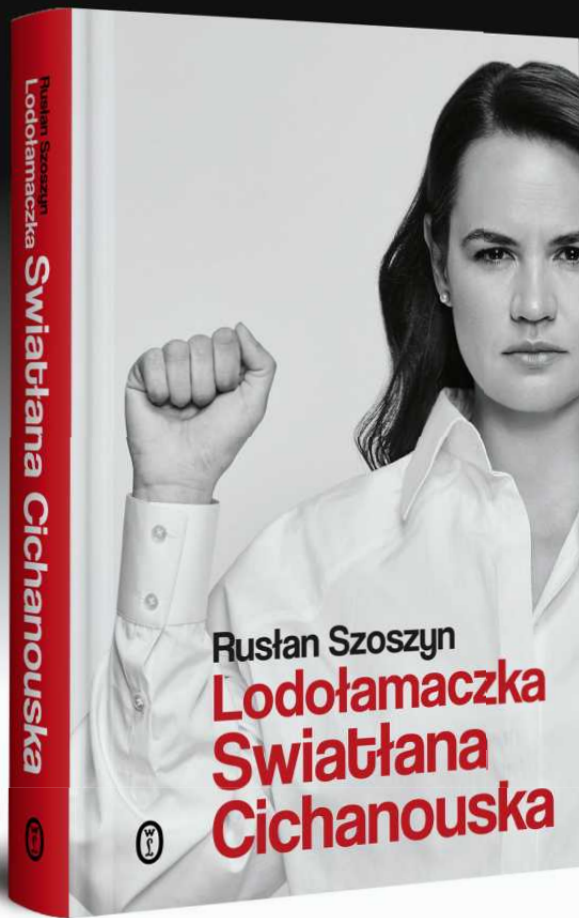
Z TYM WYDANIEM DOSTAJĄ PAŃSTWO DOSTĘP DO:

1.

Serwisu Wyborcza.pl na sobotę i niedzielę

2.

Fragmentu książki „Lodołamaczka. Swiatłana Cichanouska”



Portret Swiatłany Cichanouskiej – zwyczajnej dziewczyny z południowego krańca Białorusi, która nie miała aspiracji politycznych i koncentrowała się na rodzinie. Jak to się stało, że zaryzykowała wszystko, co było dla niej najcenniejsze, i rzuciła wyzwanie dyktaturze Łukaszenki? Dlaczego właśnie jej udało się porwać za sobą miliony Białorusinów?

Twój wyjątkowy kod dostępu

do fragmentu książki „Lodołamaczka. Swiatłana Cichanouska” Rusłana Szoszyna oraz treści Wyborcza.pl na ten weekend:

WW22LJK

Aby skorzystać z kodu:

- ① Wejdź na stronę Wyborcza.pl/magazynkod
- ② Wpisz kod w polu „Kod promocyjny”
- ③ Podaj adres e-mail, na który przyznamy dostęp
- ④ Aktywuj dostęp w ten weekend
- ⑤ Fragment książki czytaj na Wyborcza.pl/czytelnia

Jeśli masz pytania lub kłopot z aktywacją kodu, chętnie pomożemy. Skontaktuj się z infolinią: tel. 22 555 54 55 (sob. 9–17), e-mail: pomoc@wyborcza.pl.

STRZELE SOBIE W STOPE CZY NIE STRZELE

Zmiana ordynacji jest Kaczyńskiemu po to, żeby załatwić Konfederację, jak kiedyś Samoobronę.

Dominika Wielowieyska

Sprawdza się stara zasada: gdy Platforma jest krytykowana przez liberalnych publicystów i intelektualistów, a więc merytorycznych sojuszników, to jej notowania rosną – średnia PO podskoczyła o 2-3 pkt. Sondaże są źródłem złych wiadomości dla PiS-u: po przyszłorocznych wyborach parlamentarnych nie będzie rządził nawet z Konfederacją. Natomiast opozycja – startując osobno – ma trochę ponad 230 mandatów. Przy różnych konstelacjach zjednoczeniowych typu jedna lista, dwie listy liczba mandatów dla niej rośnie.

Nic nie wskazuje na to, że PiS-owi notowania wzrosną: drożyzna szaleje, wzrost gospodarczy słabnie, pieniędzy z Funduszu Odbudowy nie ma. Partia rządząca straciła 6-10 pkt proc. Myślenie Jarosława Kaczyńskiego siłą rzeczy koncentruje się wokół jednej kwestii: jak minimalizować straty i jak wykorzystać ten rok oraz władzę, aby zabezpieczyć interesy partii w przyszłości.

Odpowiedź jest prosta: trzeba zmienić ordynację wyborczą tak, aby PiS miał lepszy wynik. Przymiarki trwały od dawna, jednak w pewnym momencie wicemarszałek Sejmu i szef klubu PiS Ryszard Terlecki powiedział „Sieci”, że rewolucji w prawie wyborczym nie będzie, bo nie zgadza się na nią prezydent Andrzej Duda.

W sierpniu nastąpił zwrot. Kaczyński, patrząc na sondaże, wrócił do idei zmian w ordynacji, aby ratować co się da. Nawiąza go do tego były już prezes TVP Jacek Kurski, nosem kręcą mali koalicjanci, widząc w tym plan ich całkowitej pacyfikacji. „Dziennik Gazeta Prawna” opublikował szczegóły możliwej nowelizacji, która zwiększała liczbę okręgów sejmowych z 41 do 100. Nowogrodzka zleciła obliczenia, w których za punkt wyjścia przyjęto wyniki wyborów prezydenckich z 2020 r. oraz parlamentarnych z 2019 r. Teoretycznie w takich mniejszych okręgach będzie mniejsza liczba mandatów do zdobycia, np. od trzech do ośmiu.

To oznacza, że małe partie mogą się nie załapać na żaden mandat, bo całą pulę zgarną najsilniejsi. Tak więc formalnie obowiązywałby 5-proc. próg, ale w praktyce byłby on o wiele wyższy: w większości okręgów sięgałby 15-20 proc. A to oznacza, że scena podzielona byłaby na dwa duże konkurencyjne bloki – i partyjne maluchy albo się przyłączy do jednego z nich, albo znikną.

To, że PiS dokonał reorganizacji partyjnych struktur, tworząc 100 lokalnych okręgów, było powszechnie uważane za przygotowanie do zmian ordynacji.

Problem w tym, że Kaczyński sam nie jest pewien, jaki będzie efekt tych zmian, bo na Nowogrodzką przychodzą wciąż kolejni petenci i eksperci, by przedstawiać

bardzo różne wyliczenia. Z jednych wynika, że partia rządząca na tym zyskuje, podobno jedna symulacja daje jej aż 270 mandatów. Z innych – że realny próg wyborczy wcale nie będzie taki wysoki, a zyski PiS-u będą skromne lub żadne, za to opozycja się wzmocni, bo pójdzie do wyborów zjednoczona. Politycy czterech partii opozycyjnych deklarowali, że w razie zmiany ordynacji trzeba będzie zdecydować się na ten wariant, w takim układzie bowiem ryzyko znalezienia się za burtą i Szymona Hołowni, i PSL-u, i Lewicy jest spore.

Socjolog Marcin Palade sprawdził, co by się stało, gdyby wybory przeprowadzono w 100 okręgach. Na Twitterze przedstawił kilka wersji podziału mandatów na podstawie średniej sondażowej z sierpnia 2022.

Jeżeli każda z partii opozycyjnych poszłaby do wyborów osobno, to PiS ma nieznaną większość w Sejmie. Ale wystarczy, że Hołownia stworzy koalicję z PSL-em, i już partia Jarosława Kaczyńskiego traci większość. A gdyby opozycja demokratyczna – w warunkach nowej ordynacji – stworzyła jedną listę, to zbliżyłaby się do większości konstytucyjnej, a już na pewno

byłaby w stanie przełamać weto prezydenta, do którego potrzeba 276 mandatów.

Kluczowe pytanie z punktu widzenia PiS-u jest takie: czy symulacje Paladego są prawdopodobne i cała operacja nie skończy się tak, że opozycja demokratyczna zyska większość konstytucyjną, a tym samym będzie mogła błyskawicznie odkręcić wszystkie PiS-owskie zmiany i zneutralizować Trybunał Przyłębskiej, który stanowi podstawowe zagrożenie. Bo Trybunał może zablokować praktycznie wszystkie inicjatywy opozycji, uznając je za niezgodne z konstytucją.

Warto też zauważyć, że trend w sondażach od wielu miesięcy jest dla PiS-u niekorzystny, a zsumowane poparcie dla opozycji demokratycznej rośnie. Zmniejsza się też dystans pomiędzy PiS-em a PO.

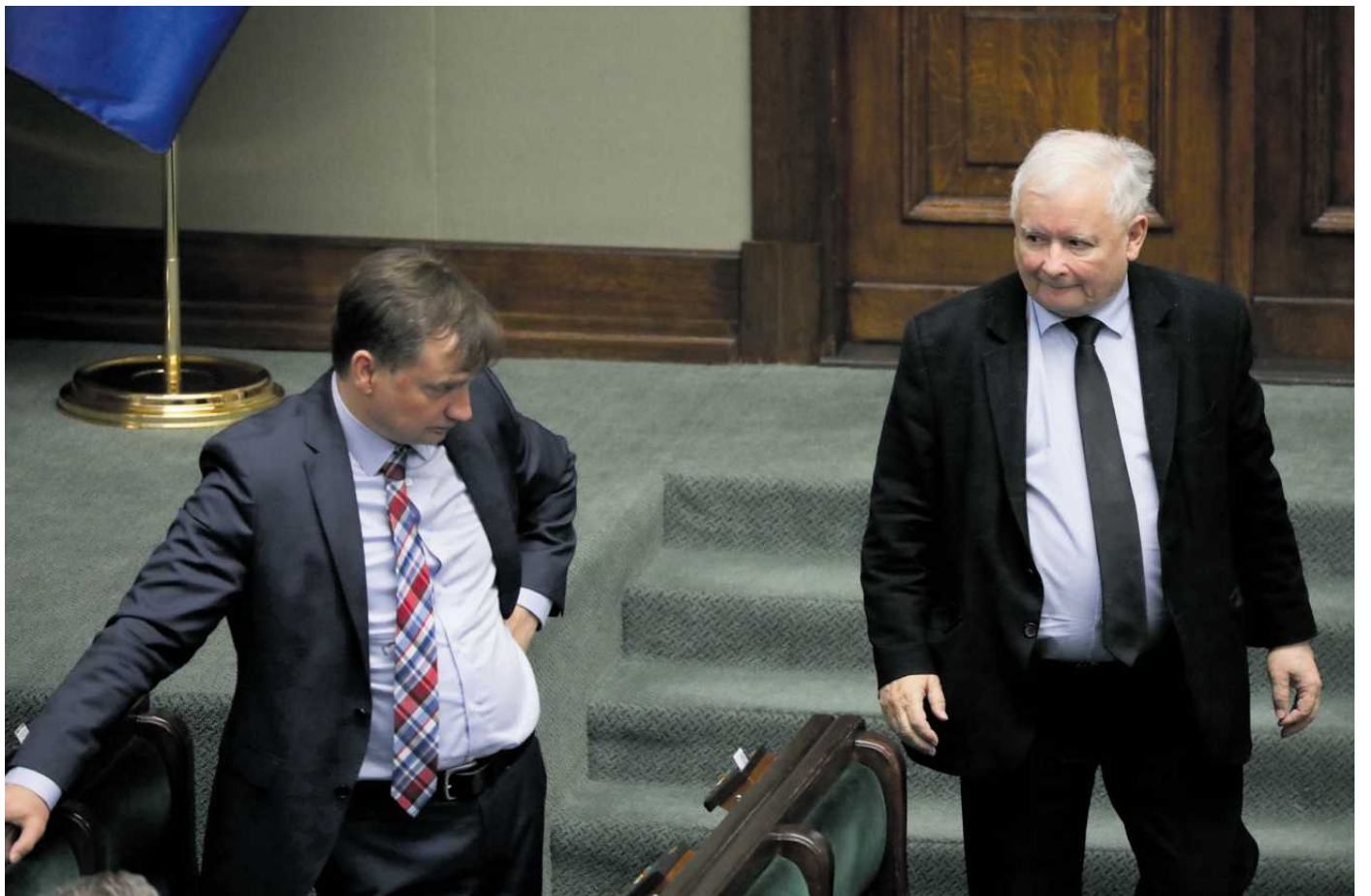
Kaczyński nie podjął jeszcze decyzji. Ale dlaczego mimo olbrzymiego ryzyka utraty władzy i dramatycznej porażki w ogóle rozważa taką zmianę ordynacji? Może liczy, że opozycja się jednak nie dogada i nie stworzy wspólnej listy. Poza tym dla prezesa najważniejsza jest partia:

jej sterowność i zwartość nawet w obliczu klęski wyborczej. Trzeba zabezpieczyć się przed naturalnym procesem, który następuje w przegranych formacjach, a więc przed dezintegracją. Nowa ordynacja pozwoli mu na ułożenie list w taki sposób, aby nikt nie podniósł buntu z powodu porażki i utraty władzy.

PiS ostatecznie zmarginalizuje zrzedliwych koalicjantów, nie będzie szantażowany przez rozmaite lobby w Zjednoczonej Prawicy. Stworzy sobie karny klub parlamentarny. I – co najważniejsze – nowa ordynacja pomoże mu skonsumować Konfederację, podobnie jak to było kilkanaście lat temu w przypadku Samoobrony oraz Ligi Polskich Rodzin. I spełni się marzenie prezesa: po prawej stronie będzie już tylko ściana.

Dzięki nowej ordynacji Kaczyński zyskuje ugrupowanie silne, które może mieć więcej mandatów w porównaniu z wyborami przeprowadzonymi zgodnie z obecną ordynacją. Być może ten cel jest dla prezesa ważniejszy niż groźba wspólnej listy opozycji. Poza tym – jak pisała Agata Kondzińska w „Wyborczej” – wiele osób w PiS-

FOT. SŁAWOMIR KAMINSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL



Dla prezesa najważniejsza jest partia: jej sterowność i zwartość nawet w obliczu klęski wyborczej.

Nowa ordynacja pozwoli mu na ułożenie list w taki sposób, aby nikt nie podniósł buntu z powodu porażki i utraty władzy

-ie uważa, że tak głęboka polaryzacja i skłenienie PSL-u i Hołowni z Lewicą przyniesie partii rządzącej korzyści. Zmusi głosujących do opowiedzenia się po lewej albo prawej stronie i odciągnie od opozycji wyborców centroprawicowych.

Może Solidarna Polska zablokuje nową ordynację? Już tyle razy się buntowała, a i tak tkwi w Zjednoczonej Prawicy. Ich samodzielny start to mrzonki. Ziobro za poparcie dla tych zmian będzie chciał sporo utargować, być może już targuje, bo niedawno Kaczyński ogłosił, że jego obóz uchwali spłaszczenie struktury sądów – a to da Ziobrze okazję do przeprowadzenia kolejnego etapu rewolucji personalnej. Czy przynajmniej złudzenie okazji, bo Duda może to zawetować.

Zawetować też może ordynację ze 100 okręgami. Pałac zapowiadał, że nie chce takiej zmiany ordynacji. – Pan prezydent podejmie decyzję w sprawie podpisu pod ewentualną zmianą ordynacji dopiero wtedy, gdy zobaczy realny kształt uchwalonej ustawy. Wcześniej wszelkie spekulacje nie mają sensu. Ja mogę jedynie przypomnieć, że pan prezydent już raz zawetował zmianę ordynacji związaną z wyborami do Parlamentu Europejskiego, a powodem było podniesienie realnego progu wyborczego – powiedział „Wyborczej” Paweł Szrot, szef gabinetu prezydenta.

Czy można być pewnym, że Duda zawetuje także zmianę w przypadku wyborów parlamentarnych? Nie. Emisariusze między Nowogrodzką a Pałacem cały czas krążą. Tu także trwa wymiana różnych symulacji, kto i ile zyska na nowych zasadach. Wygląda na to, że gra Dudy sprowadza się przede wszystkim do tego, by zniechęcić Kaczyńskiego do uchwalania nowelizacji. Prezydent razem z małymi koalicjantami stara się przekonać Nowogrodzką, że ta nic na tym nie zyska. Andrzej Duda nie chce stanąć przed dylematem: wetować czy nie wetować.

Ale jeśli ustawa jednak będzie uchwalona, wszystko może się zdarzyć. Bo prezydent boi się, że weto do ordynacji zepsuje mu jeszcze bardziej relacje z jego macierzystym obozem, boi się oskarżeń, że przyczynił się do porażki PiS-u i do powrotu Tuska do władzy. Teza nie do sprawdzenia po fakcie, niemniej takie oskarżenia blokują mu prowadzenie gry w obozie PiS-u, a przecież chciałby mieć wpływ na to, co się będzie tam działo po wyborach. Co innego zawetować ordynację europejską, która nie wpływa na to, kto rządzi w Polsce, a co innego zawetować zmiany, które – według PiS-u – mają zapewnić partii dobry wynik w wyścigu do Sejmu.

Spójrzmy teraz na krajobraz po stronie demokratycznej opozycji. Donald Tusk ogłosił na Campusie Polska, że na listy PO nie będą miały wstępu osoby, które są przeciwko liberalizacji ustawy antyaborcyjnej. Zabrzmiąło dramatycznie, bo Platforma do tej pory pozwalała posłom głosować zgodnie z sumieniem i w takich sprawach nie było dyscypliny partyjnej.

Padły pytania, co z konserwatywnymi posłami, takimi jak Paweł Kowal czy Paweł Poncyljusz, i czy przypadkiem Tusk nie zawęził sobie pola manewru, zwracając się jedynie w lewą stronę. Realia są bardziej skomplikowane. Lider PO zapowiedział, że kobieta będzie dokonywać wyboru, ale to nie znaczy, że Platforma godzi się na aborcję do 12. tygodnia bez żadnych ograniczeń i procedur, tak jak to bywa ze zwykłymi zabiegami medycznymi. Jej politycy odrzucają używane przez konserwatystów hasło „aborcja na życzenie”. Dla posłów, którzy są w Koalicji Obywatelskiej i określają swoje poglądy mianem centroprawicowych, to ważne rozróżnienie. Stawiają na wariant niemiecki: kobieta przed podjęciem decyzji musi odbyć rozmowę z psychologiem. Lewicę to oburza, bo uważa, że kobieta sama wie, co robić, a jeśli chce pomocy psychologicznej, to o nią poprosi. Ale faktem jest, że niezależnie od tego, co powie psycholog,

to kobieta będzie podejmować ostateczną decyzję.

Jedynie Bogusław Sonik ogłosił, że z powodu deklaracji Tuska startować nie będzie i chciałby przerzucić się na Parlament Europejski. Ale Sonik prawdopodobnie i tak nie znalazłby się na listach, bo go tam nie chcą. Wątpliwości zgłosił też Bronisław Komorowski, ale i jemu od dawna jest bliżej do PSL-u i do Hołowni, a zresztą nie planował startu. Reszta milczy, bo czeka, jak projekt w sprawie aborcji będzie wyglądał w szczegółach. I nie jest zaskoczona: ta sprawa była stawiana na posiedzeniu klubu.

Jednak najważniejsze jest to, że propozycja Tuska współgra z nastrojami społecznymi: sondaże pokazują, że ludzie nie chcą legalnej aborcji do 12. tygodnia bez żadnych ograniczeń, najczęściej wybierają opcję aborcji legalnej, ale obwarowanej pewnymi procedurami. Uważają aborcję za ostateczność, a nie zwykły zabieg medyczny. Liczba takich wyborców wzrosła po tym, gdy Trybunał Przyłębskiej praktycznie zdelegalizował przerywanie ciąży. Większość Polaków uznała, że PiS nie uszanował kompromisu, więc wahadło wychyliło się w drugą stronę. Stało się coś, przed ostrzegali umiarkowani konserwatyści, także z PO, zwolennicy kompromisu, ale Kościół i PiS nie chciały słuchać. Dziś mogą mówić: to nie my zniszczyliśmy kompromis aborcyjny.

Wielu komentatorów występ na Campusie zinterpretowało tak: Tusk pożegnał się z marzeniem o wspólnej liście. I tak, i nie.

Lider PO już dawno zarzucił namawianie partnerów do stworzenia jednego komitetu wyborczego. Walczy tylko o pozycję Platformy i wierzy, że przeskoczy PiS. Wtedy to on będzie rozdawał karty po wyborach i wybierze sobie koalicjanta.

Dziś jego kalkulacja opiera się na założeniu, że trzeba postawić na wyrazistość i sprawczość. Trzeba pokazać ludziom, że Platforma to żadna „ciamcia ramcia” – jak jej zarzucali kiedyś jej konkurenci.

Dlatego Tusk mówi bardzo ostro: jeśli dojdziemy do władzy, to PiS nie będzie rządził, mimo że Kaczyńskiemu wydaje się, że zabezpieczył odpowiednie przyczółki. Wyrzucimy Julię Przyłębską, wyrzucimy Adama Glapińskiego, przywrócimy praworządność metodą administracyjną, nie będziemy się oglądać na weta prezydenta. Wszystkie te propozycje budzą wątpliwości prawne. Ale znów sprawdza się stara zasada: gdy Platforma jest krytykowana przez liberalnych publicystów i intelektualistów, a więc merytorycznych sojuszników, to jej notowania rosną: średnia PO podskoczyła o 2-3 pkt proc. Wyborcy lubią liderów zdecydowanych i jednoznacznych.

W otoczeniu Tuska panuje przekonanie, że wajcha polityczna już powoli przestawia się na drugą stronę i na początku roku Platforma będzie mieć ponad 30 proc. w sondażach. Mają prawo tak domniemywać, bo trend jest pozytywny dla Tuska. Choć w innych partiach panuje sceptycyzm. – O tym, że PO przekroczy w styczniu 30 proc., to ja słyszałem od ludzi Tuska rok temu – mówią.

Niemniej otoczenie przewodniczącego wierzy, że trendu nie da się już zatrzymać. Natomiast sytuacja zmieni się diametralnie, jeśli PiS zdecyduje się na zmianę ordynacji. Deklaracja w sprawie aborcji dotyczą kandydatów PO. Jeśli będzie wspólna lista, to znajdą się na niej politycy PSL-u i Hołowni, którzy mogą mieć inne zdanie. A wyborcy decydują, do jakich poglądów jest im najbliższej i kto wejdzie do Sejmu.

Od wielu polityków spoza PO i PiS-u słyszymy, że Polacy są zmęczeni tym dupolem. Może są, ale jest prawdopodobne, że to ta oś sporu zdominuje najdłuższą w III RP kampanię wyborczą. Najdłuższą, bo ta kampania już jest w pełnym rozkwicie, choć wybory dopiero za rok. ●

PO PRAWDZIE

Im wolno

Jarosław Kaczyński usiłuje walczyć z nepotyzmem. A Joanna Kurska wraca do TVP.

Agnieszka Kublik

Jacek Kurski został odwołany z funkcji szefa TVP. Joanna Kurska wróciła do TVP jako szefowa programu śniadaniowego. Bo tak postanowił Jacek Kurski.

Nepotyzm. Czyli faworyzowanie krewnych i bliskich. Z tłustymi kotami Jarosław Kaczyński usiłuje walczyć od lata 2021, wydał nawet w tej sprawie specjalną uchwałę.

Nie udało mu się odchudzić spółek skarbu państwa z tłustych kotów, po prostu nikomu na tym nie zależało. Najsłynniejszy przykład to Sylwia Sobolewska, żona Krzysztofa Sobolewskiego, sekretarza generalnego PiS. Najpierw straciła pracę w PKN Orlen, potem znalazła zatrudnienie w samorządowej spółce.

Co ciekawe, sam Kurski zapowiedział powrót żony na Woronicza przed tygodniem. „Kiedy już byłem prezesem, ona była dyrektorem programowym, jednak postanowiliśmy po »coming outie«, że dopóki ja jestem prezesem, ona z telewizji odejdzie. Mam wobec niej wyrzuty sumienia, bo była doskonałym dyrektorem programowym. To był ten moment zawodowy, który koronuje pracę i w momencie, kiedy została tym dyrektorem, musiała przestać nim być, więc ją zawsze przepraszam za to”.

Zapytany, kiedy żona wróci do pracy, odparł: „Obiecuję, że jak kiedyś z telewizji odejdę, bo przecież kiedyś pewnie odejdę, to poproszę następców, żeby ona tutaj wróciła. Tak byłoby po prostu uczciwie. Zrobiłem jej osobistą krzywdę, że jej w telewizji nie ma, ale z drugiej strony pewnie byłibyśmy przedmiotem ataku, więc coś za coś”.

Ale to nie było tak.

Gdy w styczniu 2016 Jacek Kurski został szefem TVP (czy ktoś jeszcze pamięta, że na fotel szefa TVP przesiadł się wprost z fotela rządowego, bo wiceministra kultury?), Joanna Klimek (to nazwisko jej ówczesnego męża) nie pracowała w TVP, ale w Polsacie (gdzie była m.in. wydawcą programów publicystycznych). Do telewizji publicznej przysłała już za prezesury Kurskiego. Trafiła do biura



programowego od razu na stanowisko wicedyrektora. Jak pamiętają na Woronicza, od razu zażądała (i dostała) iPhone’a, tabletu, auta i karty kredytowej.

Po kilku dniach Jacek Kurski awansował ją na dyrektora biura programowego. Pensja około 25 tys. zł brutto plus premie wyższe niż pensja. Z telewizyjnych opowieści wynika, że Joanna Klimek rzadko przesiadywała w swoim pokoju, najczęściej w gabinetach prezesa.

W gmachu przy Woronicza szybko wydało się, że prezes ma romans z podwładną, i to mężatką. W środowisku telewizyjnym to była głośna sprawa, bo mąż Klimek też pracował w telewizji.

Na dodatek Joanna Klimek jesienią 2016 publicznie się chwaliła: „Potwierdzam, że w marcu bierzemy z Jackiem ślub. To nasza prywatna sprawa”.

Pobrali się dopiero w 2018 (zapewne czekali na rozwód), a dwa lata później wzięli ślub kościelny (bo uzyskali kościelne rozwody) w Sanktuarium Bożego Miłosierdzia w Krakowie-Łagiewnikach. Gościem był sam Jarosław Kaczyński.

Teraz Joanna Kurska tak wspomina odejście z TVP: „Przestrzegając najwyższych standardów etycznych, odeszłam z funkcji dyrektora programowego Telewizji Polskiej – nie chciałam pracować w telewizji, dopóki jej prezesem był mój mąż. Całe moje życie zawodowe związane jest z telewizją – to moja pasja i kompetencja. W nowej sytuacji przyjąłam więc propozycję pracy przedstawioną mi przez prezesa TVP i cieszę się, że pokieruję jednym z najważniejszych programów TVP 2”.

Ale wtedy, w 2016 roku, Klimek raczej musiała odejść, bo – jak z rozbawieniem opowiadali posłowie PiS – Kaczyńskie-go ten romans ze skandalem bardzo denerwował.

Klimek więc w październiku opuściła Woronicza, a zdecydowała o tym partia. Szybko dostała pracę w innej spółce skarbu państwa – w dziale PR PGNiG (utrzymała się tam niecałe dwa miesiące), później była ekspertką ds. marki i mediów w Netii (część Grupy Cyfrowego Polsatu).

Takie standardy. ●

Magazyn w sprzedaży

Harari się tłumaczy
Leo Lipski, przeoczony geniusz

KSIĄZKI
MAGAZYN DO CZYTANIA

Nowa biografia
Kopernika
Przyzwoity facet w Polsce donosicieli

Jak zło bierze górę dzięki cancel culture
Abdulrazak Gurnah, noblista, tylko dla *Książek*

Sponsorka numeru
Kate Bush

Kolonizacja Marsa: jak to zrobimy

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY34203008

Na obrzeżach miasteczka Vimmerby, w krainie zwanej Smålandią, kilkaset kilometrów na południe od Sztokholmu i kilkaset na północ od Gdyni jest park, który pewna dziesięciolatka nazwała „najwspanialszym miejscem na ziemi”. Choć w niemal całej Szwecji drogi są puste, tutaj, na

szlaku dojazdowym do Vimmerby, w letnie poranki tworzy się korek. W każdym samochodzie widać dziecięce główki. Chwilę później dzieci, a za nimi rodzice, pędzą do bramy z napisem „Astrid Lindgrens Värld”. Tutaj, w parku o powierzchni 18 hektarów, od-

tworzono świat z książek najpopularniejszej szwedzkiej autorki. Spośród kilkunastu krótkich inscenizacji, jakie można obejrzeć, pierwsza odbywa się przed żółtą jak słońce Willą Śmiesznotką. Tommy i Annika, rodzeństwo z sąsiedniego domu, odkrywają, że w willi zamieszkała dziewczynka w sterzących warkoczach koloru marchewki. Jest inna niż wszystkie dziewczynki. Ma konia, którego potrafi podnieść. Śpi z butami na poduszce. Z dorosłymi rozmawia, jakby to oni byli dziećmi, którzy niczego nie rozumieją.

Gdy „Pippi Pończoszanka” została wydana pierwszy raz w 1945 r., pewien profesor napisał w „Aftonbladet”, największej szwedzkiej gazecie, że książka jest szkodliwa dla dzieci, a jej bohaterka cierpi na chorobę psychiczną. Pismo branżowe nauczycieli wyrażało obawy, że Pippi wykołoi młode pokolenie. Jednak książka została przetłumaczona na prawie 80 języków i rozeszła się w dziesiątkach milionów egzemplarzy na całym świecie.

Jedną z cech, które uczyniły Pippi nieśmiertelną, jest to, że nie porównuje się do innych. Nie obchodzi jej, co inni o niej myślą. Nie ma kompleksów. Być może jest tak dlatego, że nie chodzi do szkoły. Gdy Tommy i Annika „każdego ranka o ósmej wyruszali z książkami pod pachą”, ona „fikała czterdzieści trzy koziołki [...] potem zaś w spokoju ducha wypijała dużą filiżankę kawy [...]”.

Szkoła przez swój system ocen, kar i wyróżnień programuje w nas algorytm ciągłego porównywania się do innych. Lindgren o dwie dekady wyprzedziła rockandrollowy bunt przeciw szkole, którego hymnem stał się protest song Pink Floydów „Another Brick in the Wall”. Od tamtych czasów w wielu krajach edukacja przeszła rewolucyjne przeobrażenia. W innych tkwi w zgubnym dla społeczeństwa modelu z XIX wieku.

Inną inscenizacją, jaką można obejrzeć w Świecie Astrid Lindgren, jest słynny rozdział z „Emila ze Smålandii”, w którym głowa tytułowego bohatera klinuje się w wazie z rosołem – co wymusza wyprawę do lekarza i pozwala pacjentowi na niemycie uszu.

Emil jest białowłosym rozrabiaką wychowującym się z siostrą i rodzicami na farmie w początkach XX w. Świat pradawnych zasad: z częstymi odwiedzinami pastora, czulą matką i surowym, oszczędnym ojcem. Emil, jak Pip-



FOT. EAST NEWS

FIŃSKI WZÓR SZCZĘŚCIA

Pippi nie porównuje się do innych. Nie ma kompleksów. Być może jest tak dlatego, że nie chodzi do szkoły.

Maciej Jarkowicz

pi, niewiele robi sobie z konwensansów („– Musisz tak siorbać? – Inaczej się nie wie, że to zupa”). Jednak w przeciwieństwie do Pippi każdy jego wybryk przynosi konsekwencje ze strony dorosłych. Zwykle za karę Emil zostaje zesłany do drewnutni, gdzie zabija nudę, strugając drewniane ludziki. W „najwspanialszym miejscu na

ziemi” można wejść do drewnutni i dotknąć ludzików.

Gdy pod koniec lat 80. polska telewizja emitowała serial na podstawie książki, byłem w podobnym do Emila wieku i przeciągły okrzyk jego ojca „Emil, do drewnutni!” stał się pośród chłopaków z mojej szkoły czymś, co dzisiaj nazwalibyśmy memem. Tak jak

on, żyliśmy w świecie kar. W szkole w dużym mieście w środku Europy – jeden z nauczycieli, tak jak sto lat wcześniej, za rozmowy w czasie lekcji albo nieprzygotowanie dyscyplinował nas biciem linijką po otwartej dłoni. Co najmniej kilku chłopaków z mojej klasy, tak jak sto lat wcześniej, regularnie dostawało od ojców lanie.

Ja do nich nie należałem. Całkiem niedawno zapytałem tatę, który ma dziś 77 lat, dlaczego mnie nie bił, choć sam dostawał od swojego ojca. Opowiedział mi, że gdy miał pięć lat, bawił się przędzalniczym kołowrotkiem matki – kręcił sobie, jak to dzieciak. Ojciec go przylapał i mój tata dostał pierwsze lanie, jakie zapamiętał.

– To wspomnienie we mnie tak siedziało – powiedział mi. – Ta nawiść, jaką do niego wtedy poczułem, ta niesprawiedliwość.

Gdy dorósł, dobrze żył z dziadkiem, ale nie popełniał jego błędów. Nigdy nie podniósł na mnie ręki, a głos ledwie kilka razy.

Pod koniec lat 70. Lindgren, która wtedy miała już w Szwecji status instytucji, została jedną z inicjatorek ustawy o całkowitym zakazie stosowania kar cielesnych wobec dzieci. Prawo delegalizujące nawet najłżejszego klapsa zostało uchwalone w 1979 r. Szwecja była pierwszym krajem na świecie, który wprowadził takie przepisy. Dziś podobne zakazy istnieją w ponad 30 państwach. Polska wprowadziła prohibicję przemocy wobec dzieci w 2010 r. Towarzyszyła temu burzliwa debata, głos zabierał też episkopat. Biskupi twierdzili, że zakaz klapsa godzi w autonomię życia rodzinnego. Liczne posłanki i posłowie z centrum i prawicy przywoływali własne – zbawienne według nich – doświadczenia bycia bitym przez rodziców i bicia własnych dzieci. Najzwięźlej takie postrzeganie świata wyraził Aleksander Chłopek z PiS: „To nie klaps, proszę państwa, jest przemocą, ale często brak klapsa”.

Po 12 latach od uchwalenia prawo nie jest przestrzegane. Według niektórych badań w co trzeciej polskiej rodzinie stosuje się jakąś formę kar cielesnych. Przemysław Czarnek, niedługo zanim został ministrem edukacji, napisał: „W życiu bywa tak, że słowne upomnienia i rozmowy nie wystarczają do wyeliminowania negatywnych przyzwyczajęń i zachowań. W niektórych życiowych sytuacjach zastosowanie kary cielesnej, bywa nieodzowne”.

Ronja z „Ronji, córki rozbójnika” ma czelność sprzeciwić się ojcu, nieobliczalnemu hersztowi zbrojnickiego klanu (pod Vimmerby stoi jego zamek, można zejść do lochów albo ucisnąć Ronji dłoń). Karlsson z „Karlssona z dachu” – „w miarę tęgą mężczyznę w sile wieku” ze śmigłem na plecach – chyba jeszcze bardziej niż Pippi ma w nosie opinię otoczenia. Uważa się za „Najlepszego Karlssona na świecie” (aktor grający go w Astrid Lindgrens Värld zasługuje na Oscara).

Bunt: kolejna cecha nieśmiertelnych bohaterów Lindgren. Pisarka urodziła się i wychowała w rodzinnym gospodarstwie Näs pod Vimmerby, kilka kroków od miejsca, gdzie dziś jest park rozrywki. Był to świat pradawnych zasad, z częstymi wizytami pastora. Lecz odwrotnie niż w przypadku Emila – jej ojciec był czuły (jego opowieści dadzą inspirację do stworzenia postaci Emila), a matka surowa i oszczędna (przysłuchiwała Astrid raz w życiu, gdy wróciła do domu po długiej nieobecności).

Jako nastolatka Astrid ścina włosy na krótko, gest nie do pomyślenia w tamtym świecie. Gdy ma 17 lat, dostaje pracę dziennikar-

ki w gazecie w Vimmerby. Zako-
chuje się w niej redaktor naczelny,
Astrid zachodzi w ciążę. W tam-
tym świecie naraża to jej rodzi-
nę na wykluczenie z protestanc-
kiej wspólnoty. Przyszła pisarka
ucieka więc do Sztokholmu, do-
staje pomoc od pewnej prawnicz-
ki feministki. Jej syn Lars przy-
chodzi na świat w Kopenhadze
w jedynym szpitalu w Skandyna-
wii, który nie zgłasza władzom
porodów samotnych matek. Wy-
chowuje go najpierw rodzina za-
stępcza w Kopenhadze, a później
dziadkowie w Näs. Astrid co sobo-
tę po pracy odbywa kilkugodzinną
podróż, żeby spędzić czas z dziec-
kiem. Bierze je do siebie, dopie-
ro gdy wychodzi za Sture Lindgre-
na w 1931 r. Lars ma już cztery la-
ta. Okres dzieciństwa bez matki
zaciążył na całym jego życiu i na
życiu Astrid. Prawdę o tym, że nie
jest synem jej męża, ujawniła dopie-
ro pół wieku później.

Własne dzieciństwo przetwo-
rzyła w idyllę pod tytułem „Dzie-
ci z Bullerbyn”. Bohaterowie książ-
ki żyją w doskonałym świecie ma-
leńkiej szwedzkiej wioski. Od kil-
ku pokoleń miliony dzieci się do
niego przenoszą, a często – jak
w przypadku pewnej dziesięciolat-
ki – to w nim zaczyna się ich mi-
łość do książek.

Rodzice dzieci z Bullerbyn są
ulepieni z czułości. Lind-
gren też chciała taka być.
„Zawsze kochałam bardziej dzieci
niż mężczyzn”.

Jej córka Karin opowiadała
w wywiadach, że matka, jeszcze
zanim zaczęła publikować, naj-
chętniej wyrażała miłości przez
opowieść. Nie było końca nowym
historiom. Zanim Pippi podbiła
świat, Karin miała ją na wyłącz-
ność – Astrid stworzyła tę postać,
by umilić czas córce w czasie jej
długiej choroby. Choć dorosli nie-
mał zawsze u Lindgren są osoba-
mi drugiego planu, jednym z wy-
różników jej opowieści jest więź
między nimi a dziećmi. Mosty, ja-
kie dzięki czułości i zrozumieniu
rozpinają między pokoleniami.
Pippi i jej tatuś, król mórz. Emil
i mama, która zawsze staje po je-
go stronie. Ronja i rozbójnik Mat-
tis, jej ojciec, który, nawet gdy ona
buntuje się przeciw niemu, ko-
cha ją na zabój. Owidowiały, nie-
poradny, ale troskliwy tata Melker
z „Dzieci z wyspy Saltråkan”. Pa-
ni Berg, przyjaciółka dzieci w „Lot-
cie z ulicy Awanturników”.

W wydanej w Polsce w tym ro-
ku książce „Więź. Dlaczego rodzi-
ce powinny być ważniejsi od kole-
gów” Kanadyjczycy Gordon Neu-
feld (psycholog kliniczny) i Ga-
bor Maté (lekarz specjalizujący się
m.in. w uzależnieniach) stawiają
tezę, że relacja rodziców z dzieć-
mi jest dziś w głębokim kryzysie.
Dzieje się tak nie dlatego, że ko-
chamy dzieci mniej niż kiedyś, ale
dlatego, że zmieniło się otocze-
nie, w którym je wychowujemy.
Kultura masowa tworzy dla ro-
dzicielstwa tak silną konkurencję,
że w wielu rodzinach to ona wła-
śnie najsilniej oddziałuje na naj-
młodsze pokolenie. Robi to za po-
średnictwem relacji rówieśni-
czych. Dzieci kształtują się nawza-
jem, czerpiąc wzorce wytwarza-
ne przez kulturę komercyjną, roz-
powszechniane w sieci. Prowa-
dzi to do licznych bólączek społe-
czeństw – z uzależnieniami i de-
presją młodych na czele. Teza nie
jest odkrywczą, ale rozwiązanie,

jakie proponują Neufeld i Maté,
wydaje się tyle oczywiste, co nie-
dostrzegalne przez miliony rodzi-
ców: więź z opiekunami powinna
być dla dzieci istotniejszą niż z ró-
wieśnikami. Erozja więzi następu-
je – twierdzą Neufeld i Maté – bo
jesteśmy bierni wobec naporu kul-
tury. Nie walczymy skutecznie
o trwałą relację z własnymi dzieć-
mi. A to my możemy dać im siłę,
budować w nich poczucie warto-
ści i odporność psychiczną. Dzie-
ki nam nie będą musiały porów-
nywać się do innych. Mniej będzie
obchodzić je, co inni o nich my-
ślą. Rządziej rozwiną się w nich
kompleksy. Będą bardziej podob-
ne do Pippi.

Są kraje, gdzie most między
dorosłymi a dziećmi udało się
przerzucić w szkole. W no-
wym modelu edukacji nauczyciel
buduje więź z uczniem. Pracuje
na to, że uczeń obdarza go zaufa-
niem. Wtedy pedagog może stać
się przewodnikiem.

W modelu XIX-wiecznym obo-
wiązującym nadal w większości
szkół publicznych w Polsce na-
uczyciel jest instruktorem i zan-
darmem. Ani minister Czarnek,
ani nowe proponowane przez PiS
podręczniki nie są największym
problemem polskiej edukacji.
Dzieci zawsze zbuntują się prze-
ciw zandarmom, a wzorców będą
szukać gdzie indziej. Jeśli nie pod-
suną im ich rodzice, lukę wypełni
kultura masowa.

Największym problemem pol-
skiej edukacji są relacje. Rozma-
wiamy o tym, czego uczyć na
lekcjach historii albo polskie-
go, o tym, czy warto było tworzyć
gimnazja, a później je likwidować,
o tym, ile powinni zarabiać na-
uczyciele, jaka powinna być au-
tonomia szkół, ile dzieci powin-
no być w jednej klasie i tak dalej.
To ważne tematy. Ale zbyt mało
mówimy o więzi. O relacjach na-
uczyciela z uczniami i tych wza-
jemnych między uczniami. Jak je
zmienić. Jak system podległości
i rywalizacji zreformować w sys-
tem współpracy, pomocy i wyrów-
nywania szans. Żadna z formacji
opozycyjnych nie proponuje wizji
edukacji, która miałaby moc bu-
dować nowe, bardziej zgodne spo-
łeczeństwo. Czarnek przemienie.
Edukacja utrwalająca naród kom-
pleksów i porównywania się do
sąsiada pozostanie.

Finlandia jest krajem na
pograniczu dwóch przez
wieki rywalizujących ze sobą
cywilizacji: nordyckiej i rosyjskiej.
Przez 600 lat rządziła tam monar-
chia Szwecji, by w 1809 r. przeka-

zać władzę carowi. Finowie zyskali
niepodległość w 1918 r. po upadku
caratu w Rosji. W następnych
dziesięcioleciach kraj dewastowa-
ły kolejno wojna domowa, wojna
z sowietami i wojna z Niemcami.

W pierwszych dekadach powo-
jennych Finowie podjęli wysiłek,
żeby podnieść się z dna. W 1963 r.
parlament przyjął ustawę o edu-
kacji publicznej, która miała stać
się fundamentem budowy nowe-
go państwa. Jej podstawowym za-
łożeniem było, aby każde dziec-
ko niezależnie od pochodzenia
i miejsca zamieszkania miało do-
stęp do dobrej darmowej szko-
ły. Rozpoczęto dystrybucję środ-
ków. Stworzono system kształce-
nia nauczycieli na ośmiu państwo-
wych uniwersytetach. Wkrótce za-
wód pedagoga zyskał status po-
równywalny z prawnikiem czy le-
karzem. Postawiono na wyrówny-

be oceny zbierane przez osiem
lat podstawówki utrwały jedy-
nie – i nadal utrwalają – poczucie
niższości. Finowie wyszli z założe-
nia, że słaba ocena jest formą ka-
ry. Zamiast karać za nieprzygoto-
wanie, stawiają pytanie: dlaczego
uczeń jest nieprzygotowany. Szu-
kają odpowiedzi indywidualnie
z każdym dzieckiem. Rozpoczyna-
ją z nim pracę. Badania OECD po-
kazują, że różnice między tzw. naj-
słabszymi i najsilniejszymi ucznia-
mi są w Finlandii najmniejsze na
świecie. Dziecko z bogatego domu
z Helsinek ma identyczne szan-
se edukacyjne jak dziecko z nie-
zamożnego domu z najmniejszej
wioski w najdalszym zakątku kra-
ju. Gdy Finlandia stała się celem
migrantów i uchodźców z Azji
i Afryki, edukacja okazała się sku-
tecznym mechanizmem integra-
cyjnym i asymilacyjnym.

Czarnek przemienie. Edukacja utrwalająca naród kompleksów i porównywania się do sąsiada pozostanie

wanie szans. W każdej szkole two-
rzono zespół psychologiczno-pe-
dagogiczny złożony z najlepszych
fachowców placówki do pomo-
cy uczniom słabiej radzącym so-
bie z nauką. System ewoluował
przez lata. Stopniowo go decentra-
lizowano, zwiększając autonomię
poszczególnych szkół i coraz bar-
dziej kompetentnych nauczycieli.
Państwowe wytyczne do naucza-
nia matematyki w ciągu pół wieku
skurczyły się z siedmuset stron
do dziesięciu. Z czasem elimino-
wano elementy stymulujące rywa-
lizację – jak oceny i rankingi. Dziś
w Finlandii, aż do matury, nie ma
obowiązkowych testów i egzami-
nów. Nie ma rankingów porównu-
jących szkoły i nauczycieli. Nie ma
ocen. Nauczyciel mierzy postępy
każdego ucznia osobno.

W Polsce tak zwany słaby
uczeń z reguły aż do skończenia
szkoły pozostaje słaby. Pała nie
motywowała do nauki 35 lat temu,
gdy byłem dziesięcioletkiem, i nie
motywuje do nauki dziś, gdy mo-
ja córka jest dziesięcioletką. Sła-

Fiński system uważany jest za
najlepszy na świecie. Potwierdza-
ją to rezultaty testów międzyna-
rodowych (choć Finowie nie przy-
wiązują do nich większej wagi).
Potwierdzają to też innowacyj-
ność gospodarki, względna stabil-
ność polityczna i zgoda społecz-
na, niski poziom nierówności, po-
laryzacji, konfliktów, przemocy.
Według oenzetowskiego zestawie-
nia World Happiness Report su-
mującego liczne rankingi mierzą-
ce szczęśliwość społeczeństw Fi-
nowie są aktualnie najszczęśliw-
szymi ludźmi świata (Polska pla-
suje się na 48. miejscu pośród
146 państw, listę zamyka Afgani-
stan). Inne szczęśliwe społeczno-
ści mają wiele cech wspólnych,
a jedną z nich jest nowa, równo-
ściowa edukacja.

1 września, dzień, w którym
przez dwanaście lat wracałem
po wakacjach do szkoły, kojarzy
mi się z wyciem syren. Odzywały
się nad miastem dla upamiętnie-
nia wybuchu wojny, gdy ubrani na
biało-granatowo gromadziliśmy
się na szkolnych boiskach, na uli-
cach, ławeczkach, placach zabaw
przepelnieni sprzecznymi emocja-
mi: radością z bycia znowu razem
i antycypacją nadciągającej nudy.
Szkola była do dupy – tak czuliśmy
i po 33 latach wolnej Polski nadal
czują tak miliony polskich dziecia-
ków. To nasza wspólna narodo-
wa klęska.

Dziś wycie syren ma całkiem
inne brzmienie. Słychać w nim
wojnę, która trwa od ponad pół
roku tuż za naszą granicą.
1 września 1939 r. Astrid Lind-
gren zaczęła pisać dziennik. Mia-
ła 32 lata, dwójkę dzieci, nie opu-
blikiwała jeszcze żadnej książ-
ki. Na pierwszej karcie zanotowa-
ła: „Dziś wybuchła wojna. Nikt nie
chce w to uwierzyć. [...] Boże, po-

móż naszej biednej, oszalałej pla-
necie!”.

Szwecja zachowała neutral-
ność, ale jej obywatele, jak my dziś,
obserwowali wojnę blisko swoich
granic i też zastanawiali się, czy
nie staną się następnym celem ata-
ku. Dzień po dniu Lindgren opisy-
wała strach i napięcie, niepewno-
ści jutra, jakie towarzyszyły jej ro-
dzinie i innym Szwedom. W trze-
cim roku wojny, aby rozweselać
córkę, zaczęła opowiadać jej o naj-
silniejszej dziewczynce świata,
która niczego się nie boi.

Dziś pewnego letniego dnia
po przedstawieniu przed Willą
Śmiesznotką aktorka grająca Pip-
pi podbiega do widowni i podaje
dzieciom dłoń. Jedna z mam zry-
wa się z ławki i ściska Pippi z ca-
łych sił. Długo nie puszcza.

Od niemal 80. lat Pippi jest
kumpelą dla kolejnych pokoleń
dziewczynek. Niektórym z nich
udaje się spełnić marzenie o tym,
żeby ją przytulić.

W 1978 r., w przemówieniu, ja-
kie wygłosiła Lindgren, odbiera-
jąc Pokojową Nagrodę Księgarzy
Niemieckich, powiedziała: „Może
po całych tysiącletciach nieustan-
nych wojen powinniśmy zadać so-
bie pytanie, czy nie ma jakiegoś
błędu konstrukcyjnego w ludz-
kiej naturze, skoro zawsze sięga-
my po przemoc? Czy jesteśmy ska-
zani, aby zginąć na skutek naszej
własnej agresji? Wszyscy chcemy
pokoju. Czy zatem nie ma żadnej
możliwości, byśmy się zmienili,
zanim będzie za późno? Żebyśmy
nauczyli się odstępować od prze-
mocy? Spróbowali po prostu stać
się nowym rodzajem ludzi? Tyl-
ko jak to zrobić i od czego zacząć?
Myślę, że powinniśmy zacząć od
podstaw. Od dzieci. Ci, którzy te-
raz są dziećmi, pewnego dnia
przecież przejmą ster i pokierują
naszym światem, jeżeli coś z niego
jeszcze zostanie. Będą decydować
o wojnie i pokoju, i o tym, jakie-
go chcą społeczeństwa. Czy dopro-
wadzą do nasilenia przemocy, czy
też zapragną, aby ludzie żyli w po-
koju i ludzkiej wspólnotce?”.

Życie Astrid Lindgren, w prze-
ciwieństwie do życia dzieci z Bul-
lerbyn, nie było idyllą. Jej mąż
przez lata ją zdradzał. Zabił go al-
koholizm. Z kolejną wydawa-
ną biografią na posagowym wi-
zerunku Astrid pojawiały się ry-
sy: rodzinnych konfliktów, depre-
sji, zwątpień, trudnej relacji z sy-
nem Larsem.

Ale przesłanie jej idealistycz-
nej wizji, w której postawiła znak
równości między czułym, peł-
nym zrozumienia wychowaniem
a szansą na lepszy świat, pozos-
taje w mocy. Zadanie spoczywa
na barkach nas wszystkich, doro-
słych. Opowiadając o wychowaw-
czej rewolucji, jakiej dokonali Fi-
nowie, były minister edukacji Pasi
Sahlberg powiedział: „Zrobiliśmy
to, żeby przetrwać”. ●

„Rewolwer obok Biblii.
W co wierzy Ameryka”,
Maciej Jarkowicz, Agora, 2021



Szkoła bujania w chmurach

Wyobraź sobie świat bez roku szkolnego, podręczników i podziału na podstawówkę, liceum, studia

Sadowska*



1 września ubrani na galowo zasiadaliśmy w szkolnych drewnianych ławkach. Dziś zasiadają w nich nasze dzieci. Świat od czasu, gdy przyjęto pruski model edukacji, zmienił się nie do poznania. Modele, narzędzia i idee zmieniać zaczynają się dopiero teraz. Postulujemy zmianę treści edukacyjnych i staramy się na nowo określić miejsce szkoły w świecie. Lecz zmiana powinna też objąć myślenie o uczeniu się i byciu uczniem – bo, jak mówi pionier internetu Kevin Kelly, w obliczu współczesnego rozwoju wszyscy jesteśmy nowicjusami. VUCA – volatility, uncertainty, complexity and ambiguity – zmienność, niepewność, złożoność i niejednoznaczność pozostaną z nami długo.

Coraz częściej pojawia się myśl, że szkoła przyszłości to ekosystem, zanurzona w środowisku, z którego czerpie, w którym współlistnieje i się współrozвивa. Nowego znaczenia nabiera przedrostek współ – współbudowanie, choćby poprzez obustronne powiązania edukacji z biznesem czy więzi multigeneracyjne, przenosi odpowiedzialność za kształt edukacji na wszystkich jej uczestników, dzięki czemu każdy z nich staje się sprawczy.

Ekosystem staje się odpowiedzią na zmiany, jakie przychodzą; te oczywiste, ale też i te, z którymi przyjdzie nam się zmierzyć znienacka. Tu pojawia się future thinking i metody scenariuszowe, które wymagają od nas oderwania od schematów czy wdrukowanych definicji. A pomocą służy metoda, jaką proponuje w książce „Imaginable” projektantka gier i innowatorka Jane McGonigal. „How the future does” polega na określeniu pewnych założeń, które naszym zdaniem w ciągu najbliższej dekady pozostaną niezmiennie – i odwróceniu ich do góry nogami. Po co? Żeby odwrócić nasz schemat myślowy. Scenariusze, które wydają nam się mieć sens, są zazwyczaj mocno osadzone w teraźniejszości. Spróbujmy zmierzyć się z tym, co wydaje się nam stałą charakterystyką systemu.

Rok szkolny trwa od września do czerwca ≠ Nie ma roku szkolnego
Odwrócenie normy, która wpływa na życie nas wszystkich (urlopy, okres wakacji, rozkład jazdy autobusów), może spowodować małe zamieszanie. Bo edukacja to zawsze był pewien okres w życiu. Czas „od-do” w danym roku szkolnym, akademickim, ale też „od-do” jako kolejny etap życiowy. Co, jeśli edukacja nie byłaby osadzona w czasie?

Wydłużające się życie i wzrost jego jakości sprawi, że coraz dłużej będziemy chcieli pozostawać na rynku pracy. Lecz zawody będą pojawiać się i znikać – co doprowadzi do potrzeby ciągłego uczenia się, a czasem i oduczania. „Lifelong learning” przestaje być hasłem trendy, staje się koniecznością.

Edukacja to wiedza ≠ edukacja to nie tylko wiedza

Szkoła kojarzy nam się ze zdobywaniem wiedzy, przyzwyczajeni do wykładniczego modelu, w jakim przebiegał jej transfer, zasiadaliśmy w ławkach i słuchaliśmy nauczyciela. A co, jeśli po-

patrzmy na edukację nie tylko przez pryzmat wiedzy? Edukacja to przede wszystkim społeczność – ludzie, którzy aktualizują swoją wiedzę, kompetencje i umiejętności, uczą się nowych rzeczy, a czasem oduczają starych. Przychodzą do ekosystemu z potrzeby redefinicji swojego życia, zawodu, czy rosnącej potrzeby rekreacji reskillingu.

W ekosystemie ważna jest nie tylko intelektualna sfera, ale i emocjonalna, i społeczna. OECD, tworząc learning compass, zwraca uwagę na szereg komponentów: postawy i wartości, zarówno te indywidualne, jak i społeczne, globalne, kompetencje (kognitywne, metakognitywne, społeczne, emocjonalne, psychiczne), a także wiedzę (szczegółową, interdyscyplinarną).

Do szkoły chodzą dzieci ≠ do szkoły chodzą wszyscy

Uczymy się do 26. roku życia i później korzystamy z tych zasobów – to norma, z którą nie dyskutowaliśmy. Gdy ją odwrócimy, przed nami pojawia się idea szkoły multigeneracyjnej, do której wraca się w razie potrzeby. Uczymy się od siebie wzajemnie, bo kompetencje międzygeneracyjne na rynku pracy stają się nam niezbędne do prawidłowej komunikacji i kooperacji.

Uczymy się w klasach ≠ nie uczymy się już w klasach

Przypisani do klasy, posadzeni w ławkach z kimś, kogo mniej lub bardziej lubiliśmy... Odwracając tę normę, uczymy się w różnych miejscach w zależności od tego, czego potrzebujemy (może nam pomóc spersonalizowany algorytm wraz z wybranym przez nas tutorem/mistrzem), uczymy się też z różnymi ludźmi – nie tylko wiekowo, ale i kulturowo. Technologia pozwala nam tworzyć multikulturowe zespoły, nie ruszając się z miejsca. Dzięki temu nasze doświadczenie wciąż wzbogacane jest o nowe sposoby pracy, schematy komunikacyjne – ekosystem edukacyjny otwiera się przed nami niezależnie od miejsca, w którym przebywamy.

Mamy 1 września, czas zasiąść w ławkach i otworzyć podręczniki. A może wyobraźmy sobie, że nie ma rzędów ławek, podręczników i tablicy. Nie ma nawet wspólnej sali. Uczniowie zakładają gogle i spotykają się w przestrzeni wygenerowanej cyfrowo. Historii Rzymu uczą się na arenie gladiatorów, układu planet w kosmosie, biologii, wnikać w ciało człowieka, które eksplorują pomniejszeni do rozmiarów bakterii. O swoich doświadczeniach dyskutują na pokładzie kosmicznego statku, na sawannie lub w ogrodzie z obrazu Moneta. Sala lekcyjna może wyglądać dowolnie. W tym tygodniu projektowała ją klasa IB! Dysponujemy wystarczającymi narzędziami technologicznymi: na rynku mamy relatywnie niedrogi sprzęt i szereg edukacyjnych aplikacji, często dostępnych za darmo.

Rzeczywistość wirtualna – VR (od Virtual Reality) – wraz z AR, rzeczywistością rozszerzoną (Augmented Reality), i MR, rzeczywistością mieszaną (Mixed Reality), reprezentuje tzw. technologie immersyjne. „Imersja” oznacza „zanurzenie” (immersion) w świecie wykreowanym w cyfrowy sposób. Użytkownik VR najczęściej wkracza w ten świat, zakładając gogle i biorąc do rąk kontrolery. Zestaw ten przenosi go do wirtualnej przestrzeni, która może być symulacją fizycznego świata lub czymś całkowicie fikcyjnym. Ogra-

niczeniem jest wyobraźnia projektanta. Tym, co wyróżnia ten sposób eksplorowania wirtualnego świata, jest poczucie uczestnictwa całym ciałem. Zestawy do VR nie tylko kreują wokół nas przestrzeń, którą odbieramy jako realistyczną, ale także odwzorowują ruchy naszego ciała.

VR to jednak nie tylko eskapizm i zabawa. To także wirtualne biura, konferencje i biznesowe prezentacje. Prężnie rozwija się jego strona społecznośćowa oraz zastosowania terapeutyczne i medyczne. VR jest także wykorzystywany do profesjonalnych szkoleń – pozwala bezpiecznie przećwiczyć zachowania w sytuacjach niebezpiecznych lub trudnych do zaaranżowania w celach treningowych, np. w trakcie pożaru czy awarii samolotu. VR-owe symulacje stosuje NASA w szkoleniach kosmonautów.

Korzyści z VR w szkole mogą być ogromne. Nie chodzi tylko o to, że możemy dać uczniom cyfrową wersję każdego miejsca na Ziemi i dalej, ale o potencjał samej immersji, grywalizacji i zaangażowania ciała w przyswajanie wiedzy. Dzisiaj już wiemy, że szkolna ławka nie sprzyja koncentracji. Kilka go-



Kilka godzin dziennie, w tych samych czterech ścianach, w tej samej pozycji – nic dziwnego, że tak niewiele zostaje w głowach ze szkolnych lekcji, myślami byliśmy gdzie indziej. Wirtualne światy rozwiązują problem z utrzymaniem uwagi, a zaangażowanie ciała sprzyja mechanizmom zapamiętywania i kreatywności

dzin dziennie, w tych samych czterech ścianach, w tej samej pozycji – nic dziwnego, że tak niewiele zostaje w naszych głowach ze szkolnych lekcji, myślami przeważnie byliśmy gdzie indziej. Wykorzystanie immersji i różnorodności wirtualnych światów rozwiązuje problem z utrzymaniem uwagi, a zaangażowanie ciała sprzyja mechanizmom zapamiętywania i kreatywności.

Zastosowanie technologii immersyjnych mogłoby także zrewolucjonizować zdalny i hybrydowy system uczenia. Przeniesienie się prosto z domu do wirtualnej sali to tylko jedna z możliwości. Inną jest zastosowanie rzeczywistości rozszerzonej (AR) lub mieszanej (MR), pozwalającej na połączenie elementów świata cyfrowego i fizycznego. Nie musimy odcinać się od fizycznego otoczenia, możemy je cyfrowo wzbogacić, np. holograficznymi modelami. Możliwe są już rozwiązania pozwalające części uczestników spotkania czy lekcji uczestniczyć fizycznie, a części w postaci holograficznego awatara.

Zaawansowany sprzęt MR jest kosztowny, ale może się to szybko zmienić. Tak było z VR, który z dnia na dzień stał się dostępny dzięki wprowadzeniu na rynek gogli Oculus Quest, kosztujących ułamek ceny wcześniejszych zestawów.

Coraz szerszą dostępność technologii immersyjnych w dużej mierze zawdzięczamy jednej firmie. Jesienią 2021 r.

Mark Zuckerberg zapowiedział wprowadzenie metaverse, czemu towarzyszyło przemianowanie firmy Facebook na Meta. Taki rebranding dobitnie wskazuje, że sprawa jest poważna.

Projekt przygotowano od lat. Jego zapowiedź poprzedził szereg bizneso-

wych kroków; najważniejszym było wykupienie firmy Oculus i drastyczne obniżenie cen sprzętu VR. Drugim był rozwój społecznościowych zastosowań rzeczywistości wirtualnej oraz połączenie konta Oculus z kontami facebookowymi użytkowników, co wskazało kierunek, w który zmierza firma: chodzi o integrację wszystkich jej produktów. Facebook ma być czymś znacznie więcej niż „wallem”. Ma być lustrzanym światem, w który wnikamy w naszych cyberciałach: przestrzenią spotkań, rozrywki, pracy, edukacji, a także – last but not least – zakupów. Za działaniami Meta stoi założenie, że już za moment wirtualna rzeczywistość stanie się drugim domem nas wszystkich, tak jak jakiś czas temu stały się nim portale społecznościowe. Zmonopolizowanie tej przestrzeni to łakomy kąsek.

Lęk, że rzeczywistość sztucznie kreowana stanie się fałszywym życiem nieodróżnialnym od prawdziwego, towarzyszy nam od dekad. Te same wątpliwości towarzyszyły wynalazieniu telewizji, popularyzacji internetu, komputerowych gier i mediów społecznościowych. Lęki te okazały się zasadne tylko częściowo. Doświadczenia lockdownów pokazały, że wcale nie

tak łatwo zrezygnować nam z kontaktu z przyrodą, spotkań w kawiarniach, z tzw. realu.

Niebezpieczeństwo wirtualizacji rzeczywistości tkwi w czymś innym: w starym jak świat splocie władzy i wiedzy, którego moc podkreślał Michel Foucault. Ten, kto ma kontrolę nad wiedzą – mówi francuski filozof – ma władzę. I odwrotnie: władza daje moc kształtowania wiedzy. Narzędzia, jakich użyjemy do przekazywania wiedzy, nie są niebezpieczne same w sobie – mogą być najwyżej nieskuteczne. Problem w tym, kto sprawuje nad nimi kontrolę.

Możemy skorzystać z tego narzędzia, wykorzystać je do budowania szkoły atrakcyjnej dla uczniów i nauczycieli, próbować nowych ścieżek. Alternatywą jest ułamek kom i pozostawić nowe narzędzia do dyspozycji technokratów.

Po naszej dalekiej podróży wracamy do szkolnej ławki, zeszytów i prac domowych. Ktoś mógłby zapytać – a po co ona była, skoro to wszystko jest wciąż odległe albo wydarza się w nielicznych miejscach. Jednak wykreowane obrazy naszej przyszłości i buzuujące w głowach nowe idee pozwalają nam inaczej popatrzeć na teraźniejszość – a więc zmieniać własne myślenie, szukać nowych rozwiązań, dzielić się ideą. Małe zmiany, proces zamiast rewolucji. ●

***Edyta Sadowska** – naukowczyni, futurolożka, doktor nauk społecznych, związana z Instytutem Nauk o Bezpieczeństwie Uniwersytetu Pedagogicznego w Krakowie

CZUŁE SŁÓWKA

Polska Polska

Obudowa pomalowana jest wprawdzie na biało-czerwono, ale stoi na niebieskim postumencie, co powoduje, że cała konstrukcja symbolicznie odwołuje się do flagi Federacji Rosyjskiej.

Michał Rusinek*



Kilka lat temu na drzwiach kościoła św. Krzyża przy Krakowskim Przedmieściu pojawił się napis: „TU JEST POLSKA”. Ktoś jednak uznał, że to za mało, i dopisał jeszcze raz: „POLSKA”. Widniał tam więc napis: „TU JEST POLSKA POLSKA”.

Ponieważ napisano to zdanie wielkimi literami, można je było rozumieć dwojako. Po pierwsze, jako informację, że tu znajduje się „polska Polska”, w przeciwieństwie do Polski niepolskiej, która znajduje się gdzie indziej. Po drugie, w niektórych językach (niepolskich) powtórzenie jakiegoś słowa może oznaczać wzmocnienie jego znaczenia. Kiedyś, będąc w Indiach, zapytałem kelnera, czy wybrane przeze mnie danie będzie ostre, czyli po angielsku „hot”. Pokręcił głową i powiedział, że nie będzie „hot”, tylko „hot hot”. Zgodnie z tą logiką Polska Polska jest Polską w większym stopniu niż zwyczajna Polska.

Przypomniał mi się ten napis, gdy zobaczyłem zdjęcia patriotycznych ławek rozmieszczonych za sprawą Banku Gospodarstwa Krajowego przy inwestycjach, które ten bank wsparł. Ławki te, zwane w oświadczeniu banku instalacjami, „zostały ustawione pilotażowo”. I moim zdaniem właśnie na nich powinien znaleźć się napis: „TU JEST POLSKA POLSKA”.

Są one wykonane ze sklejki (podstawowe go materiału w rodzimym przemyśle meblarskim), a ich obudowa ma kształt obrysu ojczyzny naszej, na szczęście dość schematycznego. Na szczęście dla rzemieślników (sklejka, jak wiadomo, nie daje się wyginać, a granice mamy dość pofalowane), ale i dla tych, którzy zdecydują się usiąść na umieszczonej pod nią ławce (np. przez realistycznie oddany przekop Mierzei Wiślanej mógłby w czasie niepogody kapać deszcz).

Obudowa pomalowana jest wprawdzie na biało-czerwono, ale stoi na niebieskim postumencie, co powoduje, że cała konstrukcja symbolicznie odwołuje się do flagi Federacji Rosyjskiej. Z pewnością się nie o to jednak chodziło. Kolor niebieski to także kolor flagi Unii Europejskiej. Gdy przyjmiemy taką perspektywę symboliczną, Polska (lub raczej: Polska Polska) jawi się nam albo jako narośl na unijnej tkance albo jako twór, który z niej pączkuje lub po prostu ma zamiar się od niej oderwać i ulecieć w nieznane. W świetle polityki zagranicznej naszego rządu takie przedstawienie ma głęboki sens.

Każda ławka wyposażona jest w „regulamin użytkowania”. Składa się z 15 punktów. Czytamy w nim: „»Ławka« to instalacja przeznaczona do rekreacji i wypoczynku, składająca się z siedziska, stelażu w kształcie konturów Polski, wraz z podestem, schodami i postumentem zabezpieczonym łańcuchem”. Jeśli z początku niepokoił nas ów łańcuch i jego symboliczne konotacje, to porzućmy niepokój: łańcuch jest dla naszego bezpieczeństwa. Nie ogranicza naszej wolności, lecz wyznacza sferę, w której możemy się czuć bezpiecznie, czyli Polskę Polskę. Czytajmy dalej: „osoby, które chcą skorzystać z ławki, zo-

bowiązane są do zapoznania się z niniejszym Regulaminem i jego przestrzegania”. Pomyślowcy wykluczają w ten sposób analfabetów i słusznie: takie osoby nie powinny dostępować zaszczytu użytkowania patriotycznej instalacji. Nie wolno tam wchodzić zwierzętom, bo element animalny kałalby patriotyczny charakter miejsca. „Na ławce mogą przebywać maksymalnie trzy osoby” – czyli typowa polska rodzina: małżeństwo z dzieckiem. Choć wyobraźnia nas ponosi, nie dopuszczamy jednak myśli o innych grupach użytkowników i ich konfiguracjach. Niepokoi nas tylko czasownik „przebywać”, bo na zwykłych ławkach się po prostu siedzi, tu jednak – przypomnijmy – chodzi o instalację, w dodatku patriotyczną, w której zapewne godzi się wyłącznie „przebywać”, a nie banalnie „być”.

Kolejny punkt owo „przebywanie” określa: „Z ławki należy korzystać wyłącznie w pozycji siedzącej, trzymając się poręczy (stanowiących umocowanie ławki)”. Nie wchodzi więc w grę leżenie (a szkoda, poleżałbym) ani stanie przy ławce (stojąc – widziałbym dalej, ale to widocznie niewskazane). Nakaz trzymania się poręczy sugeruje, że pomysłodawca brał pod uwagę ewentualność uniesienia patriotycznego osób przebywających w instalacji lub – a jednak! – odezwania się jej od niebieskiego podłoża. Poszkodowana może czuć się osoba siedząca pośrodku, nie ma bowiem szans trzymać się poręczy i może spaść z ławki w czasie turbulencji. Ale, jak powszechnie wiadomo, jakieś ofiary muszą być.

Najgroźniej przedstawia się punkt siódmy regulaminu, składa się bowiem z samych zakazów: stania na ławce (słusznie, bo można się rąbnąć w głowę), zeskakiwania z ławki (nie wyobrażam sobie, żeby ktokolwiek miał taki zamiar, poczuwszy, jak błogo jest w Polsce Polsce), używania urządzeń nagłaśniających (powinnością co najwyżej nucić sobie – solo, w duetach lub najwyżej tercetach – pieśni patriotyczne, unplugged), korzystania z materiałów pirotechnicznych (od fajerwerków, które tak lubimy, może się zacząć sklejka – i katastrofa gotowa), zaśmiecania i zanieczyszczania najbliższego otoczenia (można za to, jak rozumiem, zanieczyszczać otoczenie dalsze, co także może mieć wymiar patriotyczny i symboliczny).

„Na ławce i w jej bezpośredniej przestrzeni obowiązuje bezwzględny zakaz spożywania napojów alkoholowych, środków psychotropowych i odurzających, palenia tytoniu, papierosów elektronicznych oraz używania otwartego ognia” – czytamy dalej. Określenie „bezpśrednia przestrzeń” jest dość nowatorskie, nie tylko w regulaminach, ale mniejsza o to. Ważne, że przed wejściem – po schodach – na ławkę nie sprawdza się poziomu alkoholu we krwi, i ważne, że rzezczone schody wyposażone są w poręcze.

Nadchodzi punkt, w którym czytamy: „Osoby oczekujące na skorzystanie z ławki powinny znajdować się poza obrębem całej instalacji w odległości 1,5 metra”. Pomyślowcy zakładają więc, że przed ławkami będą ustawiać się kolejki oczekujących, polskie rodziny 2+1, łaknące rekreacji i wypoczynku, a nade wszystko patriotycznego uniesienia, by z wysokości podestu, z przestrzeni niezwyklej Polski Polski, zza łańcuchów, patrzeć z wyższością na Polskę zwykłą.

Na uwagę zasługuje nagłówek całości tekstu. Brzmi on: „Regulamin użytkowania ławki »z polską flagą« wraz z instrukcją użytkowania”. Na szczególną uwagę zasługuje cudzośłów, który służy w języku polskim do wyodrębniania cytatów, pseudonimów lub ironii. Nie mamy tu raczej do czynienia z pseudonimem; jeśli jest to cytat, to nie umiem go zlokalizować: pozostaje zatem ironia. Wszystko wskazuje na to, że wyłącznie niezamierzona. ●

***Michał Rusinek** – wykłada (literaturoznawstwo na UJ), przekłada (książki), układa (wierszyki, piosenki, felietony). Był sekretarzem Wystawy Szyborskiej, dziś prowadzi fundację jej imienia. Feminista

Pora złożyć Mickiewicza w mauzoleum

Skreślam z listy lektur „Ballady i romanse”, wpisuję „Stranger Things”.

Marcin Matczak*



– Babciu, widziałaś gdzieś mój powerbank?
– Chyba leży w sieni!
– A co to jest sień?
– A co to jest powerbank?

Ten międzypokoleniowy dialog z internetowego memu umknął zapewnezydentowi, gdy wybierał lekturę do Narodowego Czytania. W tym roku padło na „Ballady i romanse” Mickiewicza, które mają się tak do energetyzowania młodych głów jak sień do powerbanka.

Nie zbulwersuje ich dziewiętnastowieczna „Patointeligencja” („Jedzą, piją, lulki palą/ Tańce, hulanka, swawola”). Początku „Rybk” nie odbiorą jako wnikliwej analizy kryzysu psychicznego („Od dworu, spod lasa, z wioski/ Smutna wybiega dziewczka, Rozpuściła na wiatr włoski/ I łzami skropiła lica”)

Nie chcę wracać do dyskusji na temat kanonu lektur. Zamiast pytać, co młodzież powinna czytać, chcę zadać pytanie bardziej pierwotne: po co czytać? Po co interpretować?

Hans-Georg Gadamer pisał, że każda interpretacja jest jak interpretacja prawnicza. Bo prawnicy zawsze interpretują tekst, aby go zastosować: przepis o zabójstwie stosują do sytuacji, w której ktoś kogoś zabił. Nie ma w prawie interpretacji abstrakcyjnej – nawet gdy prawnicy interpretują w celach ćwiczeniowych, mają przed oczami jakiś fantomowy stan faktyczny.

Interpretacja to zawsze aplikacja. Do czego jednak zaaplikować tekst literacki? Paul Ricoeur odpowiada: do swojej sytuacji życiowej. Zrozumieć, znaczy uczynić swoim – zobaczyć swoje życie w innym świetle, zrozumieć lepiej swoje motywacje i problemy. Aby to się udało, musi jednak istnieć jakiś punkt styczny pomiędzy horyzontami autora i interpretatora. Jakkolwiek wielki byłby nasz szacunek do wieszczki Adama, tego punktu w jego relacji z młodym pokoleniem już nie ma. Dlatego czas złożyć Mickiewicza w mauzoleum. Nie spełni się nadzieja prezydenta – „Ballady i romanse” nie wypromują postawy romantycznej. Zdeprymują. Nie zwiększą gotowości do poświęcenia, ale skłonność do zniechęcenia. Nie dlatego, że dawne dzieła nie są wartościowe (są). Nie dlatego, że młodzież nie czyta (czyta). Jednak czytanie tekstu, który stracił kontakt z naszą rzeczywistością, nie ma sensu, bo nie da się go uczynić swoim. ●

W roku 1999 badacze spytali młodzież o stosunek do lektur. Ci, których badano, są dzisiaj przed czterdziestką, a uznawali, że dzieła romantyków nie wnoszą niczego do ich życia już wtedy, gdy internetowe uniwersum było w powijkach, a w grze komputerowej „FFA” występowała Amica Wronki. Od tego czasu atrakcyjność świata wirtualnego osiągnęła niebotyczne wyżyny. Rozziew między doświadczeniem po-

zaszkolnym i szkolnym zamienił się w przepaść kosmicznych rozmiarów.

Ale przecież gry komputerowe i serie to kultura podłego wzrostu. Tymczasem panuje przekonanie, że uczyć trzeba kultury wysokiej, która niejako z natury musi być odległa i niezrozumiała. To podobna myśl, która przyświecała pewnym rodzicom wypisującym dziecko z zajęć angielskiego, bo było w ich czasie za dużo zabawy. „A dziecko ma się uczyć, nie bawić” – grzmieli. Nie rozumieli, że zabawa jest nauką najbardziej skuteczną, bo naturalnie odnosi treści, które dziecko ma poznać, do realnych sytuacji. Pewnie nie miałoby problemu, gdyby angielskiego uczono jak kiedyś łaciny – gdyby mały kuł na blachę odmiany i dostawał kijem po łapach w przypadku błędu. Bo nauka to musi być ból, czyż nie?

Są dzieła dawne i wielkie, które da się uczynić swoimi. Zakazaną miłość Romea i Julii dało się przenieść do świata wielkomijskich gangów w popularnym filmie. Historie bohaterów, którzy przebywają drogę przemiany, da się zastosować do każdego życia. Jednak wciąż włosy stają nam dęba, gdy ktoś proponuje, aby uczyć takich historii na podstawie nie „Konrada Wallenroda”, ale netflixowego serialu „Stranger Things”.

Rozgrywa się on w latach 80., a wzbudza na całym świecie wielkie emocje. Bo jest w nim uniwersalna historia walki dobra ze złem. Mesjanistyczna bohaterka, która ma zbawić świat. Jungowska wizja zbiorowej podświadomości (Upside Down), z której wychodzą na świat nasze brudy. Można by uczyć na podstawie „Stranger Things” przysposobienia do życia w rodzinie. Tu wszystkie dzieci, które tracają się w świecie zła, są skrzywdzone przez niedojrzałych ojców, to tam wsparcie przyjaciół daje siłę wyrwania się z ciemności, tam kobiety okazują się silniejsze od facetów, a prawdziwi faceci uczą się wyrażać emocje. ●

Pozwalamy dzieciom znienawidzić naukę, zanim zdążą ją pokochać. Zamiast pielęgnować naturalną chęć czynienia obcego swoim, przymuszamy do czytania, które nie może dać zrozumienia. Filolożka Bożena Chrzastowska pisała: „Rezygnacja z przymusu [czytania lektur] w szkole jest zaczątkiem katastrofy: grozi dehumanizacją kultury. Jak powiedział jeden ze studentów: jest to bomba z opóźnionym zapłonem – rozsadzi dzieła Mickiewicza i Miłosza”. Przymuszanie do czytania czegoś, czego nie da się zrozumieć, grozi za to dehumanizacją młodego człowieka. Jak ma zrozumieć tekst, który jest jak sień? Jak ma go odnieść do swojego świata? Jak ma go on zachwycić, skoro nie zachwyca? ●

Na to wszystko wchodzi minister Czarnek i mówi: „Jak ty chcesz zostać inżynierem bez podstawowej wiedzy o kardynale Wyszyńskim?”. Cała nadzieja w nauczycielach, którzy wykorzystają ciekawość uczniów, zawsze obecną, gdy tekst kultury rozjaśnia ich świat. Potrzebujemy ich odwagi, by zamiast kunktatorstwa prezydenta proponującego „Ballady”, nie bali się uczyć przez popkulturę. Ona rezonuje z młodymi sercami i umysłami. I wcale nie musi być niska, czego ktoś, kto nie jest snobem, z pewnością może doświadczyć. ●

***Marcin Matczak** – ur. w 1976 r., specjalista od teorii i filozofii prawa, profesor UW

N A S Z A E U R O P A

W niedzielę Szwedzi wybierają parlament

KTO BĘDZIE WPROWADZAŁ
SZWECJĘ DO NATO?

• Grupa imigrantów w Göteborgu. Wzrost przestępczości i fiasko integracji przybyszów - to temat, który zdominował kampanię, a nie rezygnacja z dogmatu o neutralności kraju

FOT. SERGIO AZENHA / ALAMY STOCK PHOTO

„Witamy w pociągu repatriacyjnym. Macie bilet w jedną stronę. Następny przystanek: Kabul”, wypalił na Twitterze rzecznik nacjonalistycznych Szwedzkich Demokratów. Za takie słowa kiedyś wyleciałby z polityki z hukiem. Dziś wielu mu przyklaskuje. A nacjonaści są drudzy w sondażach.

Maciej Czarnecki

W Örebro, niespełna 130-tysięcznym mieście położonym na brzegu malowniczego jeziora Hjälmaren w środkowej Szwecji, w ciągu ośmiu majowych dni zastrzelonych zostało trzech młodych mężczyzn. Morderstwa wyglądają na egzekucje. Policja ogłasza, że prawdopodobnie mają związek z wojną gangów, ale nikt nie aresztuje.

Dramat rozgrywa się w dzielnicy niskich, murowanych domów, do której sprowadzono wielu syryjskich chrześcijan. To jeden z 61 obszarów w kraju, które według policji są zagrożone przemocą gangów. Splatają się w nich i wzajemnie napędzają rozmaite problemy: wysokie wskaźniki przestępstw, bezrobocie, niski poziom nauczania, wyobcowanie od reszty społeczeństwa społeczności imigrantów.

– Żyłam w różnych dzielnicach Örebro i dawniej kochałam tę obecną, ale teraz myślę, że może będę musiała się stąd wyprowadzić – mówi Reutersowi emerytka Asa Ahlgren.

26 sierpnia w blisko 100-tysięcznej Eskilstunie nieopodal Sztokholmu ranne zostają matka i pięcioletnie dziecko. Znajdowały się na placu zabaw, kiedy wybuchła strzelanina.

– To atak na całe nasze społeczeństwo. I społeczeństwo musi się bronić – mówi z marsową miną socjaldemokratyczna premier Szwecji Magdalena Andersson, która przyjechała na miejsce w szczycie kampanii wyborczej.

Z dziennikarzami spotyka się też na placu zabaw Jimmie Åkesson, przywódca nacjonalistycznych Szwedzkich Demokratów (SD).

– Socjaldemokraci rządzą od ośmiu lat. Obiecywali przykręcić gangom śrubę, ale jest coraz gorzej – przekonuje.

NIE WOJNA, NIE NATO, NIE CENY ENERGII, TYLKO PRZESTĘPCZOŚĆ TEMATEM NR 1 W KAMPANII

Przed zaplanowanymi na niedzielę 11 września wyborami do Riksdagu, czyli jednoizbowego parlamentu Szwecji, właśnie przestępczość jest tematem numer jeden. Według badania Instytutu SOM Uniwersytetu w Göteborgu najbardziej niepokoi ponad 40 proc. wyborców.

Recepta socjaldemokratów: zatrudnić więcej policjantów, rozszerzyć dozór elektroniczny nad przestępcami, wlepić twardsze kary za strzelaniny i posiadanie broni, naprawić błędy w integracji imigrantów.

Szwedzcy Demokraci odpowiadają: to nie wystarczy. Ich rzecznik Tobias Andersson zatweetował niedawno, dołączając

zdjęcie wagonu kolejowego w partyjnych barwach: „Witamy w pociągu repatriacyjnym. Macie bilet w jedną stronę. Następny przystanek: Kabul”.

Jeszcze dekadę temu zostaliby w Szwecji odsądzeni od czci i wiary. Teraz też wywołał burzę, bo po przejściu Afganistanu przez talibów wielu odsyłanych uciekinierów znalazłoby się w niebezpieczeństwie. Ale jego ugrupowanie ma w ostatnich sondażach 20 proc. i wysforowało się na drugie miejsce za socjaldemokratami (29 proc.). Najwyraźniej dla części społeczeństwa ich retoryka jest w porządku.

PROSTO ZE ŚRODOWISKA NEONAZISTOWSKIEGO

Szwedzcy Demokraci (SD) wyłonili się pod koniec lat 80. ze środowisk neonazistowskich. Z czasem, pod nowym przywództwem młodego Åkessona, odcięli się od największych ekstremistów, ale nadal głoszą nacjonalistyczne i antyimigranckie hasła. Odkąd w 2010 r. weszli do Riksdagu, w kolejnych wyborach dostają coraz więcej głosów (w 2018 r. – 17,5 proc.). Mainstreamowe partie stanowczo wykluczały koalicję z nimi.

Ale już nie. Przynajmniej część centroprawicy wydaje się otwarta na współzrządzenie z SD, jeśli umożliwiłoby to odsunięcie od władzy Andersson i spółki.

– Formalna koalicja jest zapewne nadal nieco mniej prawdopodobna, przede wszystkim z uwagi na obiekcje ze stro-

ny Liberalów. Nawet Moderaci [Moderata samlingspartiet, największa partia centroprawicy] mogą mieć trochę wątpliwości. Ale w przypadku SD już wiele razy mówiono: „nigdy na to nie pozwolimy”, a potem było różnie... – mówi Jonas Hinnfors, politolog z Uniwersytetu w Göteborgu.

Nicholas Aylott, politolog z Uniwersytetu Södertörn w Sztokholmie: – Jeszcze niedawno powiedziałbym, że to niemożliwe. Wszyscy, i to łącznie ze Szwedzkimi Demokratami, akceptowali, że nie będą oni częścią rządu, nawet jeśli nieformalnie by go wspierali. Ale fakt, że wyprzedzili w sondażach Moderatów, a więc mogą być największym ugrupowaniem na prawicy, zmienia kalkulacje. Gdyby prawicowy blok wygrał, byłoby ciężko pozostawić ich poza rządem. Choć to wciąż możliwe.

W ostatnich sondażach bloki ugrupowań lewicowych i prawicowych idą łeb w łeb. Możliwy jest każdy scenariusz.

SZWECJA MA PROBLEMY Z GANGAMI OD LAT. CO SIĘ ZMIENIŁO?

Mattias Forssten, szef policji w Örebro, mówi Reutersowi, że grupy przestępcze w mieście, które rywalizują o rynek narkotykowy, rozbudowały się i działają brutalniej.

– Jeszcze dekadę temu kogoś pobili, potem zaczęli strzelać wrogiom w nogi. Teraz celują w głowę – opowiada.

NASZA EUROPA

Do niedawna wieści o strzelaninach napływały głównie z imigranckich przedmieść trzech dużych miast: Sztokholmu, Göteborga i Malmö. Tymczasem w tym roku ponad połowę zabójstw odnotowano w mniejszych miejscowościach. Przepęczność przelewa się do nich za sprawą kontaktów lokalnych półświatków z gangsterami w metropoliach.

W całym ubiegłym roku zastrzelono w Szwecji 46 osób. Tymczasem dotąd w 2022 r. już 44. A jest dopiero wrzesień.

Z drugiej strony kryminolodzy zastrzegają, że problem jest upolityczniony i – mimo indywidualnych tragedii – nie aż tak znowu dramatyczny. Generalnie bowiem przestępczość w kraju nie rośnie, a w przypadku niektórych przestępstw nawet spada.

Prof. Jerzy Sarnecki z Uniwersytetu w Sztokholmie wylicza, że np. liczba kradzieży maleje już od początku lat 90. Jest ich mniej więcej o połowę mniej niż wtedy. Mniejsza jest też przestępczość natury gwałtownej, z wyłączeniem wspomnianych porachunków w kręgach zorganizowanych grup kryminalnych.

Jeśli chodzi o zabójstwa generalnie, ich liczba w ostatniej dekadzie wzrosła, ale w przeliczeniu na 100 tys. mieszkańców i tak jest mniejsza niż pod koniec lat 80.

– Nie ma bezpośredniej korelacji między migracją a liczbą zabójstw, jak również inną przestępczością. To po prostu propaganda polityczna. W połowie lat 70. Szwecja miała 7 proc. osób urodzonych poza granicami kraju. Dziś – już 20 proc., a zabójstw jest mniej więcej tyle samo co wtedy – mówi Sarnecki.

Przytacza jeszcze jeden argument: inne kraje Europy Zachodniej, np. Niemcy, przyjęły podobne grupy imigrantów co Szwecja, a nie mają takich problemów z gangsterskimi strzelaninami. Gdyby wiązało się to z samą migracją, toby miały.

– Owszem, duży odsetek strzelających i zastrzelonych to migranci. Nie ci nowi, którzy przyjechali w dużej fali uciekinierów w 2015 r., tylko raczej dzieci migrantów albo osoby, które przyjechały do Szwecji jako dzieci. Widać, że mamy do czynienia ze specyficznym problemem, który powstał w Szwecji. Nie zadziałała integracja w stosunku do tej szczególnej grupy – uważa Sarnecki.

– Są w dużych miastach dzielnice, w których rozwinęła się subkultura przemocy, znana już z opisów kryminologii sprzed 100 lat z USA. Stworzyły ją grupy młodych ludzi pozostających bardzo mocno poza szwedzkim społeczeństwem, z rodzin niepracujących, bez możliwości dalszej nauki z uwagi na kiepskie wyniki z podstawówki. To niepokojące. Problem był już z rodzicami tych ludzi, którzy nie dostali pracy i znaleźli się w specjalnych dzielnicach – dodaje kryminolog.

FIASKO SZWEDZKIEJ INTEGRACJI?

W kwietniu rozwścieczeni młodzi ludzie z takich właśnie dzielnic wszczęli w szwedzkich miastach zamieszki, w których rannych zostało ponad 100 policjantów. Sprowokował je duńsko-szwedzki polityk Rasmus Paludan, paląc Koran na wiecu i zapowiadając kolejne takie akcje.

Premier Andersson oceniła wtedy, że Szwecji nie udało się zintegrować części imigrantów. Potępiła zarówno prawicowy ekstremizm, jak i islamizm.

– Segregacja doprowadziła do tego, że powstały paralelne społeczności. Żyjemy w tym samym kraju, ale w zupełnie różnych światach. Wobec dużej imigracji integracja działała za słabo. Za małe były środki na policję i politykę socjalną – powiedział premier.

Zabrzmiało to jak przyznanie, że model multikulturalizmu, otwartości i pomocy

potrzebującym, którym chlubiła się Szwecja, poniósł porażkę. Najludniejszy skandynawski kraj od dekad przyjmował uchodźców: z komunistycznej Polski, z Chile Augusta Pinocheta, z ogarniętych wojną Bałkanów, Iraku, Afganistanu, Syrii. Czyżby płacił za to cenę?

– Nie można mówić, że generalnie się nie udało. Bądź co bądź, pani Andersson ma w swoim rządzie dwóch cudzoziemskich ministrów – uważa Sarnecki (który sam przybył do Szwecji wraz z rodziną po wydarzeniach z marca 1968 r. w Polsce).

NACJONALIŚCI PRZESUWAJĄ DEBATĘ PUBLICZNĄ NA PRAWO

Gdyby nie imigranci, w Szwecji nie miałby kto opiekować się seniorami.

– W moim zespole są 22 osoby: Afgańczycy, Kurdowie, Tajlandczycy, Kubańczyk i Birmańczyk. Szwedów tylko czterech – opowiadał mi parę lat temu na Dalekiej Północy pielęgniarz Mustafa (zbierając materiały do książki „Skandynawia halal”, nagrałem na wiele takich historii).

Dlaczego zatem premier Andersson nie akcentuje w kampanii sukcesów integracji, tylko dostosowuje się do retoryki prawicy?

Hinnfors: – Główne partie polityczne przesunęły się w stronę Szwedzkich Demokratów, bo obawiają się, że tracą na ich rzecz swoich wyborców. Niekoniecznie jest to zwycięska strategia, bo w ten sposób pośrednio promują ich narrację obwiniania imigrantów za problemy w Szwecji, zwłaszcza przestępczość. Ten problem dotyczy zwłaszcza Moderatorów mających problemy z mówieniem o gospodarce i innych tematach, które zapewniły im sukces wyborczy w czasach Fredrika Reinfeldta w latach 2006 i 2010.

Sarnecki: – Taki jest w tej chwili dominujący publiczny dyskurs, że „mamy problemy z integracją”. Tymczasem jak spojrzeć szerzej, to okaże się, że odsetek cudzoziemców, którzy mają pracę w tym kraju, z roku na rok szybko rośnie. Elementem socjaldemokratycznej ideologii było wyjaśnianie przestępstw poprzez pozycję klasową. I z naszych badań rzeczywiście wynika, że o tym, czy ludzie popełniają poważne przestępstwa, czy nie, generalnie decyduje sytuacja życiowa: wykształcenie i dochody rodziców, klasa społeczna. Natomiast socjaldemokraci pani premier zdecydowali się na strategię, by dyskutować o problemie z punktu widzenia przynależności etnicznej. Rozgrywają ten mecz na boisku przeciwnika. Dlaczego? Bo populistycznym przeciwnikom udało się umieścić tam piłkę.

Aylott: – Jak to możliwe, że partia o tak ekstremistycznych korzeniach jak Szwedzcy Demokraci osiągnęła w naszym kraju poparcie rządu 20 proc.? Otóż częściowo jest tak dlatego, że przez lata oni jedyni domagali się zmniejszenia imigracji, twardziej polityki „prawa i porządku”. Byli jedynym ugrupowaniem, które mówiło o błędach integracji, a inne dopiero po latach zorientowały się, ile zostawiły im miejsca na scenie politycznej. Przyciągnęli przede wszystkim etnicznych Szwedów z klasy pracującej, czyli tradycyjnych wyborców socjaldemokratów. Dlatego ci ostatni musieli dostosować swoją retorykę – albo ponieść jeszcze większe straty.

GRY POLITYCZNE W CZASIE AKCESJI DO NATO

Na początku czerwca kwestie przestępczości nieomal zatopiły rząd Andersson. Prawica zgłosiła wotum nieufności wobec ministra sprawiedliwości Morgana Johanssona. Premier uznała, że to test dla całego gabinetu. Była gotowa zrezygnować, gdyby manewr się powiódł.

– Jesteśmy w bardzo delikatnym momencie z uwagi na starania o członkostwo w NATO. Nie czas na gry polityczne, to bardzo nieodpowiedzialne – utyskiwała.

Uratował ją głos niezależnej posłanki Amineh Kakabaveh, Szwedki irańsko-kurdyjskiego pochodzenia i byłej kurdyjskiej bojowniczk. W ten sposób kwestie krajowe spłotły się z międzynarodowymi. Sama posłanka przyznała bowiem w wywiadach, że naciskała na premier, by nie poddawała się żądaniom Turcji w sprawie Kurdów.

Ankara ma w ręku mocną kartę, bo tak jak pozostali członkowie NATO musi wyrazić zgodę na przyjęcie Szwedów (dotąd zrobiły to 24 z 30 krajów, w tym Polska). Zażądała m.in. ekstradycji osób oskarżanych przez nią o terroryzm, zaprzestania wsparcia Sztokholmu dla syryjskich Kurdów, ukrócenia działalności kurdyjskich organizacji w Szwecji, zniesienia embarga na dostawy broni do Turcji.

Rząd Andersson w odpowiedzi obiecał, że uwzględni tureckie interesy bezpieczeństwa w swojej polityce, a po akcesji do NATO nie będzie blokował eksportów. W sierpniu zgodził się przekazać Turkom męczyzną ściganego za oszustwa finansowe.

Jednak całkowicie ugiąć się nie może. Z liczącej ponad 100 tys. osób diaspory kurdyjskiej w Szwecji wywodzi się nie tylko Kakabaveh, ale też kilku innych polityków, a także wielu działaczy i ludzi kultury.

Znamienne, że po irackim Kurdystanie i republikach na Kaukazie najwięcej książek w kurmandżi, głównym kurdyjskim dialekcie, powstaje właśnie w Szwecji. A w Sztokholmie znajduje się jedna z największych kurdyjskich bibliotek na świecie.

Szwedzko-tureckie spory zostaną zapewne rozwiązane dopiero po wyborach.

Samo członkostwo w NATO popiera większość ugrupowań politycznych. Po rosyjskiej agresji na Ukrainę przekonali się do tego pomysłu zarówno socjaldemokraci, jak i Szwedzcy Demokraci.

– To niesamowite, że wniosek o wstąpienie do Sojuszu, który zmienia 200 lat szwedzkiej polityki bezpieczeństwa, przechodzi w tej kampanii niemal bez echa – mówi Aylott. – Spodziewałem się, że część socjaldemokratów będzie jednak wyrażać swoje wątpliwości, a dwa ugrupowania sprzeciwiające się akcesji – Lewica i Zieloni – podniesie ten temat. Ale tak się nie dzieje. Najwyraźniej samych wyborców nie obchodzi to aż tak bardzo, by politycy upatrywali w tym szansy na zdobycie głosów – dodaje politolog.

LIDER NACJONALISTÓW: CZY WOLĘ BIDENA OD PUTINA? TO ZALEŻY OD KONTEKSTU

Szwedzcy Demokraci, jak wiele skrajnie prawicowych partii w Europie, są czasem oskarżani o sprzyjanie Władimirowi Putinowi.

– W naszej ocenie są ugrupowaniem, które pokazało, że nie można mu ufać, jeśli chodzi o politykę zagraniczną i bezpieczeństwa narodowego – powiedział 2 września na konferencji prasowej minister obrony Szwecji Peter Hultqvist.

Jeszcze tydzień przed inwazją lider SD Åkesson zapytany przez publiczną telewizję SVT, czy woli prezydenta USA Joe Bidena, czy też Putina, odparł, że „to zależy od kontekstu”. W ostatnich dniach przekonywał jednak, że stosunek jego partii do Kremla jest jasny.

– Już 12 lat temu, kiedy weszliśmy do parlamentu, mówiliśmy, że musimy wzmocnić nasze siły zbrojne, bo Putin robi się coraz bardziej agresywny, a to inne partie odpowiadały, że to niekonieczne. Dziś Rosja to dyktatura pełną gębą, która w dodatku popelnia zbrodnie przeciwko

prawu międzynarodowemu i swoim sąsiadom – powiedział Åkesson.

– Od mniej więcej 2005 r. Szwedzcy Demokraci przesuwają się w kierunku mainstreamowej polityki. Sprzeciwiali się członkostwu w UE, ale zrezygnowali z tego. Sprzeciwiali się NATO – teraz też odpuścili. Niektórzy wyrażali się z pewną sympatią czy uznaniem dla rosyjskiego reżimu, ale tego też już nie ma. Po prostu kierownictwo partii uznało, że to by przekreślało możliwość współpracy z centroprawicą – tłumaczy Aylott.

Krytycy twierdzą jednak, że piętrzenie przez partię podziałów w społeczeństwie, jej związki z pravicowymi populistami w Europie i neonazistowskie korzenie stawiają deklaracje Åkessona pod znakiem zapytania.

– SD to z całą pewnością skrajna prawica. Nie w tradycyjnej klasyfikacji, uwzględniającej poglądy na podatki i poziom wydatków, bo w niej sytuują się bardziej w centrum, lecz z uwagi na tendencje autorytarne i nacjonalistyczne. Według mnie jej najbliższym kuzynem jest Alternatywa dla Niemiec – ocenia Hinnsfors.

Minister Hultqvist zwrócił uwagę na dziwny incydent z 1 września, kiedy jeden z polityków SD rozesłał do partyjnych kolegów zaproszenie na „uczczenie” 83. rocznicy napaści hitlerowskich Niemiec na Polskę. Władze partii tłumaczyły potem, że chodziło o... uhonorowanie Polaków.

RECEPTA NA KRYZYS ENERGETYCZNY? WIĘCEJ ELEKTROWNI JĄDROWYCH

Rosyjska agresja na Ukrainę wpływa też na kampanię wyborczą w Szwecji w inny sposób: tak jak w innych krajach napędziła drożyznę, a co za tym idzie, także lawinę pomysłów, jak ulżyć obywatelom.

W porównaniu z Polakami Szwedzi są w nie najgorszej sytuacji: ich kraj jest bogatszy, opiera swoją energetykę głównie na elektrowniach wodnych, wiatrowych i nuklearnych, boryka się z mniejszą inflacją (8 proc.).

Ale ta ostatnia i tak jest najwyższa od 30 lat, rachunki za prąd rosną, podobnie jak raty kredytów, bo bank centralny w tym roku już dwukrotnie podniósł stopy procentowe i wiele wskazuje na to, że będzie robił to dalej. Do tego dochodzi wolniejszy niż w Polsce wzrost PKB (rząd prognozuje 2,3 proc. w tym i 0,4 proc. w przyszłym roku).

W odpowiedzi socjaldemokraci obiecują 90 mld koron dopłat do rachunków za energię dla gospodarstw domowych i firm. Zaś centroprawica – obniżki podatków dochodowych, a długofalowo budowę nowych elektrowni nuklearnych.

– Pakiety ratunkowe wobec kryzysu na rynku cen energii proponują wszystkie partie, a rząd uruchomił kilka dużych programów wsparcia. Wyborcy mogą się w tym pogubić. Premier Magdalena Andersson cieszy się jednak wysokim poziomem zaufania, więc być może trudne czasy będą jej sprzyjać – przewiduje Hinnsfors.

Opozycja nie zasypia gruszek w popiele. Jak opisuje korespondentka „Le Monde”, niecałe trzy tygodnie temu ze Sztokholmu wyruszył oklejony hasłami „Nowa energia dla Szwecji” niebieski autobus. Podróżujący nim centroprawicowi politycy zapragnęli odwiedzić wszystkie trzy działające elektrownie nuklearne w kraju i pokazać swoją determinację na rzecz rozbudowy tego sektora.

Towarzyszył im odpowiedzialny za kwestie energetyczne poseł Szwedzkich Demokratów Mattias Bäckström – to kolejny sygnał, że jeśli Andersson i spółka przegrają wybory, Szwecją po raz pierwszy w historii mogą współrządzić nacjonaliści. ●

Adam Michnik poleca **Ukraina łączy i dzieli Europę**

UKRAINA W UNII?

A co z Mołdawią i Gruzją?
Z krajami bałkańskimi?

Jacques Rupnik*

Iermin „Zeitenwende”, „epokowy przełom”, który upowszechnił się w Niemczech po inwazji Rosji na Ukrainę, jest oczywiście echem „die Wende”, określenia pokojowej rewolucji 1989 r., która obaliła mur i odtworzyła demokratyczną jedność Europy. Wtedy demokratycznym przemianom towarzyszył rozpad radzieckiego imperium. Dziś Ukrainę atakuje dyktatura szykująca imperialną rekonkwistę. Po 24 lutego Europa dała pokaz jedności. Potępiła agresora, oferuje uchodźcom pomoc humanitarną, dostarcza Ukrainie broń i nałożyła na Rosję bezprecedensowe sankcje. Jednak po trzech miesiącach wojny jedność UE zaczęła pękać. Pojawiły się podziały między Wschodem i Zachodem wokół zasadniczych kwestii: przyczyny konfliktu, czyli Rosji, jego wyniku i szans na zaoferowane Ukrainie członkostwo.

Zuwagi na historię i bliskość geograficzną kraje Europy Środkowej łączą głęboka nieufność wobec polityki Rosji w części świata, którą od lat 90. zwano w Moskwie „bliską zagranicą”, a pod rządami Putina „russkim miem”. To kraje, które doświadczyły komunistycznych rządów i prawie 50 lat obecności wojsk radzieckich. Ma to kluczowe znaczenie dla zrozumienia różnic w postrzeganiu poradzieckiej Rosji między nimi a ich zachodnimi partnerami. Obecny konflikt odczytują, tak jak prezydent Zelenski, jako konfrontację „dwóch różnych światów” przeciwstawnych pod względem wartości, od wolności poczynając. Jak mówi Zelenski, „decyduje to o tym, kto należy do Europy”. Wokół kwestii wartości i Rosji jako odrębnego od Europy podmiotu organizuje się środkowoeuropejski dyskurs o przyczynach i stawce wojny w Ukrainie.

Powraca tu wątek przewodni intelektualnych debat lat 80. wokół ponownego odkrycia Europy Środkowej, którą Milan Kundera nazwał „Zachodem porwanym” przez „inną cywilizację”, komunistyczną Rosję. Prezydent Frank-Walter Steinmeier mówił o „cywilizacyjnym pęknięciu”, mając na myśli hitlerowskie Niemcy. W Europie Środkowej termin ten powraca w kontekście Rosji Putina. Wojna ujawnia podwójny konflikt – między demokracją a autokracją i między Rosją a Europą.

We Francji, Niemczech i Włoszech postawę Rosji tłumaczy się czasem już to jej „upokorzeniem”, już to kompleksem obłożonej twierdzy, podsycanym przez rozszerzenie NATO na wschód. Rosja – słyszymy – jest mocarstwem, z którym musimy budować europejską architekturę bezpieczeństwa, bo w interesie Europy nie leży wprowadzenie Rosji do roli „młodszego partnera”, a nawet wasala Chin w zimnej wojnie z Zachodem.

Rosja z perspektywy środkowoeuropejskiej to groźne, rewanżystowskie mocarstwo, które burzy stworzony po 1989 r. europejski ład. Stąd różnica priorytetów w kwestii przebiegu i możliwego wyniku wojny. Przywódcy Francji, Niemiec i Włoch wola uniknąć długiego konfliktu i jego skutków gospodarczych. Chcieliby zakończyć go, zachęcając Ukraińców do zaakceptowania powrotu do stanu sprzed 24 lutego.



• Demonstracja na rzecz Ukrainy. Bruksela, 23 czerwca 2022 r., trwa właśnie szczyt Unii. FOT. OLIVIER MATTHYS/AP

Europa Środkowa nie jest oczywiście monolitem, dość wspomnieć Węgry, które po latach partnerstwa z Polską wokół hasła suwerenności i „nieliberalnej demokracji” poróżniły Grupę Wyszehradzką na tle relacji z Rosją Putina. Orbán wygrał kwietniowe wybory, deklarując wyrozumiałość wobec Rosji, która zapewnia dostawy taniej energii, i obiecując, że nie wciągnie kraju w wojnę, która „nie jest nasza”.

Wobec fiaska planów blitzkriego i miernych wyników armii rosyjskiej celem stało się wyparcie najeźdźców z Ukrainy i powrót w miarę możliwości do sytuacji sprzed 2014 r. i aneksji Krymu.

Wizja klęski Rosji jako punktu wyjścia przyszłych relacji dominuje zwłaszcza w Polsce i krajach bałtyckich. Byli minister finansów Słowacji i późniejszy doradca prezydenta Poroszenki Ivan Mikloš stwierdził, że „wszystko inne niż powrót do granic z 2014 r.” byłoby „niebezpiecznym kompromisem”, źródłem nowych napięć.

Ukraina nie kontroluje części swego terytorium, a kondycja jej gospodarki i praworządności daleka jest od standardów UE. I tu zaczynają się trudności na jej drodze do Unii

Kraje te liczą na NATO i wzmocnienie obecności wojskowej USA na ich terenie jako jedyną liczącą się gwarancję bezpieczeństwa. Obecne rozszerzenie NATO o kraje nordyckie uzupełnia i uzasadnia rozszerzenie na wschód.

Inny spór dotyczy rozszerzenia UE i projektu Europejskiej Wspólnoty Politycznej autorstwa Macrona. Wojna w Ukrainie przesunęła geopolityczny środek ciężkości

kontynentu na wschód; ten instytucjonalny pozostaje zakotwiczony w Brukseli (siedzibie NATO i Unii).

Zelenski odrzucił wstępnie perspektywę przystąpienia Ukrainy do NATO, co skłania go do tym bardziej zdecydowanego zwrotu w stronę Unii. Mówił 1 marca z bunkra w Kijowie: „Wzywamy Unię do natychmiastowego uruchomienia procedury prowadzącej do przyznania Ukrainie statusu kandydata. Udowodnijcie, że jesteście z nami”. Owacją na stojąco i przytłaczającą większością 637 głosów, przy 13 przeciw, europarlament przyjął rezolucję wzywającą instytucje UE do działań na rzecz nadania Ukrainie statusu kandydata. [Uzyskała go na szczycie Rady Europejskiej 23 czerwca].

Ukraina jest w stanie wojny, nie kontroluje części terytorium, a kondycja jej gospodarki i praworządności daleko odbiega od standardów UE. I tu zaczynają się trudności, którym właśnie wychodzi na przeciw projekt prezydenta Francji. Pozwala on uniknąć pułapki grożącej projektowi Konfederacji Europejskiej François Mitterranda z lat 1990-91. W nowym projekcie nie ma już mowy o włączeniu Rosji, można nawet powiedzieć, że jest on zwrócony przeciw niej.

Pozostaje jednak drugi problem: czy wspólnota ma zastąpić członkostwo? Tego prezydent nie powiedział, ale sformułowanie „to zajmie lata, dekady” od razu wzbudziło podejrzenia.

Wola kraju, który walczy o przetrwanie i potwierdza przywiązanie do europejskich wartości, zobowiązuje do ponownego uruchomienia procesu akcesyjnego i rozważenia pewnych zmian. A co z Mołdawią i Gruzją? Trudno też zaakceptować kandydaturę Ukrainy, pomijając kraje bałkańskie, które od dawna czekają w kolejce, co powoduje rozczarowanie tamtejszych proeuropejskich elit i opinii publicznej (w ciągu dekady poparcie dla Unii spadło w Serbii z 70 do 37 proc.).

Ponowne uruchomienie procesu akcesyjnego wymaga jego gruntownego prześmyślenia. W kontekście ukraińskim impet wydarzeń i pilna potrzeba sytuacji politykę w centrum uwagi, co każe przeformułować

perspektywę akcesji. Oznacza to przyjęcie formuły „wspólnoty politycznej”, umożliwiającej uczestnictwo w pewnych obszarach europejskiej polityki (niektóre posiedzenia Rady czy reprezentacja w europarlamentie), a następnie działanie krok za krokiem na rzecz reform instytucjonalnych, prawnych i ekonomicznych wymaganych w toku integracji z Unią. Proces ten może potrwać lata, ale ważne, by kraje kandydatki miały od początku poczucie politycznej przynależności do projektu europejskiego.

Przeshkody nie sprowadzają się do niechęci krajów założycielskich przeciwstawionej zapalowi Europy Środkowej. Polska jest gorącym orędownikiem przyjęcia Ukrainy do Unii, ale zawiódła jako państwo prawa. Podobno przychyliła się też do propozycji Borisa Johnsona, by stworzyć nowy sojusz przeciw Moskwie z udziałem Polski i krajów bałtyckich, ale z dala od Brukseli.

Zachodnia opinia sprzyja sprawie ukraińskiej, ale nie oznacza to poparcia dla członkostwa w UE, bo można wszak kochać Europę 27 krajów, ale niekoniecznie 37.

Idea „wspólnoty politycznej” – którą Bronisław Geremek wolał od „unii” – ma tę zaletę, że proponuje nową architekturę europejską uwzględniającą różnorodność sytuacji, doświadczeń i historii krajów Europy.

Rosyjska inwazja redefiniuje stawkę w tej grze i jawnie upolitycznia projekt europejski. Stąd waga sporu między krajami założycielskimi a Europą Środkową o sens i dalsze modyfikacje tego projektu. Tylko tak w obliczu wojny, która wróciła do Europy, możemy przemyśleć przyszłość kontynentu. ●

przeł. Sergiusz Kowalski

***Jacques Rupnik** – ur. w 1950 r. w Pradze. Politolog i historyk francuski, specjalista od Europy Środkowej i Wschodniej. Tekst ukazał się 15 czerwca na stronie pisma „Telos” (www.telos-eu.com/fr). Tytuł – „Wyborcza”.

Rosja, czas donosów

Nasza kultura zamarzła

Ale nic to, przyjdzie wiosna. Jest w rosyjskiej historii taka pora roku.

Wiktor Jerofiejew*

Wysyłamy dziś w ich ostatnią podróż działaczy rosyjskiej kultury, którzy pod patronatem Dumy i innych władz postanowili z odkrytym czołem zostać donosicielami, kapusiami, informatorami, konfidentami, łowcami czarownic.

W ostatnią podróż? A owszem. Krzyż im na drogę. Ale czy warto, choćby ironicznie, lamentować nad grobami tych, którzy sami postanowili zostać tam złożeni?

...

W rosyjskiej kulturze gloria donosiciela przebija wszystko inne w życiu kogoś, kto wziął się za donoszenie. Taki powiedzmy Zachar Prilepin był pisarzem, szukał tematów, szukał tożsamości, szukał pomocy. Wstawał z kolan i wreszcie wstał, i odnalazł tożsamość, choć lepiej, żeby jej nie odnalazł. Z pisaniem nie poszło najlepiej, ale ciągnęło go do władzy, do Doniecka, do kałacha. Z 3axapa przez „3” stał się Zacharem przez „Z” (pewnie sam to „Z” wymyślił). Wątpliwa ewolucja, bo władza zżera wolność pisarza, a pisarz nie może żyć bez wolności.



Rosyjska literatura nigdy nie kochała władzy. Byli pisarze usytuowani blisko niej, ale pisarzy donosicieli można policzyć na palcach

Przeszedł na stronę partii wojny, jego wybór. Ale denuncjacyjna pasja nie jest wyborem, tylko przekleństwem życia. I teraz obaj z aktorem [Dmitrijem] Piewcowem – znalazłoby się jeszcze paru zapiewajłów – pod wodzą lidera partii [Siergieja] Mironowa, który kiedyś rozumiał to i owo w kwestii sprawiedliwości, domagają się bezapelacyjnych dymisji, wyrugowania ze stanowisk, ze sceny itp. tych, których uznali za wrogów i ich popleczników, a także popleczników popleczników itd., aż po masowy terror. Ścisłej, rozprawiają się z tymi, których kazano im uznać za wrogów.

Krztuszą się ze szczęścia w wojenno-patriotycznym szale. Zamarzyły się im kierownicze stanowiska w telewizji, w największych teatrach i w wielkiej polityce – wszędzie chcieli rządzić. A czyż nie wystarczy tłusta posadka zastępcy i słuchanie urojeniuowo-patriotycznej damskiej historii?

Na razie są tylko sługusami kremłowskiej władzy, której kultura jest z zasady nienawistna, bo rządzi się innymi zasadami. Kultura zмага się z entropią, a władza, która obrała drogę bratobójczej apokalipsy, jest do głębi przeżarta entropią udrapowaną w kostium patriotyzmu i tradycyjnych wartości. Ale wszystkie te wartości to tylko opakowanie najważniejszej, jedynej wartości dzisiejszej Rosji – cara, który zapragnął rządzić po kres swoich dni.

...

Rosyjska literatura nigdy nie kochała władzy. Byli pisarze usytuowani bliżej władzy

i inni – znacznie więcej – którzy z nią walczyli. Ale pisarzy donosicieli można policzyć na palcach.

Współczesny Puszkiniowi wydawca Fadiiej Bułgarin [Jan Tadeusz Bułharyn] napisał świetną powieść „Iwan Wyżygin”. Ale zasłynął wyłącznie jako informator tajnej policji [Aleksandra] Benckendorffa.

Zdolny prozaik i publicysta Nikołaj Leskow w żenujący sposób obwinił studentów o pożary w Petersburgu na początku lat 60. XIX wieku i nigdy nie zdołał zmyć z siebie odium delatora.

W Związku Radzieckim Aleksandr Fadiiejew, który debiutował jako odważny autor powieści „Pogrom”, za stalinizmu jako głównodowodzący radzieckich pisarzy donosił na kolegów i podpisywał wyroki śmierci. Po śmierci wodza został wyrzutkiem i popełnił samobójstwo.

Nie przypadkiem w późnych latach Dostojewski, konserwatysta i zdeklarowany nacjonalista, zapytany, czy doniósł o planowanym przez rewolucjonistów zamachu na cara, zaprzeczył. Jako stary katorżnik wiedział, że donosiciel szkodzi przede wszystkim sobie.

...

Na wszystkich szczeblach państwowego zarządzania kulturą trwa orgia walki z nieprawomyślnością. Ale kultura to nie pododdział wojska wrzeszczący „urra!”. Kultura może się ukryć, zejść do podziemia, na jakiś czas wyjechać z kraju, ale...

Kiedy umarł Mikołaj I, który trzymał ją za gardło, zaczęła się odwilż. Kiedy umarł Stalin, nastąpiła kolejna, niewiarygodna odwilż i rozkwit sztuk. Upadł Związek Radziecki i mieliśmy wolną kulturę.

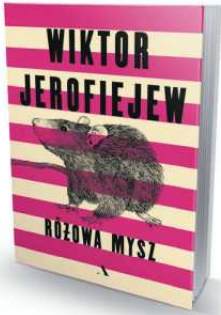
Obecny car uważa się za wcielenie Aleksandra Newskiego i samotnego pogromcę cywilizacji europejskiej. Wydaje się, że teraz w naszej kulturze wszystko na zawsze zamarznie, zostanie unicestwione. Ale nie, nadejdzie wiosna. To pewne, bo jest w rosyjskiej historii taka pora roku.

A dyktatorzy gardzą donosicielami, korzystają z ich usług, ale gardzą. A kiedy umiera dyktator, gdzie ma się podziać wybitny donosiciel? ●

przeł. Sergiusz Kowalski



*Wiktor Jerofiejew – ur. w 1947 r., znany pisarz rosyjski. W Polsce ukazała się m.in. jego powieść „Różowa mysz” (Wyd. Agora)



FOT. WOJCIECH KULSNIK / AGENCJA WYBORCZA.PL

WIERSZ POLECA ANDRZEJ ZAGOZDA

Tomas Venclova*

Bitwa azowska

Bądź pozdrowiona, nieledwie zapomniana bogini Historii,
wraz ze świtą odłamków i trupów zabitych żołnierzy!
Jeszcze tu nieobecna, lecz już mogą cię rozpoznać nieszczęśnicy
w chrzęście gąsienic, w warkocie śmigłowców sponad granicy.

Z czasem do twoich rządów się przywyka. Ale wpierw –
dziury w piersiach blokowisk, pokoty nadmorskich drzew,
ostrzał stacji węzłowych, pantomima w szerokim stepie,
gdzie w lepkiem czarnoziemie ugrzązł Piotr, wyklinając Mazepę.

Śmierć jeszcze jest młoda. Potrzeba jej czasu i wprawy.
Wciąż terminuje, próbuje. Mierzy z wolna, jak dla zabawy,
dość długo nikomu nie szkodząc. Z ciałem wita się łuska
dopiero za piątym razem. Potem już tylko pustka.

W przejrzystym powietrzu blade bruzdy rzeźbią drony.
Wzdłuż płotu za młodym wartownikiem podąża skulony
znacznie starszy mężczyzna – co z tego, że jest cywilem –
i obu ostatnie metry dłużej się niczym mile.

Sterna buszlatów nabrzmiewa, przelewa się po zwaliskach
z miejsca na miejsce. Satelita, zawieszony w przestworzach,
beznamiętnie rejestruje ten widok. Dalej przebita cysterna.
Zajętych już dziesięć kwartałów. Gloria nostra aeterna.

Jakże daleko stąd są zbawienne dworce i mosty!
Przed oczami jedynie – naszych czy wrogów? – blokposty;
nikt nie wie, czy puszczą, czy strzelą. A maruderom
zostały kurczaki w sieniach, kozy w obejściach, spojrzenia

biegnące do Trościanki, Merefy, Irpienia, których nie ma co
poszukiwać na mapie, tak jak dziurawych dachów, które migocą
pośród burzanów, gdzie słodkawy odór wciska się w gardła,
a dzieciaki uczą się mówić: „głodować”, „karabin” i „zdrajca”.

Na piaszczystym brzegu linii odpływu przecina kula, nie mewa,
za roztrzaskanym oknem, w lustrze odbity płat czystego nieba –
będą weń patrzeć z łękiem najmłodszy, co urodzili się w schronie,
widząc w nim nie przybytek Boga, lecz atomowe zagrożenie.

Plama zakrzepłej krwi. Wybuchów i strzałów orkiestra.
Jak wiadomo, każde Termopile mają swego Efiالتها.
Pożegnaj się z nimi – odejdiesz w chwale lub z hańbą.
Drogi odcięte, a Medowie i tak ostatecznie przejdą.

Cóż więcej, bogini Historii, jak wojna – to wojna.
Promenada obcego miasta żarem słońca hojna
i student, wzrok oderwawszy od gorejącej szarżyny,
powtarza starą linijkę: „Jakże słodko nienawidzić ojczyzny”,

a żołnierz – towarzysz broni zapomni jego imienia –
łapie ostatni haust tlenu w labiryncie płomieni.
Usta są już bezgłośnie, lecz słyszą kamień i beton
ostre i twarde słowo, które wrogom rzucił Cambronne.

Przeł. Beata Kałęba



*Tomas Venclova – ur. w 1937 r., litewski poeta, eseista, tłumacz. W czasach ZSRR dysydent i obrońca praw człowieka. Od końca lat 70. na emigracji w USA, w 2019 r. wrócił do Wilna.

FOT. BARTOSZ BOBKOWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

ŻOŁNIERZ NIE ZABIJA SPECJALNIE

Większość zawodowców robi wszystko, by nie wrócić na front.
Było trochę dziwnych przypadków postrzałów

FOT. ARCHIWUM PAWEŁA FILATIEWA

Z **PAWEŁEM FILATIEWEM***, ROSYJSKIM DEZERTEREM, WETERANEM INWAZJI NA UKRAINĘ, ROZMAWIA **WIKTORIA BIELIASZYN**

Walczył pan dwa miesiące w Ukrainie. Po uszkodzeniu oka i pobycie w szpitalu nie wrócił pan na front, tylko skrytykował wojnę. A dzisiaj nie ma pan do Rosji powrotu.

– Trudno, żebym miał. W Rosji nie wolno nawet wypowiadać słowa „wojna”. Wszelka krytyka „specjalnej operacji wojennej” jest prawnie zakazana. A ja nie dość, że rozpowszechniam informacje, co dzieje się na froncie, w jakim stanie jest armia, co dzieje się w Ukrainie, to jestem jeszcze zwykłym człowiekiem.

Czyli dla władz nikim. A wsadzają nawet znanych opozycjonistów, np. byłego deputowanego moskiewskiej Dumy Ilję Jaszyna czy działacza praw człowieka Władimira Kara-Murzę, wcześniej Nawalnego. Ludzi, za którymi ujmował się cały świat. Od chłopaków z wojska wiem, że przygotowano już pierwsze dokumenty w mojej sprawie. Na razie grozi mi 15 lat za „rozpowszechnianie fake newsów”, ale adwokaci mówili mi, że zarzutów będzie przybywać: rzekoma dezercja, zdrada narodowa itd. Czwierć wieku to optymistyczny wariant. I żebym wyjechał, bo nie będą w stanie mi pomóc.

A pan nie chciał wyjeżdżać.

– Nie miałem takich planów. Poszedłem do prokuratury ze wspomnieniami z wojny, które napisałem w formie książki. Chciałem im pokazać, że nie ma tam żadnych faszystów ani nazistów, a my jesteśmy wykorzystywani nie do wyzwolenia miast, ale ich okupacji. Liczyłem, że otworzę oczy urzędnikom i zwykłym ludziom. Że władze zwrócą uwagę, co się dzieje w wojsku. Jestem przeciwny wojnie, ale kondycja naszej armii też mnie przeraża, bo to jeden wielki skorumpowany burdel.

Zależy panu na silnej armii?

– Mnie boli jej degradacja. Od dziecka jestem z armią związany. Ojciec był zawodowym żołnierzem, mieszkaliśmy w różnych jednostkach wojskowych. Razem z innymi dziećmi graliśmy w piłkę z żołnierzami, ciągle się przy nich kręciliśmy. I chociaż bywało głodno, bo lata 90. były ciężkie, to kondycja armii była zupełnie inna niż dzisiaj. Były mundury, sprzęt, amunicja, a dowódcy mieli wykształcenie wojskowe, byli i inteligentniejsi i lepiej przygotowani. Mieli morale. Niżsi rangą mogli w nich widzieć jakieś wzory do naśladowania. To, co jest dzisiaj, to hańba.

Jestem patriotą, jestem wojskowym. Chciałbym, by armia rosyjska była profesjonalna i silna. Ale nie po to, by napadać czy wtrącać się w konflikty, które zupełnie nas nie dotyczą. Tylko, skoro już ją mamy, żeby była poważną strukturą, a nie okradzionym przez państwo kalekim tworem z gówna i pałek, w którym żołnierz jest nikim.

Mówi pan o latach 90., gdy armia była głodna i biedna, ale zawodowa i z etosem, przestrzegająca zasad. A Czeczenia?

– To były zupełnie inne czasy. Nie mogę powiedzieć, że armia była w idealnym stanie, ale było dużo lepiej niż teraz. Inni ludzie, inny sprzęt, inne warunki.

Ale podobne zbrodnie.

– Kiedy ja tam byłem – jako poborowy – to nie była wojna, raczej tzw. punkt zapalny, naszym zadaniem było zapobieganie terroryzmowi na Kaukazie. Ja wojny nie mogę przecież pamiętać.

A do wojen w Czeczenii odnoszę się negatywnie. Niepotrzebna agresja, która kosztowała życie wielu



ludzi. Co nam dało to, że nie pozwoliliśmy im być niezależnymi?

Miał pan nadzieję, że zgłoszenie do prokuratury coś zmieni?

– Pisałem wszędzie: do prokuratury okręgowej, naczelnej prokuratury wojskowej, dowództwa, ministerstwa obrony. Wszyscy mnie zignorowali. W końcu napisałem nawet do prezydenta. Zgodnie z prawem, jako wojskowy, który zgłasza nieprawidłowości, powinienem być dostać odpowiedź w ciągu miesiąca. Ale nic. Poszedłem osobiście do naczelnej prokuratury wojskowej w Moskwie. Miałem nadzieję, że jeśli opowiem o wszystkim osobiście, to coś zrobią.

Dowództwo straszło mnie, że nie uda mi się odejść z armii, o co bardzo się starałem. I że albo postawią mi zarzuty za to skarżenie się i bunt, albo zabiorą z powrotem na front.

Jakim cudem pana nie zatrzymali?

*Paweł Filatiew

• żołnierz 56. Pułku Powietrznodesantowego Szturmowego armii Federacji Rosyjskiej, lat 34. Spędził dwa miesiące w Ukrainie, gdzie walczył m.in. o Chersoń. Po opublikowaniu zapisków z frontu oraz krytyce wojny wyjechał z Rosji. Kremlowska propaganda nazywa go „zdrajcą ojczyzny”.

• Filatiew okazał obrońcom praw człowieka oraz niezależnym dziennikarzom dokumenty, które potwierdzają, że służył w 56. pułku, w kwietniu, na skutek działań wojennych, trafił z urazem oka do szpitala, a także, że jeszcze przed publikacją książki wysłał do prezydenta Rosji skargę z powodu działań rosyjskiej armii w Ukrainie.

– Dla mnie też to pozostaje zagadką. Byłem przekonany, że mnie złapią, przecież tyle, ile o tej wojnie opowiedziałem, nie powiedział jeszcze nikt. Mam wrażenie, że to wina naszego wewnętrznego burdelu: najpierw mnie ignorowali, a potem nie wiedzieli, co ze mną zrobić. Albo nie wiedzieli, gdzie w ogóle jestem, bo nawet po powrocie z frontu dostawałem pieniądze. Tak jakbym cały czas był na pierwszej linii. Oficjalnie nie byłem dezerterem, może liczyli, że uda się mnie ściągnąć z powrotem, uciszyć.

Na początku, po opublikowaniu książki w internecie, sam chciałem zgłosić się na policję. Wołałem znaleźć się w więzieniu za prawdę niż wrócić na front. Ale obrońcy praw człowieka, z którymi się skontaktowałem, namówili mnie na ucieczkę. Kiedy opracowywali plan mojego wyjazdu, każdego dnia zmieniałem miejsce pobytu.

Skargi do ministerstwa obrony składał pan już wcześniej, jeszcze przed wojną.

– Już jesienią zeszłego roku rozumiałem, że raczej nie chcę mieć nic wspólnego z armią. Denerwował mnie jej stan, ale też to, że żołnierze mają prawa tylko na papierze. Napisałem skargę. Otrzymałem list, w którym urzędnicy życzyli mi dużo zdrowia i polecili popracować nad samodyscypliną.

Nie pan jeden nie chciał wracać na front. Ze śledztw niezależnych redakcji wynika, że wielu żołnierzy ugina się pod presją dowództwa i wraca. – Pochodzę z wojskowej rodziny. Mnie nie są w stanie zastraszyć krzyczący dowódcy. Znam swoje obowiązki, ale i prawa. Jeśli ktoś je narusza, walczę. Koledzy z oddziału często mówili mi, że to bez sensu i ze skądą dla wszystkich. Ale wielu z nich uważa, że dobrze postąpiłem. Nie dostałem od znajomych chłopaków ani jednej negatywnej wiadomości, żaden nie powiedział mi, że jestem zdrajcą czy tchórzem.

Na to, co piszą ludzie w internecie, nie zwracam uwagi, większość z nich nigdy nie była w wojsku, nie wie, co to znaczy wojna. A zdrajcami i tchórzami są władze i przede wszystkim Putin. Najpierw przez lata okradali armię, później rozpętali wojnę.

Koledzy pana wspierają, ale sami na podobny krok się nie decydują. Nie na skalę masową.

– Kropla draży kamień. Będzie ich coraz więcej. Ale rozumiem tych, którzy się boją sprzeciwić. Konsekwencje mogą być bardzo poważne. Można zafundować sobie wilczy bilet, z którym już nigdy nic się w Rosji nie zrobi.

A co do braku masowości, to gdyby ludzie nie wiali z wojska, Putin nie szukałby mięsa armatniego wśród więźniów, emerytów, bezrobotnych. Większość zawodowych żołnierzy zrobiła wszystko, by nie wrócić na front. Niektórzy mieli szczęście, bo udało im się zerwać umowę. Albo ponieśli obrażenia, więc – jak ja – zostali odesłani na leczenie i nie wrócili. Są też tacy, którzy sami coś sobie robią, by opuścić Ukrainę. Dziwnych przypadków postrzeleni trochę było. Jednym zależało na wycofaniu się z tego koszmaru, innym – na odszkodowaniu. Ale wszystkich łączyło to, że nie chcieli walczyć w Ukrainie.

I milczą.

– A co im da mówienie? Co mnie dało? To, że stanąłem przed wyborem: perspektywa, że zdechnę w więzieniu, albo ucieczka w nieznane? Każdego dnia zmieniam miejsce pobytu, nie wiem, co będzie ze mną jutro. Nie ma w tym nic fajnego.

Niektórzy od pół roku są na pierwszej linii. To inny świat, inne emocje. Dopiero po powrocie do domu zrozumięją, co się właściwie wydarzyło.

Podkreśla pan we wspomnieniach, że żołnierz nie ma wpływu na to, gdzie zostanie oddelegowany.

– Wiele ludzi nie pamięta albo nie rozumie, że bycie żołnierzem wiąże się z wypełnianiem rozkazów i dyscypliną. Nie jechałem do Ukrainy z własnej woli. Po prostu się tam znalazłem, jak wielu innych, bo władze miały taki kaprys. To cały czas miały być „szkolenia”, dowództwo zapewniało nas, że żadnej wojny nie będzie.

Kiedy pan się zorientował, że coś jest na rzeczy?

– „Coś” wisiało w powietrzu przez cały czas. „Szkolenia” były bezsensowne, trudno było nie odnieść wrażenia, że chodzi tylko o to, by zgromadzić jak największą liczbę żołnierzy w jednym miejscu. Ale nie podejrzewałem, że dojdzie do wojny. Myślałem, że Putin chce podnieść swój ranking poparcia, jak z Krymem, i że wejdziemy do Doniecka i Ługańska jako „mirotwórcy”. Myślałem, że podniesiemy rosyjską flagę, będzie referendum i narracja o naszej wyzwolenczej misji.

Ale w nocy 24 lutego trudno było mieć złudzenia. Rakiety, wybuchy, artyleria. Niebo było aż jasne od eksplozji. Nie miałem dostępu do informacji, myślałem, że może rzeczywiście NATO się wmieszało, bo skala była nierealna.

To nie była pana pierwsza wojna.

– Wcześniej służyłem na Kaukazie i wydawało mi się, że wiem, czym jest wojna. W Ukrainie okazało się, że nie mam pojęcia. Skala napaści mnie zszokowała. I to, że cierpi tak wielu cywilów.

Dlaczego rosyjska armia nie oszczędza zwykłych ludzi?

– Ich śmierć jest często dziełem przypadku, źle wymierzonej rakiety, ludzkiej pomyłki...

Chyba „pomyłki”.

– Często nie wiesz, w co strzelasz. PC30 działają na odległość 30-40 kilometrów. Dostaje się współrzędne i rozkaz: otworzyć ogień. Nie wiesz, w co celujesz ani w co trafiasz. Nie słyszysz nawet wybuchu. Kiedyś dowiedzieliśmy się, że kilka dni wcześniej na skutek strzału zginęła matka z dzieckiem. Jechali samochodem. Poczulem się fatalnie, to był pierwszy taki przy-



padek, o którym się dowiedziałem. Bo my, na pierwszej linii, nie mamy swobodnego dostępu do informacji. O wielu rzeczach, zbrodniach dowiadujemy się z plotek albo dopiero w domu.

Zwykły żołnierz nie zabija cywilów specjalnie. Ich śmierć to skutek działań wojennych. Nie usprawiedliwiam, bo to nie powinno się zdarzać, ale wojna zawsze wiąże się ze śmiercią także cywilów.

A Bucza? To tylko jeden przykład i symbol, bo miejsc, w których rosyjskie wojska dopuściły się zbrodni wojennych, jest więcej.

– Od razu powinienem zaznaczyć: byłem w tzw. oddziale „Z”, a za Buczę odpowiedzialni są ludzie z „O”. Takiego bestialstwa, jakiego miało miejsce w Buczy, w moim oddziale nie było. A gdyby było, wierzę, że zrobiłbym co w mojej mocy, by temu zapobiec. To samo mogę powiedzieć o kolegach z oddziału.

Dowiedziałem się o Buczy, kiedy wyszedłem ze szpitala, do którego trafiłem z urazem oka. Spotkałem się z kolegą, byłym oficerem, a on zaczął mi opowiadać o Buczy, egzekucjach, gwałtach, masowych grobach. Był przerażony, pytał, czy to prawda, czy widziałem takie rzeczy. Powiedziałem, że to niemożliwe, że to pewnie zachodnie fake newsy.

Ale nie dawało mi to spokoju, zacząłem czytać, oglądać nagrania. Aż ciężko przyznać... To zbrodnia wojenna. Ci ludzie muszą odpowiedzieć przed sądem. Rosja popełniła błąd...

Jaki konkretnie?

– Kiedy pojawiły się zarzuty, władze powinny wyprowadzić cały oddział, który tam stacjonował, powołać komisję, zaangażować komitet śledczy, prokuraturę wojskową, wpuścić niezależnych ekspertów. Ukarać winnych. Przeprowadzić śledztwo, a wyniki przedstawić całemu światu.

Pierwszy skazany w Ukrainie za zabójstwo cywila żołnierz twierdził, że wypełniał tylko rozkazy.

– Obowiązkiem żołnierza jest wypełnianie rozkazów. Ale każdy żołnierz ma własny rozum. Gdyby mnie dowódca powiedział, że mam strzelić w cywila, powiedziałbym mu w najlepszym wypadku, że by poszedł w chuj. Nie wiem, co za dowództwo miał rzekomo ten chłopak, że musiał bezwolnie robić, co mu każą.

Na ile rosyjski żołnierz jest świadomy tego, co się dzieje?

– Opiszę to przykładem: 23 lutego, kiedy już wiedzieliśmy, że to nie żadne „szkolenia”, tylko „coś” będzie, widziałem twarze kolegów. Większość była zaniepokojona, ale niektórzy chojraczyli. Jeden, młodszy, siedział na uboczu. Miał łzy w oczach. Chciałem go wesprzeć, powiedziałem, że nic się nie wydarzy, niedługo wracamy do domu. Tak nam mówili dowódcy. Bo żołnierzom nic się nie tłumaczy.

Wszystko dzieje się bardzo szybko. Żołnierz nie wie, dokąd się uda. Nikt mu nie tłumaczy, co i dlaczego jest celem strzału, który ma oddać. Ani po co zajmować wyspę czy jakiś budynek. Ma to po prostu zrobić. Faktem jednak jest, że w pewnym momencie wielu dowódców straciło w naszych oczach. Nie radzili sobie, nie wiedzieli, co robić, a podczas ostrzałów chowali się jako pierwsi.

Ten brak autorytetu przekładał się na zachowanie żołnierzy?

– Na unikanie inicjatywy, decyzji. Dochodziło do absurdalnych sytuacji, jak pod Chersoniem, kiedy nasz sprzęt zapadł się w błocie, w szczerym polu, idealnym miejscu do ostrzelania, a my nie wiedzieliśmy, czy mamy prawo go porzucić ani co zrobić. Po obu stronach toczyły się walki. Ale nikt nie chciał brać na siebie odpowiedzialności.

W pana oddziale żołnierze nie mieli poczucia, że nie obowiązują ich żadne przepisy i zwyczaje?

– Ja wiem, że pyta pani o to, bo wszyscy na świecie mają wrażenie, że w rosyjskiej armii są sami mordercy, złodzieje, gwałciciele. Tylko że w każdej armii mogą zdarzyć się przestępcy, sadyści, chorzy ludzie. Tak jak w każdym społeczeństwie.

W naszym oddziale nie było bestialstwa, gwałtów, mordów, znęcania się. Kiedy okazało się, że w pierwszych dniach pocisk zabił kobietę z dziećmi, podobno przeprowadzono dochodzenie, szukano winnego.

Jeśli chodzi o inne naruszenia, owszem, były. Przyznaję, że kradliśmy. Chłopaki kradli pozostawione w biurach laptopy, telefony, słuchawki. Nikogo nie było, więc...

Nikogo nie było, bo ich właściciele chowali się w tym czasie przed wami w schronach i piwnicach?

– No tak... Takie rzeczy się zdarzały, nikt nam nie zabraniał. Śmiałem się z nich. Jednemu koledze mówiłem, że może nie dożyć jutra, po co taszczyć ten komputer. A on, że mu się przyda. Inny, że bierze dla syna. Najwięcej kradł nasz komendant. Zapakował całą furę: fotele biurowe, komputery, biurko... A potem woził to z miejsca na miejsce. Śmialiśmy się z niego ukradkiem.

Ja zabierałem jedzenie, bo szybko skończył nam się prowiant, byłem głodny. Miałem gdzieś, czyje to. Zabrałem też czapkę. To była zima, w mojej było mi zimno, a ona leżała w porzuconym samochodzie.

Pana zdaniem to w porządku?

– Nie, nikogo nie usprawiedliwiam, ale rozumiem też, że wojna to nie są normalne, ludzkie warunki.

I wiem, że większość tych ludzi nigdy nie mogła sobie pozwolić na takie adidas-y czy iPhone'a. Widzieli komputer, który kosztuje więcej niż miesięczna pensja żołnierza.

Kiedy człowiek rzeczywiście nie wie, czy dożyje do jutra, nie kontroluje swoich instynktów, robi rzeczy, na które nie pozwoliłby sobie w czasie pokoju.

Wysyłaliście te „fanty”, jak ustalili dziennikarze, pocztą?

– My byliśmy na pierwszej linii frontu. Nie mieliśmy możliwości wycofania się. Jaka pocztą? To mogli robić ci, co byli na tyłach.

Brak jedzenia i odzieży – nie wpisuje się to w wizerunek zmodernizowanej, wskrzeszonej wręcz rosyjskiej armii, który od lat tworzą władze.

– Nie mieliśmy co jeść i pić. Brakowało nie tylko amunicji, ale nawet podstawowego sprzętu, który musi mieć każdy żołnierz. Hełmy, kamizelki kuloodporne, rękawice, gogle – wszystkie rozkradzione. W rosyjskim internecie takie żołnierskie zestawy są teraz masowo sprzedawane na Avito i innych stronach. Jestem pewien, że miały trafić do nas, a dowództwo wpisało w raporcie, że „zostały zniszczone w operacji wojennej”.

Samochody też były w rozsypce. Kamazy, BMD, ciężarówki Ural masowo się psuły. Myślę, że straciliśmy ze 20 proc. wozów na samym podjeździe do Chersonia. Nie było jak ich naprawiać, porzucaliśmy je na uboczu. Był bajzel: przepełnione pojazdy, przeznaczone na cztery osoby, walające się po podłodze granaty. W efekcie dochodziło do niespodziewanych wybuchów. O takich poległych pisali później, że „zginęli bohaterską śmiercią”.

Niesamowite.

– Oficerowie starają się przypodobać dowódcom. Nie przekazują złych informacji, fabrykują dokumenty, zakłamują liczby i straty, żeby nie mieć problemów.

Dowódcy z kolei boją się przyznać przed władzami, że na pierwszej linii frontu mało kto się ostał.

Każdy żołnierz zdaje sobie sprawę, że władze mają na niego wywalone. Nie obchodzi ich, czy mają jedzenie, ubrania, broń, opał w namiotach. Czy są zdrowi ani – jak się okazuje – czy żyją. U nas zimą, jeszcze przed rozpoczęciem wojny, na tzw. szkoleniach, chorych było pełno.

Opisuje pan też warunki, w jakich działaliście.

– Było różnie. Spaliśmy w okopach, w samochodach, nawet na dworze. W mrozie. Nie mogliśmy rozpalic ogniska ani włączać nocą silników, żeby nagrzać w środku, bo dowódcy mówili, że Ukraińcy nas namierzają. Przytulaliśmy się do siebie, słyszałem tylko, jak chłopaki szczękają zębami z zimna.

Łatwiej było, kiedy wkroczyliśmy do Chersonia. Zajęliśmy opuszczone biura, mogliśmy – po raz pierwszy od tygodni – wziąć prysznic, zjeść coś normalnego. Dosłownie rzuciliśmy się na żarcie zostawione w biurach jak zwierzęta. Ale tam mój oddział spędził tylko dzień.

Dużo mówi się o tym, że rosyjską armię tworzą głównie ludzie niewykształceni, z biednych regionów. Ale też, że do Ukrainy wysyła się żołnierzy, którzy nie są etnicznymi Rosjanami, bo chłopak z Dagestanu czy Buriacji nie czuje takiej więzi z Ukraińcami jak Rosjanin.

– Służyłem w oddziale desantowym. Do nich najczęściej rekrutuje się etnicznych Rosjan, przyjezdnych z republik jest niewiele.

To wrzucanie wszystkich do jednego worka i twierdzenie, że żołnierze z konkretnych republik są źli, bardzo mnie denerwuje. Nie od pochodzenia zależy, czy człowiek jest zły, czy dobry. W każdym społeczeństwie i w każdym narodzie są i tacy, i tacy.

W mojej rocie był chłopak z Dagestanu, który robił wszystko, żeby wesprzeć ukraińskiego jeńca. Byli też żołnierze z innych republik. Okej, jesteśmy wojskowymi, byliśmy na wojnie, strzelaliśmy, ale konkretnie żaden z nas nawet nic złośliwego czy chamskiego nie powiedział o ukraińskich cywilach.

Przestępstwa wobec ludności cywilnej?

– Nie widziałem tortur, zabójstw, gwałtów. Znowu podkreślam, że mówię o moim doświadczeniu i moim oddziale. Zdarzało mi się zatrzymywać Ukraińców, których podejrzewaliśmy o szpiegostwo, ale nic im nie robiliśmy. Przekazywaliśmy ich OMON-owi. Nie wiem, co było z nimi dalej. Jeden chłopak z mojego oddziału wręcz wkurzał się, kiedy z jeńcami ktoś z nas choćby rozmawiał chamsko.

Proszę zrozumieć, mnie naprawdę tych ludzi było szkoda. Widziałem, że się boją, i rozumiałem dlaczego. Wyobrażałem sobie, że ja jestem na ich miejscu.

Jak lokalna ludność reagowała na was?

– Nikt się nie cieszył. Nie widziałem ani jednego człowieka, który chciałby być przez nas „wyzwalany”. Wsie mijaliśmy bardzo szybko. Ludzie zbierali się w grupki, przyglądali się. Byli przerażeni. Cały czas pamiętam staruszkę, która zrobiła znak krzyża, kiedy nas zobaczyła. Na początku myśleliśmy, że może nas błogosławi.

Co pana najbardziej zdziwiło?

– Nie układało mi się w głowie, że Rosja napadła na najbliższy sobie kraj. Teraz mówienie o tym jest źle widziane, ale wielu Rosjan ma w Ukrainie rodziny. Mój pradziadek pochodził z Ukrainy, później, kiedy go rozkułaczono, został zesłany na Syberię. Czulem się strasznie z myślą, że po I wojnie światowej mój dziadek Ukrainiec przeżył taki koszmar, a ja, jego wnuk z Rosji, pojechałem teraz na jego ziemię zabijając.

Relacje rodzinne wpłynęły jakoś na pana stosunek do Ukraińców przed wojną?

– Nie powiem, że ich uwielbiałem, ale czułem z nimi więź. Nie czułem się obco wśród Ukraińców, jesteśmy w dużej mierze tacy sami. Pracowałem kiedyś w dużej stadninie, gdzie było kilkudziesięciu pracowników z zachodniej Ukrainy. To było już po Krymie, więc wiedziałem, że mogę spodziewać się nieprzyjemności, widziałem różne agresywne wypowiedzi ukraińskich blogerów w internecie, ale mnie nic takiego nie spotkało. Mówilem im, że jestem przeciwny aneksji i że denerwują mnie nasze władze, które nie dość, że nie potrafią sobie poradzić z terenem, który mamy, to jeszcze płaczą nas w wojny i walczą o coś, co nam przecież jest zupełnie niepotrzebne.

Ale mówię też z całą świadomością, że bywałem na Krymie i większość ludności, która tam pozostała, chciała przyłączyć się do Rosji. Zapowiedzi władz Ukrainy mnie przerażają.

Mieszkańcy Krymu sami powinni decydować, gdzie chcą żyć. Jeżeli moje obserwacje się potwierdzą, to wkroczenie ukraińskiej armii i walki o półwysep nie będą różnić się od naszych, rosyjskich walk o Cher-

– Bo to prawda. Nie ma nowoczesnego sprzętu, nie ma ćwiczeń, nie ma nauki. Zero. Poborowy wstydzi się opowiedzieć znajomym, co robił w wojsku, bo to takie bzdury.

Ale bezpośrednią przyczyną porażek jest nieufność żołnierzy wobec władz i dowództwa. Nawet z tym sprzętem armia byłaby w stanie zrobić znacznie więcej. Ale wielu postrzega to, co się dzieje, bardziej jako wojnę domową.

Ilu pańskich znajomych zginęło?

– W mojej kompanii, niewielkiej i niekompletnej, było 90 osób, ale prawie połowa to poborowi. Oni z nami nie pojechali. Spośród 50 żołnierzy kontraktowych połowa to tzw. straceni żołnierze. Część zginęła, część została ranna i nie nadaje się do dalszej służby.

Podkreślam: nikt, zwłaszcza w armii, nie ekscytuje się tym, co się dzieje. Na wojnie żołnierz żyje w świecie o zupełnie innych zasadach. Emocje, poczucie zagrożenia sprawiają, że nie da się ocenić skali tego, co się dzieje. I w wojsku zawsze uczy się żołnierzy, że mają nie myśleć, wykonywać tylko rozkazy.

*Jestem patriotą, jestem wojskowym.
Chciałbym, by armia rosyjska była profesjonalna i silna.
Ale nie po to, by napadać czy wtrącać się w konflikty,
które zupełnie nas nie dotyczą*

soń. Ukraińskie władze powinny zabiegać o powrót Krymu ekonomicznie, kulturowo, ale nie próbować siłą go odbierać, bo stanie się kolejnym punktem zapalnym.

Co z innymi okupowanymi teraz w Ukrainie przez Rosję terytoriami?

– Armia powinna się wycofać i oddać je Ukrainie. A także pomóc odbudować to, co zniszczyła.

Ci, którzy chcą mieszkać w Rosji albo obawiają się problemów ze względu na swoje poglądy czy działalność, mogą poprosić Rosję o ochronę międzynarodową. Chociaż mam wrażenie, że takich ludzi za dużo nie będzie, bo wszyscy, którzy chcieli mieszkać w Rosji, już dawno do niej wyjechali.

Pana koledzy z armii też tak krytycznie odnoszą się do władz?

– Nie prowadziłem statystyk, ale moim zdaniem popiera je nie więcej niż 20 procent. Większość wojskowych nie jest zadowolona z Putina, Miedwiediewa i wszystkich innych. Ale nie mają odwagi działać, bo całe społeczeństwo jest zastraszone.

Jesteśmy ludźmi, ale nie jesteśmy obywatelami. Nie chcemy wybierać, decydować. Tak jest łatwiej. Ja sam przez ostatnie lata nie byłem zadowolony z władz, ale nigdy nie brałem udziału w protestach. Dopiero teraz, po tym wszystkim, czuję się obywatel.

Jaki stosunek mają żołnierze do Ukrainy?

– Nigdy nie zastanawialiśmy się nad zależnościami lub niezależnością Ukrainy. Mam 34 lata, ludzie z mojego pokolenia nie pamiętają ZSRR, dla nich Ukraina od zawsze jest odrębnym bytem. Z kolegami, jeszcze przed wojną, czasami rozmawialiśmy, że Ukraińcy odnoszą się do Rosjan z pogardą. Tyle że to nigdy nie był dla nas temat dnia, nie poświęcaliśmy temu uwagi.

Ale rozumiem, że pani pyta, czy wśród żołnierzy wielu wierzy w słuszność tej wojny. Gdyby tak było, armia, choć skorumpowana i od lat rozkradana, miałaby większe sukcesy. To nie tak, jak lubią pisać Ukraińcy czy zachodnie media, że „orki stchórzyły” i uciekły. Wielu żołnierzy nie walczy albo sabotuje rozkazy, swoje obowiązki, bo wie, że ta wojna jest bezsensowna. Tylko nie mówią o tym na głos.

Jednocześnie mówi pan, że kondycja armii jest zerowa.

Wspominał pan w zapiskach, że rosyjscy żołnierze są patriotami, więc muszą walczyć w Ukrainie.

– Miałem na myśli, że od zawsze jesteśmy uczeni, że rzucenie broni, wycofanie się to zdrada i tchórzostwo. Społeczeństwo jest silnie zmilitaryzowane. Od dziecka słyszymy, że trzeba być odważnym, gotowym do walki dla ojczyzny. Za przykład podaje się nam naszych dziadków, którzy walczyli z faszyzmem i zwyciężyli. To działa na psychikę. Przez to dzisiaj ludzie boją się swoich odczuć. Nie wiedzą, czy czują dobrze. Czy niechęć do udziału w wojnie jest słuszną, bo tak czują na poziomie serca, czy może rządzić nimi strach i oznaczają tchórzostwo, skoro władze im mówią, że bronią ojczyzny? Nikt nie chce być tchórzem, w armii to ogromny wstyd i upokorzenie.

Pan czuje inaczej.

– Uważam, że w tym, że nie wróciłem na front i mówię głośno, nie ma oznak tchórzostwa. Ale gdybym tam był i w trakcie walk rzucił broń – no nie, to niemożliwe. Nie twierdzę, że to właściwe rozumowanie, tak nam wpajano przez lata. Trudno się uwolnić od tego przekonania, że trzeba działać „po męsku”, bo inaczej jest się zdrajcą albo mięczakiem.

Wydaje mi się, że to jakoś wpisuje się w kult Wielkiej Wojny Ojczyźnianej. Oba nasze narody były w nim wychowywane, ludzie rośli w przeświadczeniu, że trzeba być gotowym walczyć w obronie ojczyzny. Ukraińcy rzeczywiście to robią, to ich przewaga. A my? My napadamy, nie bardzo wiadomo po co.

Podkreśla pan, że czuje złość do Kremla, ale nie do armii.

– Władze z premedytacją wysyłają naszych żołnierzy na śmierć. Myślę, że gdyby doszło kiedyś do buntu przeciwko Kremlowi, dołączyłbym. Z bronią.

Ludzie w armii wiedzą, że to przez Kreml wpakowali się w gówno.

Żołnierze nie są winni?

– Oczywiście, że jesteśmy winni, ale bardzo trudno jest to sobie uświadomić na froncie. Część z tych na pierwszej linii często myśli, że walczymy przeciwko NATO, że broniemy Rosji. To nie są wykształceni ludzie. Ale to do nich dotrze. Z czasem. Na początku nie będą chcieli tego przed sobą przyznać, ale

później zapytają naszych rządzących, po co to wszystko.

Jak reagowali pana bliscy na opowieści z frontu?

– Słuchali i rozumieli. Bali się, mówili, że za to można dostać grzywnę albo znaleźć się w więzieniu. Ale ludzie z dalszego kręgu znajomych...

Mówili mi, że nie mogę tak mówić. Że mam nie używać słowa „wojna”. Miałem wrażenie, że jestem wśród wariatów, którzy wmawiają mi, że to, co widziałem, nie było tym, czym było. Jedni otwierali szeroko oczy ze zdziwienia, inni mówili, że nie mam prawa krytykować armii, że jestem zdrajcą. Albo że to przecież wina Ukraińców i że im się należy. Jeszcze inni, że jestem świnią i po cholere brałem udział w wojnie.

Dlaczego zaciągnął się pan do armii?

– Potrzebowałem pieniędzy. W zeszłym roku zdałem sobie sprawę, że mam 33 lata i zero szans na kredyt hipoteczny. Armia była wyjściem. Nie pochodzę z majątnej rodziny, nie mam zaplecza. Pracowałem z końmi, ale pieniądze były marne. Poszedłem w ślady ojca. Mama mnie nie powstrzymała, rozumiała. To środowisko zawsze było nam bliskie.

Pana ucieczka odbywała się z przygodami.

– Służby specjalne jednego z krajów, przez który podróżowałem w obecności dziennikarzy CNN, zgarnęły mnie w nocy z hotelu. Ośmiu mężczyzn w ubraniach cywilnych wpadło do pokoju, nie pokazując dokumentów, nic nie tłumacząc. Obezwładnili mnie, kazali się ubrać i skuli. Wyprowadzili mnie tak, żeby z boku mogło wydawać się, że grupa kolegów prowadzi pijanego kumpla. Odjechalismi samochodem bez oznaczeń. Byłem przerażony, że to pracownicy ambasady mnie wysłędzili. Nie wiedziałem, co się dzieje, nie znałem języka, w jakim rozmawiali ci mężczyźni, rozumiałem tylko pojedyncze słowa, np. Wagner. Myślałem, że wywiozą mnie za miasto i zastrzelą.

Co było później?

– Wielogodzinne przesłuchanie. Zadawali pytania, z których wynikało, że podejrzewają mnie albo o werbowanie do grupy Wagnera, albo o szpiegostwo. Nie wiem, co by było, gdyby nie obrońcy praw człowieka, którzy ewakuowali mnie z Rosji. Zresztą ich zdaniem to zatrzymanie jest sprawką rosyjskich służb, które przekazały innym państwu fałszywe informacje o mnie, mając nadzieję, że zostaną deportowany do Rosji.

Wiem, że stara się pan zadośćuczynić Ukrainie.

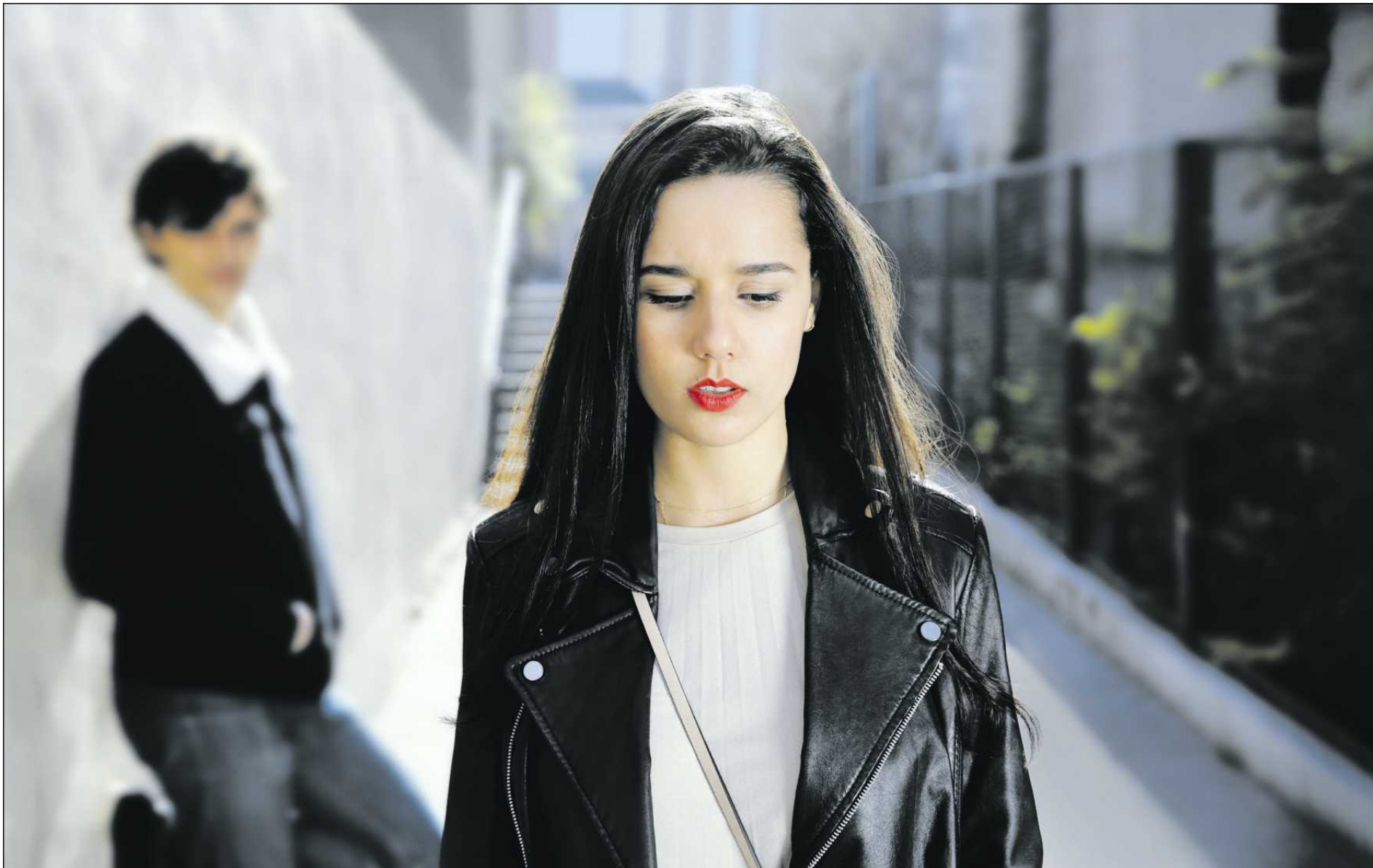
– Nie mogę zapomnieć małej dziewczynki, która na skutek naszego ostrzału straciła pięte.

Cały dochód z książki o tej wojnie, która będzie wydana w kilku językach, przekażę poszkodowanym Ukraińcom. Chociaż tyle mogę zrobić.

Jak widzi pan przyszłość Rosji?

– Nie widzę na razie nawet swojej własnej, a co dopiero Rosji. Teraz najważniejsze, by zakończyła się wojna. Do tego potrzebna jest reakcja rosyjskiego społeczeństwa, które musi przestać bać się przynajmniej powiedzieć „nie« dla wojny”. A żeby to się stało, Zachód nie może odwracać się od tych Rosjan, którzy są przeciwko wojnie.

Jest ich wielu, nawet jeśli milczą. Wrogość, nienawiść, obwinianie każdego z osobna doprowadzi do tego, że w durnych rosyjskich głowach, choćby i z natury dobrych, zaczną pojawiać się myśli, że trzeba się jednoczyć wokół władz, bo poza Rosją wszyscy nas nienawidzą. ●



84% kobiet w Polsce doświadczyło molestowania w miejscach publicznych.*

STANDUP

**Sprzeciw się molestowaniu
w miejscach publicznych**

L'ORÉAL
PARIS

&

**RIGHT
TO
BE** _____



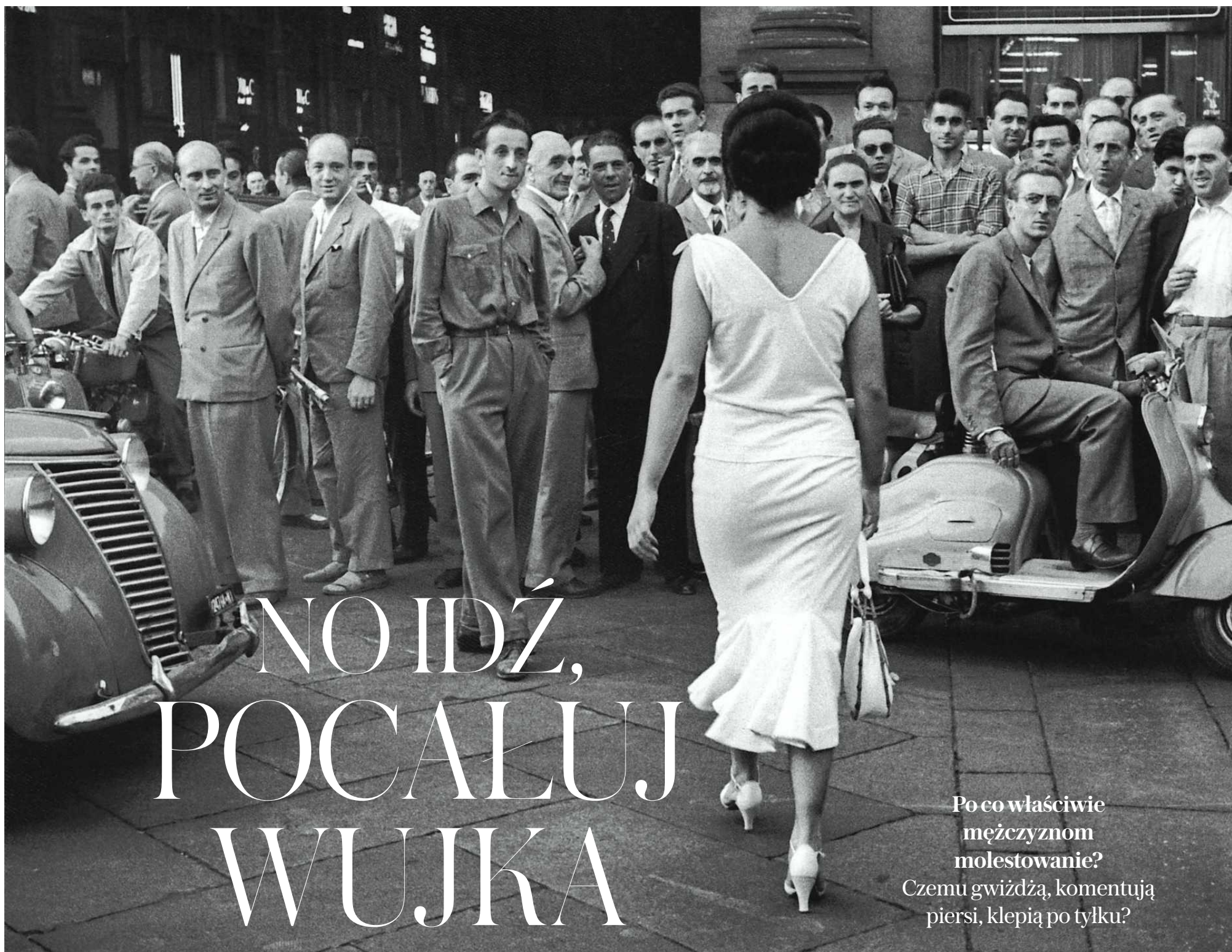
REAGUJ ŚWIADOMIE

Przejdź szkolenie na standup-poland.com



* Międzynarodowe badanie na temat molestowania seksualnego w miejscach publicznych przeprowadzone przez firmę Ipsos dla L'Oréal Polska. N=2000, marzec 2021 r.

FOT. MARIO DE BIASI/MONDADORI/GETTY IMAGES



NO IDŹ, POCALUJ WUJKA

Po co właściwie
mężczyznom
molestowanie?
Czemu gwiżdzą, komentują
piersi, klepią po tyłku?

Z PROF. **JOANNA HÄNDEREK***
ROZMAWIA **DOMINIKA
WANTUCH**

Miałam 10 lat, gdy przy całej klasie kolega drwił z mojego wyglądu, komentował moje piersi, a na końcu nazwał mnie dziwką. To pierwsza tak krępująca sytuacja, którą pamiętam. Ostatnia zdarzyła się ledwie kilka tygodni temu, gdy szłam z psem, a grupa mężczyzn mnie zaczepiała. Te zdarzenia dzieli 20 lat i pewnie kilkadziesiąt historii, które wyrzuciłam z pamięci. Pani zdarzają się podobne?

– One zdarzają się każdej kobiecie. Jakis czas temu siedziałam na kawie z byłymi już studentkami i w pewnym momencie zaczęłyśmy rozmawiać o molestowaniu, o różnych dwuznacznych, sexistowskich komentarzach i zachowaniach, jakich doświadczyłyśmy w miejscu publicznym, i okazało się, że każda miała przynajmniej jedno takie doświadczenie.

W badaniach IPSOS dla L'Oréal Polska 41 proc. kobiet od razu wskazało, że były ofiarami molestowania w miejscu publicznym. Gdy zaczęto analizować poszczególne sytuacje, to odsetek kobiet, które padły ofiarą molestowania, wzrósł do 84 proc.

– Badania dotyczące molestowania i przemocy seksualnej są zawsze trudne i najczęściej ich wyniki są

zaniżone. Wiele zależy od tego, jak zdefiniujemy molestowanie seksualne w przestrzeni publicznej. Jeśli przyjmiemy, że to przede wszystkim werbalny atak – obmacywanie, dotykanie, przekraczanie pewnej granicy fizycznej, gwałt, a także oczywiste zachowania i komentarze seksualne, jak gwiżdżanie, nachalne teksty, klepanie – to mamy bardziej konkretne, ale dość ograniczone pole widzenia.

Natomiast jeśli przyjmiemy, że molestowanie seksualne to też atak symboliczny, naruszenie psychicznej strefy komfortu drugiego człowieka, bardziej miękkie, niejednoznaczne działania i zachowania, które powodują, że kobieta czuje się upokorzona, zawstydzona, urażona, przestraszona czy zaniepokojona, to definicja staje się dużo szersza, ale i trudna do uchwycenia w statystykach.

Dlaczego?

– Ponieważ wciąż wiele kobiet nie wie, że są molestowane, albo z wielu powodów o tym nie mówią.

W czasach studenckich przeżyłam próbę gwałtu. To była oczywiście sytuacja związana z przemocą seksualną, zdarzyła się jeden raz. Ale bardzo często spotykam się z lekceważeniem jako naukowczyni właśnie przez umieszczanie mnie w kontekście cielesnym czy seksualnym. Nasza kultura uczy nas z szacunkiem spoglądać na mężczyznę, który jakkolwiek by

wyglądał, to gdy wchodzi na mównicę, nikt nie komentuje jego wyglądu, ubrania czy zapachu. Kobieta może być w pełni profesjonalna, a i tak będzie potem ładna, ciekawa, intrygująca albo gruba, brzydka, przyszczata.

Zresztą w ogóle zwracanie uwagi na płeć i wygląd w sytuacji zawodowej, w której nie powinno mieć to znaczenia, jest formą molestowania. Na przykład wciąż wielu mężczyzn, np. polityków, uwielbia obcałowywać kobiety po rękach. Robią to podczas oficjalnych spotkań, konferencji, debat, gdzie nie czas i miejsce na rozróżnienia kobiety – mężczyźni. No i czy nie jest to przekroczenie granic komfortu drugiej osoby? Czy kobieta życzy sobie takiej uwagi? Panowie o to nie pytają, zbliżając swoje usta do kobiecej dłoni.

Dlatego statystyki nie dają pełnego obrazu sytuacji. Każda kobieta przeżyła mniej lub bardziej drastyczną sytuację, a zaczyna się w dzieciństwie, gdy rodzice namawiają: „Idź, pocałuj ciocię”, „Bądź miła, przywitaj się”, choć dziecko nie chce uścisnąć „na kolankach” czy przytulić się do wujka czy cioci. To jest fundamentalny gest uczący bezwzględności i braku kontroli swojego ciała przez dziewczynkę.

Takiemu zachowaniu dorosłych często towarzyszy wzbudzenie poczucia wstydu i winy: „No jak to, ciocia przyjechała z tak

daleka, a ty się nie przytuliś?”, „Dziadziuś chce ci dać buziaka, a ty się odwracasz?”.

– W ten sposób kobietę od dziecka uczymy, że nie powinna odmawiać, że musi godzić się na to, czego się od niej oczekuje. Proszę zauważyć, małych chłopców raczej nie zmuszamy do obściskiwania się z ciotkami.

To pierwszy gest, który rodzi w przyszłości nieustające zażenowanie, poczucie wstydu, przekonanie, że „jestem winna”, bo mam ciało. Wstyd jest utożsamiany w naszej kulturze z kobietą. Pochodną tego jest obwinianie kobiet z powodu ich ubioru czy zachowania, ale tak naprawdę problemem jest samo ciało kobiety i ciągła stygmatyzacja – za gruba, za chuda, zbyt wyzywająca, nieciekawa.

Nierzadko kobiety dopiero w wieku senioralnym potrafią przyznać się, że były molestowane.

Bo dopiero wtedy to sobie uświadamiają?

– Myślę, że to nie jest kwestia świadomości, ale tego, że nasza socjalizacja uczy nas nie mówić, nie myśleć o tym, co nas spotyka. Nie zgadzam się z Freudem, że spychamy w nieświadomość to, co wstydliwe. Takie postawienie sprawy piętnuje kobiety, piętnuje ofiary. My po prostu uczymy się od dzieciństwa nie mówić, nie zwracać uwagi.

Caroline Criado Perez w „Nie-widzialnych kobietach” wskazuje,

że wiele kobiet jest molestowanych przy obopólnym poparciu i niezauważaniu społecznym.

Pokazują to też badania. Analizując konkretne sytuacje, tylko 70 proc. pytanym przez IPSOS stwierdza, że było świadkami molestowania w przestrzeni publicznej. Trudno w to uwierzyć.

– Mnie to nie zaskakuje. Tak się przyzwyczailiśmy, że kobieta nie istnieje w rzeczywistości społecznej, a jeśli chce w niej istnieć, to na warunkach męskich, że nie rejestrujemy pewnych sytuacji.

W ramach mojego projektu „Kultura wykluczenia” robiłam cykl spotkań z bizneswomen, które opowiadały, jak się czują jako liderki. Wie pani, co powtarzały?

?

– Że wiele kobiet woli robić interesy z mężczyznami.

Dlaczego?

– Bo głęboko w nas tkwi przekonanie, że kobieta to niepełny mężczyzna. Często nawet nie chcemy się sami przed sobą do tego uprzedzenia przyznać, ale ono w nas jest. Ciągłe zakłóca nasze relacje. Jeśli się rozejrzemy, to dostrzeżemy, że kobiety, które odniosły sukces, musiały przybrać męski model funkcjonowania i zarządzania. Bo inaczej byłyby podejrzane – że myślą sercem, że mają miękkie kompetencje i że ze swoją empatią, emo-



mencie była traktowana jak egzotyczny afrodyzjak i nikt nigdy nie interesował się, co ma do powiedzenia.

My tak mocno tkwimy w stereotypach i wzorcach kulturowych, że młoda premierka, która nie ma oporu przed byciem sobą, przed manifestowaniem radości, nawet w liberalnych kręgach wzbudza poruszenie. A co ona zrobiła? W czasie wolnym tańczyła, ot i cała zbrodnia kobiecości – była spontaniczna.

Gdzie szukać źródeł, które doprowadziły nas do sytuacji, w której właściwie każda kobieta w mniej lub bardziej oczywisty sposób doświadczyła molestowania i to wciąż nie spotyka się z głośnym sprzeciwem?

– Korzeni szukałabym w religii i w kulturze, w kulturowych wzorcach udomowienia. Już w paleolicie, gdy przeszliśmy na osiadły tryb życia, udomowiliśmy zwierzęta, rośliny, tak samo udomowiliśmy siebie: niewolników, kobiety. Kobieta stała się przedmiotem użytkowym. Cała historia żony, małżeństwa, rodziny kształtowała się w kategoriach posiadania. To mężczyzna miał dom, ziemię, kobiety i dzieci. Ona jemu rodziła, została przypisana do jego domu. To ojciec oddawał ją do zamążpójścia. Oczywiście istniały kultury matrylinearne, ale jednak w większej części świata dominował patriarchalizm.

W średniowieczu poszliśmy o krok dalej, bo zożydziliśmy kobietom seks jako brudny. Podzieliśmy kobiety na siedzące w domu, które mają tylko dawać dzieci, kobiety w klasztorze i „najgorszy” rodzaj – dziwki. Mit złego seksu stał się kolejnym narzędziem kontroli.

W oświeceniu pojawiły się kobiety, które chciały walczyć o swoje prawa, ale gdy Olympe de Gouges napisała Deklarację Praw Kobiety i Obywatelki, została uznana za zdrajczynię idei rewolucyjnych i zgilotynowana.

Tak utrwalane wzorce kulturowe współgrały ze wzorcami religijnymi. Widać to w Biblii, która cała jest tekstem mocno mizoginistycznym, widać to w przykazaniach bożych – „Nie pożądam żony bliźniego swego”. Albo weźmy Księgę Hioba, któremu Bóg zabija dzieci. Jemu, nie jego żonie, nie Hiobowi i jego żonie jako rodzicom. Nieważność kobiet widać w Biblii bardzo często. Niewiele z nich jest wymienionych z imienia, a jeśli się pojawiają, to są fanatyczne, dziwne lub absolutnie oddane Bogu.

Nieważność kobiet widać nawet w obrzędach małżeńskich w zlicyzowanych społeczeństwach. W krajach anglosaskich pastor pyta: „Kto oddaje pannę młodą”.

Wiek XX przyniósł rewolucję seksualną, ruch feministek...

– Ale z drugiej strony jeszcze w latach 20. XX wieku obowiązywało prawo z Kodeksu Napoleona, które mówiło, że zgwałcić można jedynie dziewczinę.

Molestowanie seksualne wpływa z takich przepisów i wzorców. Gwałt małżeński jest stosunkowo nową definicją, choć wiadomo, że najwięcej przemocy kobiety doznają w domu. Mimo to wciąż słyszą: „To twój mąż”, „Nie przesadzaj”, „Na pewno nie jest tak źle”. Kobieta, która zaczyna mówić o problemie, często jest uciszana. I koło się zamyka, mijają wieki, ale to ona jest winna, bo ma ciało.

Proszę spojrzeć, co o rodzinie mówił Jan Paweł II. Dla niego nie byli ważni członkowie rodziny. Ważna była rodzina jako całość. I tak działa Kościół. Dławi indywidualność poprzez kontrolowanie seksualności, wzbudza wstyd z powodu seksualności, bo

„Seks dla przyjemności to upadek wartości” – mówi minister edukacji Przemysław Czarnek.

– Takie podejście to współczesny przejaw kontroli seksualności kobiet – bo to one najczęściej są stygmatyzowane za „seks dla przyjemności”. Nie pierwszy zresztą: odchudzanie dziewczynek, stygmatyzowanie nastolatek za ubiór, obwinianie o to, że chodzą nocami na imprezy, a tam może przecież spotkać je krzywda.

Szkola też nie uczy dziewczynek zachowań antyprzemocowych. Uczy się je, jak się bronić przed gwałtem, stygmatyzując ciało – ale chłopców nie uczy się, że dziewczynkę się nie gwałci.

Niedawno piosenkarka Doda opowiadała, jak podczas koncertu jakiś mężczyzna krzychał do niej: „Doda, Doda, zrób mi loda”. Po co właściwie mężczyznom molestowanie? Po co to całe gwizdanie, komentarze, klepanie po tyłku, obłapianie?

Oswajanie z molestowaniem zaczyna się w dzieciństwie, gdy rodzice namawiają: „Idź, pocałuj ciocię”, „Bądź miła, przywitaj się”, choć dziecko nie chce usiąść „na kolankach”.

Proszę zauważyć, małych chłopców raczej nie zmuszamy do obściskiwania się z ciotkami

człowiek, który się wstydzi, który czuje się winny, jest bardziej podatny na narzucanie wzorców. Wstyd modeluje ludzi bezrefleksyjnych, którzy będą poddawać się silniejszej grupie.

Więc mieliśmy sufrażystki, palone staniki, bunt '68 roku, ale gdy Iris Marion Young w latach 60. przeprowadziła badania, które potem opisała w eseju „Thrownig Like a Girl”, to wyszło, że dziewczynki uczą się innego zarządzania ciałem niż chłopców. Wciąż mamy dysproporcję. Dziewczynka w szkole może się już inaczej zachowywać, grać w „męskie” gry, ale asymetria została. Kobiety mniej zarabiają na tych samych stanowiskach, wciąż argumentem w sferze zawodowej na korzyść mężczyzny jest ich stanowczość i racjonalność, a przeciwko kobietom wysuwa się hormony, macicę i miesiączkę.

Kara za macierzyństwo jest bolesną normą. Ciągłe też to kobieta jako stara staje się nieatrakcyjna. Wciąż mężczyźni aktywni seksualnie są bohaterami, a kobiety, które uprawiają seks dla przyjemności, są podejrzane.

– Chodzi o zawłaszczanie, dominację, posiadanie. To pokazanie przed innymi „ja mogę”, zaznaczenie terytorium. Postać molestowania zależy od tego, w jakiej grupie społecznej się pojawia. Jedni będą gwizdać, inni będą całować rączki, jeszcze inni będą krzyżeć wulgaryzm, mechanizm jest jednak ten sam. On służy pokazaniu siły.

Według mnie to pokazuje przede wszystkim, że molestują osoby słabe.

– Oczywiście. Słabi, niepewni siebie, upokorzeni mężczyźni, którzy czują się zagrożeni, bardzo często epatują seksualnością, aby przykryć swoje braki, bo przecież najprościej jest budować swoją siłę przez upokorzenie innych i dominację wobec tych, którzy nie mogą sobie poradzić.

W filmie „Obiecująca. Młoda. Kobieta” jest taka scena: nad ranem dziewczyna mija budowę. Jest boso, jej fryzura, wygląd sugerują, że jest po imprezie, może pijana. Grupa mężczyzn zaczyna gwizdać, rzucać jednoznaczne komentarze i propozycje. I co ona robi? Nie odchodzi, nie spuszcza głowy, tylko zaczyna się w nich wpatrywać. Po chwili mężczyźni tracą grunt pod nogami i krzyczą, że jest nienormalna, że jest wariatką...

– W filmie „Millennium. Mężczyźni, którzy nienawidzą kobiet” jest podobny motyw. Bohaterka zostaje zgwałcona, ale nie poddaje się, nie wchodzi w rolę ofiary i w ten sposób łamie swojego oprawcę. Pada tam zdanie, że on w rok posiwiał, postarzał się, bo nie mógł znieść tego, że role się odwróciły.

No właśnie, a jakbyśmy odwrócili rolę? Zostając przy filmach – w rewelacyjnym serialu „Yellowjackets” nastoletnie bohaterki

podczas zaimprovizowanej na pustkowiu imprezy zaczynają molestować kolegę. Całują, go, rozbierają, dotykają. W końcu udaje mu się uciec.

– I co pani myślała, oglądając te sceny?

Wbrew pozorom nie pomyślałam: no, wreszcie role się odwróciły. Raczej oglądałam to z zaskoczeniem i niedowierzaniem.

– Była taka reklama społecznościowa, w której odwrócono sytuację. Mężczyzna jedzie na rowerze, a kobiety gwizdzą za nim, wieczorem podczas imprezy zostaje zgwałcony. Trafia do szpitala, jest cała procedura, żona przychodzi, pociesza go chwilę, po czym mówi, że musi już iść, a na końcu rzuca: „A poza tym mówiłam ci, żebyś nie chodził w takich spodniach”. Ogląda się to jak s.f., bo jesteśmy przyzwyczajeni, że to kobiety się gwałci, że to kobiety są „mięchem”, które się zdobywa, zjada i wyrzuca.

Ale feminizm nie odwraca ról, nie o to chodzi, by zmienić relację przemocową kata i jego ofiary. Feminizm dąży do równości. XIX-wieczne sufrażystki były abolicjonistkami walczącymi z niewolnictwem, zakładały pierwsze stowarzyszenia i ruchy obrony praw zwierząt. To jest tradycja feminizmu – walka o równość bez zależności od płci i gatunku czy etniczności. Więc upokarzanie mężczyzn – klepanie, gwizdanie, obmacywanie – jest tak antyfeministyczne, że trudno to sobie nawet wyobrazić.

A może chodzi po prostu o to, że ludzie zmęczeni się demokracją, która dała im wolność i wiele możliwości, ale jednocześnie każe być odpowiedzialnym za siebie i ciągle w gotowości? Może dla wielu kobiet wygodnie jest wejść w ramy wyznaczone przez mężczyzn i siedzieć cicho, nie reagować?

– Jeśli tak jest, to najwyższy czas zastanowić się nad sobą, uświadomić, że potrzebujemy głębokiej reformy, która nie będzie oparta na stałych podziałach: lewica, prawica. Może potrzebujemy zmian, na które spojrzymy z punktu widzenia młodych ludzi, strajku klimatycznego. Z perspektywy innej niż ta, którą mamy dziś. ●



FOT. JAKUB PORZYCKI / AGENCIA WYBORCZA.PL

***Dr hab. Joanna Hańderek**

• profesorka UJ, wykładowczyni w Instytucie Filozofii UJ. Zajmuje się postkolonializmem, globalizacją, gender, multikulturalizmem, etyką, podmiotowością zwierząt, różnymi formami wykluczeń. Autorka książek: „Filozofia wegańska”, „Metamorfozy i muzea”, „Czas i spotkanie”. Prowadzi projekt społeczno-naukowy „Kultura wykluczenia?”. Razem z Centrum Kultury „Dworek Białostrzemiński” organizuje warsztaty antydyskryminacyjne „Horyzonty równości” oraz „Festiwal równości”

STOP
molestowaniu
w miejscach publicznych

ORGANIZATOR: **wysokieobcasy**

PARTNERZY:

STANDUP
Sprzeciw się molestowaniu
w miejscach publicznych

L'ORÉAL
PARIS

&

RIGHT
TO
BE

Centrum Praw Kobiet

„Wysokie Obcasy” oraz L'Oréal Paris chcą świata, w którym dziewczynki i kobiety umieją się przed nim bronić, a świadkowie chcą i potrafią reagować. W ramach kampanii będziemy w „Wysokich Obcasach” publikować teksty o tym, czym jest molestowanie w miejscach publicznych, jaka jest jego skala i – przede wszystkim – jak się z nim bezwzględnie rozprawić, by świat był lepszym miejscem dla kobiet.”



Las nocą. Przez gęstwinę przedziera się dziewczyna. Jest ubrana w koszulę nocną, wyraźnie przestraszona. Nagle mrok rozjaśnia intensywne światło. Wiatr podrywa z ziemi zeschnięte liście, a kobieta widzi między zaroślami postać mężczyzny. Zbliża się. Po chwili to od niego bije jasny blask...

Gdzie jesteśmy? W północnym Oregonie, w Collum National Forest. Rano dziewczyna zostaje odnaleziona martwa. Żadnych śladów prócz dwóch dziwnych narośli na plecach tuż nad pośladkami. Jeden ze śledczych ją rozpoznaje. „Chodziła do szkoły z moim synem”. „Matura w ’89? To znów się dzieje?” – pyta inny.

10 września 1993 roku zadziało się po raz pierwszy. To wówczas stacja FOX wyemitowała pilotażowy odcinek „Z archiwum X” – serialu, który dorobił się z czasem 11 sezonów (w sumie 218 odcinków), dwóch filmów fabularnych, 16 nagród Emmy, pięciu Złotych Globów i zasłużonego statusu produkcji kultowej.

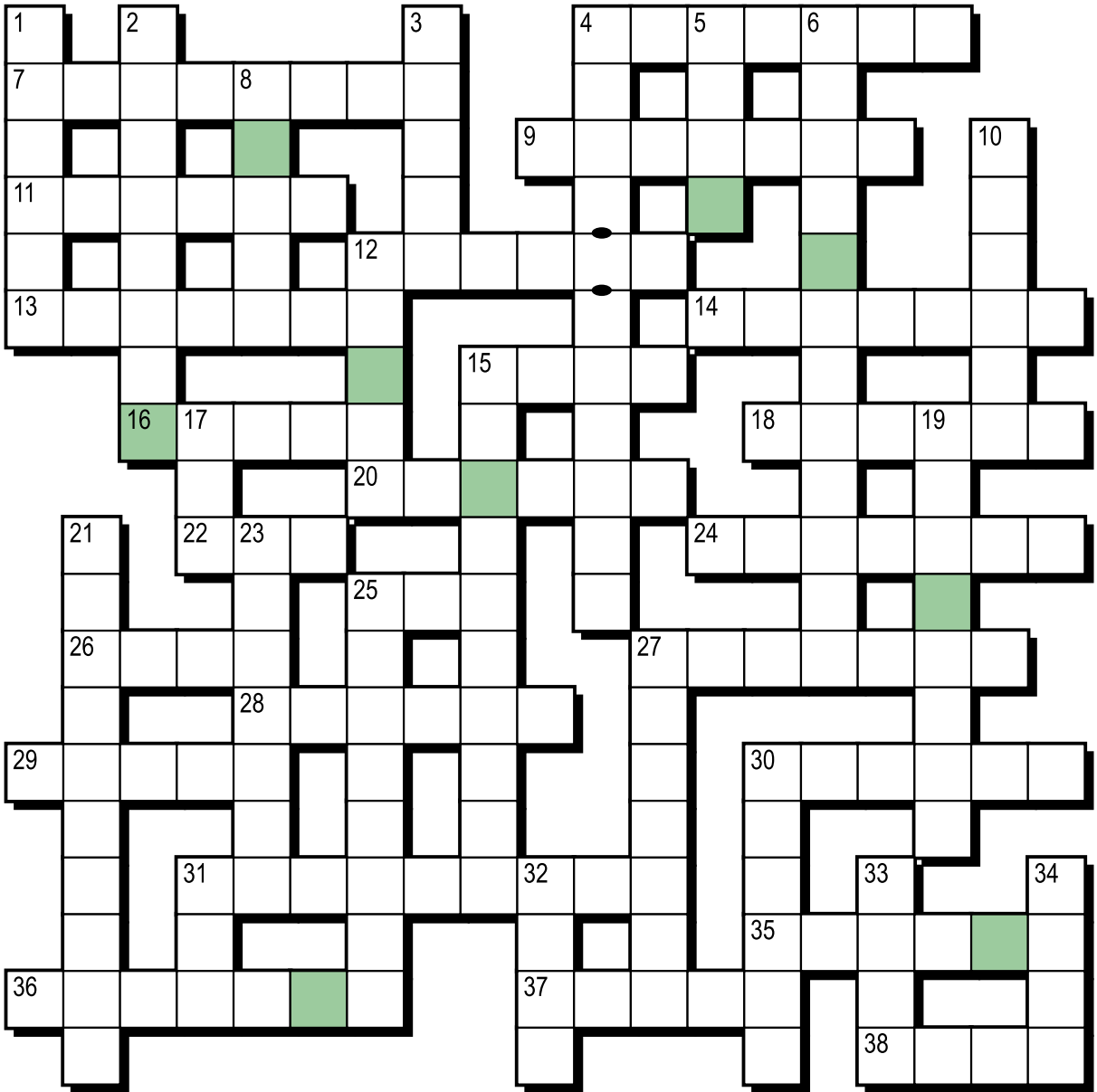
David Duchovny i Gillian Anderson stali się dzięki „Z Archiwum X” gwiazdami pierwszej wielkości, motyw muzyczny Marka Snowa każdy rozpoznawał po jednej nutce, a serialowe hasła: „The Truth Is Out There” (Prawda gdzieś tam jest), „I Want To Believe” (Chcę uwierzyć), „Trust No One” (Nie ufaj nikomu) czy „They’re Watching” (Oni patrzą) weszły do potocznego języka.

Pilotażowy odcinek nie miał charakterystycznej czołówki, z latającym talerzem, napisem „Paranormal Atcivity” (zjawiska paranormalne), zdjęciami legitymacji FBI Muldera i Scully i spadającą postacią na tle dłoni. Poprzedzała go za to informacja, że „Historia ta zainspirowana jest prawdziwymi i udokumentowanymi wydarzeniami” – trudno było się temu oprzeć.

Polakom też się nie udało. „Z Archiwum X” trafiło do nas blisko trzy lata później, 20 marca 1996 roku. Pierwszy odcinek pokazała TVP 2, potem serial pokazywany był m.in. w Polsacie, TVN, Tele 5, TV 4, czy TVN 7. Ba, planowano nawet polską wersję, „N jak Nautilus”, wzorowaną na audycji „Nautilus Radia Zet”, która traktowała o niewyjaśnionych tajemnicach, nawiedzonych domach czy UFO.

Nie znam nikogo, kto – nomen omen – nie znalazłby „Z Archiwum X”. Zapraszam więc Państwa do wyprawy w przeszłość i rozwiązania w „Weekendówce” zagadek „Z Archiwum X” i generalnie kina spod znaku science fiction. A w podróży towarzyszyć nam będzie Dawid Drózdź, dziennikarz działu kultura „Gazety Wyborczej”, który ułożył dla Państwa kilka swoich haseł. ●

Andrzej Kulasek, andrzej.kulasek@agora.pl



Rozwiązanie „Weekendówki” nr 16 z 3.09: **ARMIA MORDORU**

X-FILES

Hasła Dawida Drózdźa oznaczono inicjałami (DD). Litery w kolorowych polach, czytane kolejno rzędami, utworzą rozwiązanie.

Poziomo:

- 4)** zielone..., czyli kosmici
- 7)** film z 1987 r. o stworze z kosmosu grasującym w dżungli
- 9)** Aktynuria lub Arrakis (DD)
- 11)** Vin, zagrał w filmie SF „Pitch Black”
- 12)** „Dzień, w którym zatrzymała się...”
- 13)** planeta, z której Superman przybył na Ziemię
- 14)** Walter, szef Muldera i Scully

- 15)** ... Damon, zagrał w filmach „Interstellar”, „Marsjanin”
- 16)** wykonawca piosenki „Mars napada”
- 18)** „Z Archiwum X”
- 20)** ... pozaziemskie, czyli kosmici
- 22)** ... Mulder (serialowa rola Davida Duchovny’ego)
- 24)** „Moja... jest kosmitką”, komedia filmowa z Kim Basinger
- 25)** ... 9000, komputer z filmu „2001: Odyseja kosmiczna”
- 26)** cykl filmów science fiction z Sigourney Weaver w roli Ellen Ripley
- 27)** ... Śmierci, zbudowana w celu unicestwienia Rebelii (uniwersum „Gwiezdnych wojen”)
- 28)** „... z Tytana”, powieść Kurta Vonneguta z wątkiem rozwoju cywilizacji na Marsie

- 29)** David, piosenkarz i aktor („Człowiek, który spadł na Ziemię”)
- 30)** muza – patronka astronomii
- 31)** hipotetyczny mieszkaniec Czerwonej Planety
- 35)** ... kosmiczne, do podróży międzygwiazdnych
- 36)** ... Anderson, odtwórczyni roli agentki Scully
- 37)** maltański lub Millennium (DD)
- 38)** kosmiczny dom Kevina Spaceya (DD)

Pionowo:

- 1)** katowicki lub latający (DD)
- 2)** do piosenki Moby’ego „In This World” – o małych kosmitach niedostrzeganych przez Ziemię
- 3)** są śladem obcych, gdy pojawiają się w zbożu (DD)

- 4)** film animowany wytwórni Disneya o hawajskiej dziewczynce zaprzyjaźniającej się z kosmitą
- 5)** imię agentki Scully
- 6)** pozaziemska (nie mamy dowodów, czy istnieje) lub sztuczna
- 8)** ... FBI (Mulder w serialu „Z Archiwum X”)
- 10)** ... 51, baza wojskowa w stanie Nevada; wielu wierzy, że jest miejscem badania pozaziemskich form życia
- 12)** film SF o byłym pastorze odkrywającym tajemnicze symbole na polu kukurydzy
- 15)** przybyli z niej Sigma i Pi – bohaterowie dawnego programu tv uczącego dzieci podstaw matematyki
- 17)** koneser kanapek z kotem (DD)

- 19)** ... w Roswell, wydarzenie z 1947 r. związane z rzekomym rozbiciem się UFO w Nowym Meksyku
- 21)** tropią ślady obcych cywilizacji
- 23)** kosmiczna lub Homera (DD)
- 25)** ... Ford, gwiazda filmu „Łowca androidów”
- 27)** film SF, w którym wystąpiła Natasha Henstridge
- 30)** ludzkie...; czy kosmici potrafią je kontrolować?
- 31)** ... Gibson, zagrał w filmie 12 pionowo
- 32)** amerykańska agencja rządowa realizująca program lotów kosmicznych i obserwacji kosmosu
- 33)** ... Snow, kompozytor muzyki do serialu „Z Archiwum X”
- 34)** pilot z opowiadań Stanisława Lema

Byłe do weekendówki

W aplikacji więcej jolek, krzyżówek klasycznych i tematycznych.
Pobierz za darmo!

KRZYŻÓWKI WYBORCZEJ

Pobierz z App Store

POBIERZ Z Google Play